

PEDAGOGICZNA
B.BLIOTEKA
WOJEWÓDZKA
Gdańsk
Waty Jagiellońskie
24

2082

82

UCZNIOWIE CIEŚLI



[Faint handwritten text]

R-k Krieg. "Dziennik"
58
17.VI.48



Inw. 2082

LECH NIEMOJEWSKI

UCZNIOWIE CIEŚLI

(ROZWAŻANIA NAD ZAWODEM ARCHITEKTA)



TRZASKA, EVERT i MICHALSKI
WARSZAWA, MARSZAŁKOWSKA 51

1 9 4 8

Układ graficzny okładki Mariana
Sulikowskiego
Kopuła Panteonu – zdjęcie fot. Jerzego
Hryniewieckiego.

Ilość arkuszy druku: 15^{1/4}

Papier: V kl; 70 gr; 61×86

Podpisano do druku: 12/XII 1947

Nakład: 3.300

Per aspera ad astra.

Gdy w noc pogodną, wyiskrzoną gwiazdami, wznosimy oczy ku niebu, miłośnicy gwiazdozbiorów ukazują nam przeróżne konstelacje i wymieniają ich nazwy mówiąc: oto Kasjopea, oto Andromeda, a to Perseusz. Później prowadzą nas do globusa i pokazują te same układy gwiazd jeno ujęte obrysem postaci, których imiona nadano im przed wiekami. Są konstelacje bardziej znane. Każdy umie pokazać Wielką lub Małą Niedźwiedzicę, Oriona lub Koronę Północy. Chętnie wznosimy ku nim umęczone oczy „poznając światła niebieskie i przez tysiąclecia opowiadane o nich historie. Iżbyśmy posiadli czynnik idealistyczny wychowania, który z ziarenka bajki i przypowieści wyrasta w wielkie drzewo wiedzy ściślej“.¹⁾

Gdy zaś z wysokości Kapitolu spojrzymy na Forum Romanum w blasku purpury zachodzącego słońca, kiedy Palatyn poczyna kłaść dłuższe cienie na Forum usiane złómkami kolumn, portyków, łuków, zaczątkami świątyni, stopniami nigdzie już nie prowadzącymi i porównamy to, co widzimy, z planem usiłującym odtworzyć rozpadły kształt ówczesnej architektury — to całość oglądanego obrazu ry-

¹⁾ Andrzej Niemojewski — „Polskie Niebo“.

suje się w naszych oczach jakby kamienny firmament nieba starożytnej Romy, a plan, trzymany w ręku, zdaje się tego firmamentu obrysem, ożywionym mitycznym ludem konstelacji.

Złudzenie tym większe, że tu i tam, na globusie nieba, czy też na rzucie orientacyjnym Forum Romanum, te same imiona: mamy przecież świątynię Saturna, mamy świątynię Wenus, świątynię Castora i Polluxa, a pomiędzy nimi przewija się, jak droga mleczna po firmamencie, *via Sacra*, *via Triumphalis*.

Owe skruszałe pomniki starożytnej myśli architektonicznej wypunktowanej złomkami, kręgami baz, jak postaci mitologiczne srebrzystymi ćwiekami gwiazd na niebie, pobudzają pracę wyobraźni i dają poruszeniom naszych myśli, drgnieniom naszych serc również amplitudę tysiącleci.

Spśród chaosu ułamków marmurowych wystrzelają ku niebu trzy wyniosłe kolumny korynckie z świetlistego, przezroczonego marmuru paryjskiego. Na wysokim cokole wspartym na piętnastu stopniach, trwają od wieków trzy najpiękniejsze kolumny, jakimi szczyci się Roma Aeterna — „miasto kolumn i portyków“.

Najpiękniejsze kolumny — najwspanialszego miasta.

To jakby Andromeda, Kasjopea i Dike²⁾ — trzy najpiękniejsze kolumny „Niebieskiego Jeruzalem“.³⁾

Trzy kolumny świątyni Kastora i Polluxa, najstarszej świątyni, jaką postawiono w Rzymie, a później przebudo-

²⁾ Jeżeli konstelacja Panny jest narysowana z wagą w ręku, wówczas nosi nazwę Dike — bogini sprawiedliwości.

³⁾ Pas zodiakalny, nosi również nazwę „Niebieskiego Jeruzalem“.

wując, doprowadzono w czasach Augusta do najwyższej piękności.

Tutaj słyhać było tętent rumaków Dioskurów przybywających z wieścią o zwycięstwie nad jeziorem Regillo.

Tutaj Lucius Cecillus Metellus stawiał zręby dzisiejszej świątyni. Z jej podium, którego dotykały stopy Cyce-rona, przemawiali do ludu rzymskiego najsłynniejsi trybuni. Tutaj przeniesiono skarbiec cesarstwa. Tutaj zbierał się senat.

Świątynia wznosiła się, padała, znowu się podnosiła i znowu padała, aż wreszcie pozostały z niej tylko te trzy prześliczne kolumny, dźwigające w górę wspaniały wystrój architrawu, fryzu i gżemsu, zdobnego lwimi paszczami.

Trzy kolumny na Forum Romanum.

To jakby symbol trzech idei podstawowych naszej pięknej sztuki: prawdy, piękna i mądrości.

Trzy te idee są ściśle tymi samymi ideałami, które kształtują rozum, serce i charakter każdego człowieka.

Wartość człowieka oceniamy stopniem przyswojenia sobie tych ideałów i stosowania ich w życiu.

Dlatego architekt doskonaląc się w swym rzemiośle, musi z konieczności pracować chociażby także i nad sobą.

Musi się uczyć, musi rozmyślać, musi być dobry.

Nie przychodzi mu to łatwo, gdyż spotyka na swojej drodze mnóstwo rzeczy, które odwracają jego uwagę od głównego celu.

Niniejsze rozważania, owoc 33 lat życia spędzonych w środowisku architektów, w czasie których patrzyłem, słuchołem i rozmyślałem, starałem się, biegnąć wstecz wspomnieniem, ująć tak, jak układały mi się w myślach, a więc

w oparciu o te trzy podstawowe ideały naszej sztuki, z nadzieją, że wiele z tego, co tutaj zgromadziłem, może pomóc mojemu czytelnikowi do uniknięcia tych błędów, których ja, niestety, nie unikałem.

Lech Niemojewski

Cieleśnica, w październiku 1946 r.

I

DAŻENIE

Nie każdy zdaje sobie sprawę z tego, jak wielką bierze na siebie odpowiedzialność — sięgając po linię i cyrkiel architekta. Słowa, które będą tutaj powiedziane, mają na celu wykazanie, iż zawód, jaki wykonuje architekt, nie jest rzemiosłem, lecz jest posłannictwem. I chociaż celem mojej wypowiedzi, jej przedmiotem, ma być architekt, a więc człowiek, zacznę od kilku na razie słów poświęconych idei.

Bowiem w atmosferze moich tutaj rozważań architektura będzie ideą. Jest ona przede wszystkim nauką, sztuką i mądrością. Zwłaszcza mądrością. Mądrością dlatego, że ogarnia wszelkie przejawy życia ludzkiego i zadanie jej polega *na zrozumieniu tych przejawów i znalezieniu dla nich najdoskonalszej formy.*

Są tacy, którzy powiadają, że najdawniejszych dzieł architektury należy szukać w jaskiniach, że szałaszy klecone przez pierwotnego człowieka mogą służyć przykładem najdawniejszego budownictwa. Lecz taką wypowiedź nie byłaby istotna. Tłumaczyłaby tylko niektóre zjawiska, natomiast inne, być może, a nawet na pewno, istotniejsze, pozostawiałaby na boku.

Tak, prawdą jest, że zdawien dawna klecono szałas, ale przecież i mrówki od niepamiętnych czasów budują mrowiska. Człowiek istotnie urządzał sobie leże w jaskiniach, ale i pszczoły osiadały w dziuplach. Budowa schronienia nie jest potrzebą duszy, lecz tylko potrzebą ciała. Nie jest dziełem umysłu, lecz wyłącznie instynktu.

Gdy mowa o budownictwie, to mrówki, pszczoły, termity lub bobry są naszymi kolegami.

Ale ani pszczoły, ani termity, ani bobry nie ustawiały menhirów, dolmenów, cromlechów. Nie zawijały na wzgórzach spiralnych ścieżek naśladowujących „Drogę Pana“ czyli wznoszenie się słońca na firmamencie, nie ustawiały i nie ustawiają krzyżów przydrożnych, bo nie *czują* potrzeby wznoszenia takich budowli.

Po co sypać kopce Krakusa lub Wandy?

Kto miał zamieszkać w piramidzie?

Pewna myśl, pewien symbol, pewna idea.

Wśród tych idei wybija się na plan pierwszy idea wieczystości, idea trwałości, idea nieśmiertelności.

Człowiek wierzy. Ojciec wierzy, że to, co powie synowi, ten zapamięta i przekaże z kolei swemu synowi.

Obok niespożytych granitów piramid egipskich, równie jak one nieśmiertelną, a bardziej od nich niezniszczalną, jest myśl ludzka, zapisana hieroglifami na papyrusach lub pismem klinowym na glinianych tabliczkach.

Pytam się, kiedy był bardziej człowiekiem ów zaprzepaszczony w grotach Altamiry artysta: czy wtedy, gdy przystosowywał jasknie dla swych potrzeb codziennych, czy wtedy, gdy w chwili wytchnienia pokrywał stropy pieczary oszałamiającymi jako dzieło malarstwa najwyższej miary stadami bizonów, malowanych z taką biegłością

techniki, głębią syntezy i cudem obserwacji, jakiej nikt później nie osiągał? Lakonizm tego malarstwa osiąga lapidarność aforyzmu i zwięzłość formuły matematycznej. Nie istniały wtedy akademie, gdzie artysta, który malował te obrazy, mógłby nauczyć się swej sztuki, ale on *wiedział*. Malarstwo jego jest mądrością jego oczu, biegłością jego ręki, ono wylewa się prosto z duszy.

Sztuka jego płynie więc ze źródeł najgłębszych i najwyższych, jest *darem*, jest powołaniem, a także posłannictwem.

Z dalekich wybrzeży zatoki biskajskiej, z głębokich pieczar północnej Hiszpanii, płynie na świat wskazanie, że sztuka wyraża najtajniejsze drgnienia duszy i że dusza ta, nawet nie mająca biegłości w naukach, nieuzbrojona rynsztunkiem tego wszystkiego, co czyni tak bardzo dufnym w siebie człowieka XX wieku, może posiadać zdolność odziewania rozwiniętą zupełnie, całkowicie.

Nie popełniając wielkiej pomyłki z punktu widzenia historii kultury, można posunąć się do twierdzenia, że człowiek posiada wrodzone pierwiastki duchowe. Posiada *wrodzoną* wrażliwość na piękno świata, który go otacza, posiada *wrodzone* poczucie moralności i posiada *wrodzoną* mądrość, która pozwala mu słusznie oceniać zjawiska życia.

Co to znaczy *wrodzone*? Wyjaśnimy to, ale przed tym zastanówmy się, czemu przypisać, że rozważania o życiu i obowiązkach władcy, spisywane przez Marka Aureliusza w namiocie obozowym są tak głęboko chrześcijańskie, chociaż Marek Aureliusz był pogańskim cesarzem Starożytnego Imperium Rzymskiego?

Czemu przypisać, że św. Augustyn, bez obawy popełnienia herezji, tak swobodnie obcował z filozofią Arystotelesa i Platona, czerpiąc z nich wartości bezsporne i trwałe, których użył jako kamienia węgielnego pod budowę gmachu filozofii chrześcijańskiej?

Temu, że człowiek został stworzony. Ze dusza jego, w istocie swej doskonała, lecz władająca wolną wolą, mogła wznosić się na szczyty mądrości, piękna lub doskonałości moralnej i wedle tej samej woli popadać w ośpienie, ohydę i marność. Ludzkość zmierza ku swemu przeznaczeniu poprzez niebosiężne szczyty i mroczne przepaści. Zrządzeniem czynników nadprzyrodzonych, których umysł nasz nie jest w stanie pojąć, przyszłość pozostaje dla nas tajemnicą, lecz oglądając się poza siebie, śledząc drogę już przebytą, człowiek obdarzony *rozumem*, może wiele odgadnąć, wiele się domyślać.

Rozum przemawia do nas ustami Tadeusza Zielińskiego, który we wstępie do „Kultury Antycznej“ pisze tak: „Należy zwrócić uwagę na zasadniczą różnicę, jaka zachodzi pomiędzy kulturą ludzką, a kulturą spostrzeganą w świecie zwierzęcym. Różnica polega na nieskończonej zmienności tej pierwszej i na zasadniczej niezmienności tej drugiej“.

Ludzkość europejska doznała ogromnych zmian swej kultury w tym okresie dziejów, który oddziela antyk od naszych czasów; w tym samym okresie czasu życie rodzinne jaskółek i życie gminne mrówek pozostało takie same, jak było dawniej.

Lecz zapyta ktoś, jakie siły wpływają na zmianę form życia ludzkiego, warunkując rozwój kultury ludzkiej? Pytanie to do dziś dnia pozostaje sporne i przy jego rozstrzy-

ganiu zaznaczają się dwie krańcowe teorie historyczno-kulturalne.“

Zieliński wyjaśnia, że jedną z tych teorii jest teoria materialistyczna, oparta o zasadę, że zmiany form życia ludzkiego dają się wytłumaczyć dążeniem ludzkości — zarówno jednostek, jak i grup społeczno-politycznych — do powiększenia swego dobrobytu materialnego tj. przez siły o charakterze ekonomicznym.

Pogląd taki, stosowany z oględnością naukową, może istotnie przyczynić się do właściwego naświetlenia wielu ważnych stron życia specjalnie w dziedzinie kultury materialnej i społeczno-ekonomicznej, nie może wszakże wytłumaczyć wszystkich zjawisk i dlatego, w dążeniu swym do uniwersalizmu, doznaje nieuniknionego rozbicia w dziedzinie kultury duchowej, której zjawisk nie podobna rozważać jedynie na marginesie życia materialnego.

Toteż teorii „ekonomicznego materializmu“ przeciwstawia się dążenie duszy ludzkiej do „doskonalenia swych darów przyrodzonych“, innymi słowy — „jej dążenie do ideałów.“ Dlatego teoria ta nosi miano Ideologizmu.

Nie trudno się domyślić, że ta druga teoria osiągnęła największe sukcesy w dziedzinie kultury duchowej; trzeba wszakże wyjaśnić, że nie odrzuca ona teorii ekonomicznej, lecz jedynie stara się ją uzależnić od spraw ducha, sprowadzając zaznaczone przez nią cele dążeń ludzkich do ram jednego ze swoich ideałów.

Zieliński zaznacza, że walka pomiędzy tymi teoriami trwa do chwili obecnej, jakkolwiek bez dawnej zapalczywości, i, jak się zdaje, w obszernej dziedzinie zjawisk kulturalno-historycznych przeciągnie się na długo. Nie powin-

no to nikogo zatrzącać; obawa przed walką nie jest dowodem siły.

My, w naszych tutaj rozważaniach, oprzemy się, rzecz prosta, na teorii ideologicznej, a to dla dwóch przyczyn: po pierwsze dlatego, że jak wykazało doświadczenie, uzależnienie zasady ekonomicznej od ideologizmu daje się przeprowadzić praktycznie, a nie udało się dotychczas udowodnić możliwości odwrotnej. Wyłącznie w oparciu o zasadę ideologiczną można nadać jedność i konsekwencję przedstawieniu kulturalnego rozwoju jakiegoś narodu. Po drugie, specjalnie rozwój wartości i form architektonicznych, tak mocno oparty o ducha kultury antycznej lub średniowiecza chrześcijańskiego, pozwala nam zrozumieć istotę naszej sztuki i podstawy naszego działania.

Uznając zasadę ideologiczną za gwiazdę przewodnią nie tylko naszych tutaj rozważań, ale przede wszystkim *działania* architekta wykonującego swój zawód, stajemy bezpośrednio wobec pytania: jakie są owe ideały, do których każe nam dążyć nasza natura?

Aczkolwiek pojęcie ideału jest pojęciem moralnym i jego wartością moralną będziemy się tutaj pilnie zajmować, to jednak w założeniu naszego pytania postaramy się szukać na nie odpowiedzi raczej w tej nauce, której przedmiotem jest nasza psychika, a więc w psychologii.

U podstaw tej nauki leży podział zjawisk psychicznych na trzy kategorie: wyobrażenia, uczucia i akty woli. Oczywiście, że w psychice istoty doskonałej wszystkie te zjawiska zespala się w jedno i wtedy ideał jest osiągnięty. W praktyce rzecz przedstawia się w sposób bardziej złożony i trudno jest zarówno przytoczyć zestrój doskonały jak i wyodrębnić jego elementy. Właściwie nie podobna

wskazać żadnego zjawiska psychicznego, które będąc pierwiastkowym, należało by całkowicie do jednej z tych trzech kategorii: musimy z konieczności poprzestawać na tym, że będziemy klasyfikować te zjawiska *zależnie* od *przewagi* w nich pierwiastków jednej z tych trzech kategorii, dzieląc je na zjawiska o charakterze (przeważnie) poznawczym, zjawiska o charakterze (przeważnie) uczuciowym i zjawiska, zachodzące (przeważnie) w dziedzinie woli.

Z punktu widzenia nauki taka trudność w sublimowaniu zjawisk stanowi niewątpliwą przeszkodę, ale z naszego punktu widzenia kryje ona w sobie głęboką treść moralną, której w dalszym toku naszych rozważań poświęcimy wiele uwagi. Okaze się bowiem, że nie podobna w życiu praktycznym ograniczyć się do jednej dziedziny zjawisk i że wszelkie działanie pozornie dotyczące jednej, zająbia się w mniejszym lub większym stopniu o pozostałe dwie.

Ale nim poprowadzimy naszą myśl w owym jednoczącym wszelkie zjawiska psychiczne kierunku, zastanówmy się najpierw, na czym polega dążenie do doskonalenia się w każdej z tych trzech kategorii, skoro uznaliśmy je za wrodzone naszej duszy?

Kategoria pierwsza: dziedzina *poznawcza*. Tutaj doskonalenie się polega na zbliżeniu możliwie najbliższym naszego *wyobrażenia* o przedmiotach, stanowiących nasz świat zewnętrzny i wewnętrzny, w jego przeszłości, teraźniejszości i przyszłości do przedmiotów samych.

Ideałem, który temu dążeniu przyświeca, jest *ideał PRAWDY*. Zaś zespół zdobywcy poznawczych, w których się objawiła siła przyciągająca tego ideału nazywa się *nauką*.



Kategoria druga: dziedzina *uczuć*. Tutaj dążenie do ideału polega na jak najdoskonalszym pogłębieniu i oczyszczeniu uczuć naszych przez takie wrażenie, które zwiększając naszą zdolność do życia, potęgowałoby dla nas jego wartość. Dążeniom tym przyświeca *ideał PIĘKNA*. Całkowity zaś dorobek ucieleśnień tego ideału zamknięty w tworach naszego ducha i ręki nosi miano *sztuki*.

Kategoria trzecia: dziedzina *woli*. Dążenie w tej kategorii sprowadza się do nadania takiego kierunku naszemu postępowaniu, który umożliwi nam osiągnięcie *dobrobytu*, ale w szerokim znaczeniu tego słowa, wykraczającym poza ramy ciasno pojmowanego egoizmu. Dobrobyt własny jest egoizmem najprymitywniejszym i stanowi cechę nie tyle ludzi pierwotnych, co raczej zwyrodniałców. Dobrobyt, jaki mamy na myśli w tej kategorii działania *wolnej woli*, dotyczy naszych bliskich lub głębiej ujmując tę sprawę — bliźnich; w rozumowaniu rodowym, społecznym, zawodowym lub narodowym będzie to wyższy stopień egoizmu, określanymi zazwyczaj jako „względny altruizm“ albo „zbiorowy egoizm“.

Dopiero objęcie swych zamierzeń w tej kategorii postępowania programem wobec całej ludzkości, określa się nazwą czystego altruizmu. Jest to stopień najwyższy moralności człowieka. Ideałem, który dyktuje takie postępowanie, jest *ideał DOBRA*. Zespół zaś form życia, stworzonych przez nas dla możliwego wcielenia tego ideału, stanowi dziedzinę *obyczajów* w najbardziej ogólnym znaczeniu tego słowa.

Takie określenie obyczajów ma tę zaletę, że można w nim pomieścić całokształt życia społeczno-ekonomicznego, ponieważ wszystkie jego formy i warunki zostały stworzone przez ludzi dla zabezpieczenia sobie i swoim możliwie

wielkiego dobrobytu. Pojęcie dobrobytu może być ujmowane w bardziej lub mniej szerokich granicach i, zależnie od tego ujęcia, wzrasta lub maleje wartość moralna tych form i warunków.

Ponieważ przyjęliśmy tutaj zasadę podporządkowania względów ekonomicznych — względom ideologicznym, bez umniejszania zresztą ich znaczenia, zyskujemy możliwość wprowadzenia całego systemu kultury z jednej *idei* podstawowej.

Nasuwa się teraz pytanie, jak przedstawia się aspekt architekta, w świetle tych trzech kategorii a więc w dziedzinie poznawczej, dziedzinie uczuć i dziedzinie woli.

W dziedzinie poznania nauka architekta „*architecti est scientia*“, — jak powiada stary Witruwiusz, — „*pluribus disciplinis et variis eruditionis ornata*“ (I, 1, 1): „Nauka architekta jest ozdobiona [wieloma dyscyplinami i różnymi umiejętnościami; według jej sądu oceniane są wszelkie dzieła wykonane w zakresie innych sztuk“. Co oznacza, że 1. architektura jest nauką i 2. inne dyscypliny i wiedza z innych dziedzin „zdobiąca“ architekturę nie jest architekturą. Profesor Wasiutyński tak komentuje to zdanie: „Istotnie, nauki ścisłe, stanowiące składniki *wiedzy* architekta nie są *nauką* architektury¹⁾).

W dziedzinie uczuć, a więc dziedzinie architektury — sztuki zamyka się cały ogrom ambicji twórczych architekta. Cała pasja wyzwolonych lub okiełznanych namiętności człowieka²⁾).

Działanie jego, uwieńczone wykonaniem dzieła architektury, może się dokonywać na najrozmaitsze sposoby.

¹⁾ Myśli te będą rozwinięte szerzej w 11-ym rozważaniu.

²⁾ Myśli te będą rozwinięte szerzej w 12-ym rozważaniu.

Hamulcem lub podniętą w tym działaniu jest jego wola. Może on dążyć do osiągnięcia swych celów „za wszelką cenę“ lub nakładając sobie hamulce moralne³⁾.

Aby powstało dzieło architektury potrzebne jest zsynchronizowanie wszystkich trzech czynników, o których tutaj mowa. Dlaczego?

Dlatego, że jeżeli wejdzie w grę tylko jeden z nich np. nauka, bez sztuki i bez podstaw moralnych, może powstać co najwyżej budynek o względnej użyteczności, tzn. budynek sam w sobie użyteczny, ale przystosowany do celów egoistycznych jednostki z krzywdą interesu społecznego lub publicznego. Jeżeli powstanie budynek komponowany przez utalentowanego nieuka, okaże się on nieużyteczny lub nietrwały, marnotrawiący dobro materialne, a tym samym szkodliwy moralnie.

Może się zdarzyć, że powstanie budynek z zastosowaniem wszelkich zdobyczy wiedzy i uwzględniający potrzeby nie tylko swego przeznaczenia, ale także i wyższej użyteczności; będzie miał tylko jedną na pozór wadę: będzie szpetny. Co wtedy? Wtedy po pierwsze, nie będzie dziełem architektury, gdyż nie będzie „*pluribus disciplinis et variis eruditionis ornatus*“, a po drugie, użyteczność jego będzie deprawowała zmysł piękna szerokich mas ludności, prowadząc je ku błędnemu ocenianiu wartości estetycznych, a więc oddziaływanie jego pod względem moralnym będzie dodatnie tylko pozornie.

Sądzę, że nie trzeba zaprzatać sobie umysłu zbyt rolicznymi permutacjami tego zagadnienia. To, co wyżej powiedziano, powinno wystarczyć całkowicie, aby ugruntować przeświadczenie, że dla powstania dzieła architektury, ma-

³⁾ Myśli te będą rozwinięte szerzej w 13-ym rozważaniu.

jącego być całkowicie dziełem kultury architekta jak i zlecniodawcy, występuje jako niezbędny warunek całkowita synchronizacja wszystkich trzech ideałów: prawdy, piękna i dobra.

Jak przedstawia się na tle tak pojętych zadań postać architekta-człowieka, *powołanego* do ich urzeczywistnienia?

Musi być mądry, utalentowany i uczciwy.

Musi być mądry. Wśród siedmiu darów Ducha Świętego wymieniamy na pierwszym miejscu aż trzy pojęcia różnicujące właściwości naszego umysłu, a więc Mądrość, Rozum i Umiejętność. Trzy te dary Ducha Świętego inaczej są pojmovane w odniesieniu do spraw wiary, inaczej do spraw tego świata, lecz transpozycja jest łatwa i nie obraża cnoty teologicznej. Dar mądrości w sensie teologicznym jest potrzebny do lepszego *poznawania* Boga i doskonałości Bożej. Dar rozumu — do głębszego *zrozumienia* tajemnic wiary. Dar umiejętności — dla *przystosowania* spraw doczesnych do zasad wiary i używania rzeczy ziemskich na chwałę Bożą.

A więc mądrość to poznanie, rozum — zrozumienie, umiejętność — przystosowanie.

Mądry architekt posiada dar ujmowania szeroko zagadnień, które stają przed nim. Nie darmo nazywa się on po grecku architekton, co wyłożyć można „ponad dachem“, a więc taki, co z wysoka, sponad dachu patrzy na zadania, jakie stają przed nim.

Rozumny architekt wniknął w ducha swojej sztuki, zna wszystkie „plures et varias eruditiones“ i *umiejętnie* używa ich na chwałę Bożą, a więc dla dobra publicznego, dążąc ku zaspokojeniu poprzez swoje dzieło pojęte mądrze, pomyślane rozumnie i zbudowane umiejętnie zadań nie

tylko wąsko pomyślanej korzyści bezpośredniej, ale conajmniej bez obrazu użyteczności wyższej, dążąc ku ideałom altruistycznym.

Architekt musi być utalentowany. Przywykliśmy sądzić, że talent jest darem natury. I tak i nie. Chrześcijanin powie, że jest darem Boga, że jest łaską i będzie bliższym prawdy, gdyż łaskę w myśl nauki Kościoła można uzyskać, podobnie jak i talent można rozbudzić, rozwinąć.

Talent wrodzony jest wielkim ułatwieniem, ale także i niemłą przeszkodą. Talent skłania do łatwizny życiowych, do prześlizgiwania się po powierzchni życia. Talent, podobnie jak piękno ciała i twarzy, będąc naturalnym sprzymierzeńcem szczęśliwego wybrańca, stawia na jego drodze liczne pokusy, które odwodzą go od wskazanego celu. Talent skłania do rywalizacji, a rywalizacja podsuwa pomysły ułatwiające zdobywanie pierwszeństwa, nie zawsze zgodne z uczciwością. Nadto owo pierwszeństwo jest wartością względną. Ten, kto jest lepszy od innych, niekoniecznie musi być dobry, może być tylko mniej zły od nich. Dlatego wszelkie zawody i konkursy nie stwarzają oceny istotnej i dlatego ten, kto otrzymał pierwszą nagrodę na jakimś konkursie, nie zawsze bywa przez to samo istotnie najodpowiedniejszym człowiekiem do przeprowadzenia zadania stanowiącego przedmiot konkursu.

Istotny talent rozkwita jako wynik wytrwałego dążenia i pracy nad samym sobą; jest łaską, która może być włożona do kołyski, ale która także może na ciebie spłynąć jako nagroda za włożony wysiłek. I to jest dopiero talent prawdziwy. Bo talent wrodzony można zmarnować, a talentu rozwiniętego wielkim wysiłkiem woli nikt *nie zechce* zmarnować.

Architekt musi być uczciwy. Jeżeli postaramy się wniknąć w istotę tego, co powiedziano o mądrości, rozumie, umiejętności i talencie architekta, to zrozumiemy, że cztery te wartości mogą tylko wówczas osiągnąć pełnię swej doskonałości, jeżeli architekt, który je posiadał, będzie uczciwy. Zważmy bowiem:

Czy człowiek mądry, chcący naprawdę szeroko ujmować stojące przed nim zadania, zgodzi się bez obrazu swej mądrości zacieśnić je do drobnej, osobistej korzyści?

Nie, bo w takim razie mądrość jego będzie wątpliwa.

Czy człowiek rozumny, który przeniknął wszelkie tajniki swej sztuki, zgodzi się bez obawy utraty szacunku dla siebie samego nadużywać jej dla doraźnych korzyści?

Nie, bo w takim razie rozum jego okazałby się krótkowzroczny.

Czy człowiek biegły w swym zawodzie, zgodzi się wykonywać go w sposób partacki dla celów, o których nie mógłby mówić publicznie?

Nie, bo w takim razie biegłość jego znalazłaby się pod znakiem zapytania.

Czy człowiek utalentowany zgodzi się obniżyć lot swego talentu lub oddać go na usługi podejrzanych celów?

Nie, bo w takim razie jego ambicja artystyczna zostanie obryzgana błotem.

Dlatego architekt, chcący być architektem zupełnym, musi być człowiekiem uczciwym.

Lecz uczciwość, jako wartość moralna, musi przezwyciężać najrozliczniejsze przeszkody i zasadzki. Występek ukazuje się nam z najponętniejszym obliczem, w najniewinniejszej szacie.

I jeżeli powtarzamy aforyzm świata antycznego: „ars una — species mille“, to pomyślmy, że można by sparafrazować tę sentencję, mówiąc iż błąd, aczkolwiek przyjmuje najrozliczniesze oblicza, zawsze pozostaje błędem tym samym i zawsze tak samo rozmazuje się wstrętną plamą na pięknej szacie naszej sztuki.

Ażeby służyć Architekturze, nie wystarczy nabyć biegłości w „dyscyplinach, które ją ozdabiają“.

Trzeba albo mieć powołanie, albo drogą wytrwałej pracy nad sobą uzyskać łaskę służenia jej uczciwie.

W przeciwnym razie, nie będziesz architektem, lecz zaledwie zdziełcą projektów, partaczem i przekupniem.

A dla takich nie ma miejsca w Świątyni.

Architekt nie pracuje sam. Jest to szczególnie bardzo doniosłego znaczenia, on bowiem odróżnia architekta od malarza, poety, pisarza.

Michał Anioł, przejęty nieuzasadnionym lękiem przed rzekomą złą wiarą zawistnych rywali, nie dopuścił nikogo do pomocy przy malowaniu sklepienia Sykstyń. Pracę, która by mogła powalić kilku ludzi, wykonał sam, zupełnie sam, w przeciągu zaledwie czterech lat. Ale tenże sam Michał Anioł musiał korzystać z pomocy robotników, rzemieślników i artystów, gdy rozpoczął prace przy budowie bazyliki Świętego Piotra.

Praca w zespole stawia architekta wobec konieczności stykania się nie tylko z ludźmi o różnym stopniu wykształcenia, ale także i z ludźmi należącymi do różnych klas społecznych, a więc o różnych sposobach myślenia.

W pracy tej może być jednym z wielu, wykonujących pomysł architekta naczelnego, bądź też, może być właśnie architektem naczelnym. Czasem rozkazuje, kiedy indziej słucha.

Każdy z nas musi najpierw przez długi nieraz szereg lat być jednym z wielu, zanim stanie na czele zespołu wykonującego już jego własne pomysły.

Ale często nawet wówczas, gdy stanął na szczycie drabiny zawodowej, ma przy swoim boku konstruktora lub innego specjalistę czy artystę, który, wspólnie z nim ponosi odpowiedzialność albo nawet zbiera z nim razem zaszczyty po zakończeniu pracy. Niektórzy, szukając porównań, zestawiają architekta naczelnego raczej z kapelmistrzem, niż z wirtuozem, z reżyserem a nie protoganistą.

Dlatego też architekt naczelnny uczciwie myślący przyznaje w duchu, a jeśli ma poczucie sprawiedliwości, to daje głośny wyraz swemu przeświadczeniu, że:

gdyby jego pomysł nie został należycie opracowany rysunkowo,

gdyby jego pomysł nie został należycie opracowany konstrukcyjnie i przemyślany pod względem statycznym,

gdyby jego pomysł nie przeszedł przez filtr rzeczoznawców w zakresie poszczególnych jego przeznaczeń,

gdyby jego pomysł nie został należycie przygotowany jako podkład wykonawczy,

gdyby jego pomysł nie dostał się w ręce uczciwego przedsiębiorcy — wykonawcy,

gdyby jego pomysł nie znalazł odpowiedniej ilości miłujących swój zawód i biegłych w swojej sztuce rzemieślników,

to z tego pomysłu zostałyby niewiele i zamiast przynieść chlubę swemu twórcy, świadczyłby o jego niedołęstwie, lekkomyślności lub nieuczciwości, bo:

jeżeli projektu nie narysowano tak, jak się należy, to on, a nie kto inny, nie umiał, albo zaniedbał, albo też nie chciał zgromadzić przy sobie odpowiednich rysowników,

jeżeli obliczenia wykonano niedbale, są zbyt słabe lub zbyt kosztowne, to znaczy, że on, a nie kto inny, nie umiał,

zaniedbał lub po prostu nie chciał skorzystać z pomocy mądrego, sumiennego i uczciwego konstruktora,

jeżeli gmach przezeń zbudowany wykazał wady bądź w jego przystosowaniu do zadań, jakie powinien wypełniać, bądź pod względem izolacji dźwiękowej, cieplnej, ogrzewania, wentylacji, wodociągów, kanalizacji, klimatyzacji, oświetlenia, to znaczy, że on, a nie kto inny, nie umiał, zlekceważył lub co gorsza świadomie nie chciał odwołać się do właściwej miary rzeczoznawców.

jeżeli szczegóły wykonczenia zbudowanego przezeń gmachu rażą niedociągnięciami i zdradzają improwizowane w ostatniej chwili rozwiązania, to znaczy, że projekt nie został należycie przemyślany, rysunki zostały zbagatelizowane, a istota rzeczy potraktowana albo lekkomyślnie, albo ze złą wolą,

jeżeli jego projekty dostały się w ręce aferzysty, traktującego przedsiębiorstwo wyłącznie z punktu widzenia zysków, i to jak największych zysków, to znowu trzeba stwierdzić, że to on, nie kto inny, albo nie umiał, albo zaniedbał, albo co najstraszniejsze, świadomie unikał dla siebie tylko wiadomych celów wezwania uczciwego, sumiennego i fachowego przedsiębiorcy.

Wreszcie, jeżeli na rusztowaniu znaleźli się robotnicy niewykwalifikowani i nie zażądano zamienienia ich przez ludzi znających swoje rzemiosło, to znaczy, że albo nie zna się on na robocie, albo go to nic nie obchodzi, albo też, dla różnych ubocznych przyczyn i względów, on, a nie kto inny, nie może tego zażądać od przedsiębiorcy.

Tak więc od architekta wymagamy znajomości rzeczy i znajomości ludzi. Uczciwego stosunku do rzeczy i uczciwego stosunku do ludzi. Prawdziwą znajomość ludzi i praw-

dziwie uczciwy stosunek do nich osiągnąć można przez rzeczywiste koleżeństwo i poszanowanie ludzkiej godności.

Kto nie ma wrodzonego koleżeństwa lub wrodzonego poszanowania człowieka, ten powinien przyswoić sobie jak najspieszniej te cnoty, aby się nimi posiłkować we właściwym znaczeniu tego słowa. I musi się tym zająć już od pierwszej chwili studiów, od pierwszego zetknięcia się z życiem zawodowym. Inaczej nasiąknie złymi narowami, uprzedzeniami, przesadami i fałszywymi osądami.

Musimy sobie uprzytomnić, że pojęciem koleżeństwa należy obejmować całą drabinę hierarchii. Wówczas dopiero osiągamy pełnię koleżeńskiego braterstwa zbliżając nas do ewangelicznej miłości bliźniego, stanowiącą urzeczywistnienie czystego altruizmu, a więc ideał, być może trudny do osiągnięcia, to niewątpliwe, ale stanowiący cel, do którego należy i warto zmierzać.

Jak w rzeczywistości pojmowane bywa koleżeństwo? Zazwyczaj bardzo ciasno, gdyż w swej wrodzonej dążności do wyróżniania się, człowiek chętnie łączy się w grupy i to tym bardziej ekskluzywne, im mocniej czują one swą odrębność.

W środowisku fachowym dostrzegamy te same cechy, co w życiu rodzinnym, klanowym, szczepowym lub narodowym i dlatego studenci, formując się w różne ugrupowania, nie poczuwają się do koleżeństwa z profesorami lub asystentami. Można by mniemać, że to szacunek dyktuje im przyjęcie takiej postawy. Oczywiście, szacunek odgrywa tutaj pewną rolę, ale jest to szacunek mechaniczny. W istocie całym swym postępowaniem większość studentów zdradza coś wręcz przeciwnego.

W zasadzie profesor i asystent są starszymi kolegami, którzy powinni poczuwać się do obowiązku przekazywania studentom wszystkich tajników swej wiedzy i doświadczenia. Studenci zaś, jeżeli celem ich jest nabycie biegłości w swej sztuce, nie zaś wyłącznie zdobycie dyplomu i jeżeli istotnie szanują swoich przywódców duchowych, powinni dokładać wszelkich starań, żeby się *nauczyć* jak najwięcej, a nie *zdobyć* (w dowolny, najłatwiej dostępny sposób) dobrą ocenę z ćwiczeń lub egzaminu.

Fałszywie pojęte koleżeństwo zamienia studentów w zwartą grupę skierowaną przeciw profesorom i asystentom. Fałszywie pojęte koleżeństwo sprawia, że student woli zdobywać dobre stopnie dzięki pomocy ukrytej, niż nabywać wiadomości, potrzebne mu dla dalszych studiów, a później dla biegłości fachowej w życiu zawodowym.

To, że student oszuka profesora lub asystenta, nie przynosi bezpośredniej szkody ani profesorowi ani asystentowi, chociaż obu okrywa śmiesznością przez to, że nie wykazali dostatecznej chytrności i przebiegłości w przychwytywaniu nadużyć. Niewątpliwie sztuczki takie ośmieszają zawsze profesora, lecz w czyich oczach? W oczach ludzi, którzy już a priori wystawiają sobie świadectwo moralne, gdyż dokonując takich czynów, tym samym wyrzekają się tych kwalifikacji areopagu orzekającego, jakie zamykają się w pojęciu „*civis academicus*“.

Są profesorowie, są także i asystenci, którzy błędnie pojmują swój obowiązek względem studenta, swoje posłannictwo nauczycielskie. Rygory moralne obowiązują ich w stopniu wyższym niż studentów, bo oni są tymi, którzy powinni świecić przykładem. Jeżeli nie postarają się oni włożyć w swą pracę całego wysiłku, na jaki ich stać, aby ją

napełnić uczuciem ojcowskiego koleżeństwa, to nie mają prawa oczekiwać synowskiej ufności od swoich uczniów.

Jeżeli profesor uważa swój piękny tytuł jedynie za „decorum“ należne jego stanowisku, pożyteczne w uzyskiwaniu lukratywniejszych zamówień, a słuchaczy swoich za bierny, całkowicie zależny od siebie tłum, który powinien z niemym podziwem trwać w onieśmieleniu wobec jego mądrości, podawanej z wysokości katedry tak mętnie, aby nikt nic z tego nie zrozumiał, jeno truchlał jeszcze bardziej na myśl, że wszystkiego tego musi się później nauczyć do egzaminu, to taki profesor nie jest godny tytułu profesora, chociaż z racji veniam legendi lub innych przyczyn ma do tego tytułu prawo. Nie jest starszym kolegą, nie jest ojcem ani przywódcą, lecz co najwyżej „ojczymem“ i dozorcą.

Lecz gdy profesor wyjaśnia, tłumaczy, gdy o rzeczach trudnych mówi w sposób łatwy, jeżeli uczeń ze swej strony pilnie słucha, pyta gdy nie rozumie, gdy stara się pojąć i zapamiętać to, co usłyszał, wówczas na salę wykładową wkracza duch koleżeństwa, a miłość sztuki, wiedzy i dobra święci chwilę swojego triumfu.

Jedni studenci rysują lepiej, bo mają bieglejszą rękę i bystrzejsze oko, inni nie mają ręki ani oka i dlatego osiągną słabsze wyniki; jednym projektowanie przychodzi łatwo, bo mają wrodzony zmysł kompozycji i wyobraźnię przestrzenną, inni borykają się z trudnościami, bo nie dostaje im tego, co tamci posiadają w nadmiarze.

Czy to, że jedni mają trudności, a innym praca łatwo płynie, może i powinno stanowić podstawę pseudo-koleżeństwa w postaci oszustwa?

Bo przecież to, że szarmancki kolega zrobi rysunek za ładną koleżankę jest oszustwem. Jest oszustwem, a więc

czynem niemoralnym i demoralizującym. Kolega zrobił rysunek, bo miał w tym swoje wyrachowanie. Koleżanka nabiera wiary w siłę płatniczą swoich uśmiechów. Gdzie tu jest koleżeństwo? Nie ma go. Jest tylko handel. Jeżeli kolega chce być prawdziwym kolegą pięknej koleżanki, to, zamiast wyręczać ją w pracy, udzieli jej wskazówek; nauczy ją rysować, zamiast uczyć handlu uśmiechami. Jeżeli koleżanka mu się podoba w sposób uczciwy, to nie powinien wskazywać jej drogi handlu uśmiechami, bo może się zdarzyć, że za cenę takiego samego uśmiechu nabędzie u innego kosztorys. A jeżeli jest cynikiem, to mit o koleżeństwie pryska i błędny Roland, rzekomo nieustraszony i nieskazitelny, okazuje się Casanową z placu Kercelego.

Ale jest jeszcze trzeci kolega, jest ich nawet więcej. To ci, co patrzą z boku obojętnie. Studenci przecież wiedzą i widzą wszystko. Dlaczego milczą? Dlaczego biernie pozwalają na to, co się dzieje? Bo są „dobrymi kolegami“. Nie będą przecież donosicielami. Czyż tu chodzi o donosicielstwo? Bynajmniej. Żaden profesor i żaden asystent nie chce słyszeć o donosach. Donos rzuca przede wszystkim cień na donosiciela, bo nigdy nie wiadomo, co było istotną pobudką donosicielstwa: zazdrość, zawiść, zemsta, pochlebstwo? Żaden z tych impulsów nie ma moralnego podłoża.

Ale ten, kto pozostaje obojętnym na podobne rzeczy, bierze część winy także i na siebie. Dlaczego milczy? Dlaczego wszyscy milczą? Czyż nie można odwołać się do poczucia sumienia? Czyż nie znajdzie się ktoś, kto wytłumaczy istotę błędu chłopcu, głupotę lub przewrotność dziewczynie? Kto zażąda od nich w imię godności akademika zaprzestania takich praktyk, a gdy to nie pomoże, to czemu nie zagrozi sądem koleżeńskim?

Civis academicus — to wielkie słowo. Powinny o nim pamiętać i powinny je szanować zarówno szarmanckie chłopaki jak i czarujące panny.

Nie bądźmy kwakrami i nie uogólniajmy. Nie każdy uśmiech jest sprzedajny i nie każdy chłopak musi być uwodzicielem. Natomiast często młodzież źle wyraża swoje uczucia i często myli się w pojmowaniu koleżeńskiej „sztafki”. Najczęściej nawet po prostu nie zastanawia się nad tym, co robi. Istnieje wszakże występki bezsporny i bezwstydnym. Występki ten ma swoją miarę: *pieniądz*. Tutaj gra idzie w otwarte karty. Jeden płaci, drugi bierze. Wypadki te nie należą do rzadkości, a co gorsza występują stale, nagminnie i niezależnie od rzekomej „wojennej demoralizacji”.

Zdarzyło się kiedyś, że pewien fanatyk uczciwości studentów zwołał zebranie studentów i próbował im tłumaczyć, co wolno, a czego nie. Na to wystąpił pewien student i z cynizmem oświadczył, że handluje i zamierza nadal handlować projektami, gdyż lubi eleganckie i kosztowne krawaty i potrzeba mu na to dostatecznej ilości pieniędzy.

Jaki jest tutaj układ sił?

Taki, że jedni mają talent do interesów, inni talent do architektury. Ci, którzy mają talent do interesów, chcą zdobyć tytuł architekta potrzebny do otrzymywania i zdobywania większych zamówień. Nim to nastąpi, już jako studenci umieją zdobywać mniejsze zamówienia i szkoda im tracić czas na ślęczenie nad deską. Od tego są „murzyni”. Za robotę płacą. Płacą dobrze, więc wszystko jest w porządku.

Czy istotnie wszystko jest w porządku?

Rzecz się pozornie komplikuje przez to, że obie strony są zadowolone. Jeden dał, drugi wziął. Naiwny profes-

sor dał się oszukać i stopień postawił. Zostawmy na boku profesora. Nie żądajmy od niego talentów detektywa. Ma on przed sobą inne zadania niż przeglądanie pod światło rysunków lub sumień.

Oceńmy czyn sam w sobie.

Kto jest tutaj winien? Kto jest tutaj deprawatorem?

Winien jest tutaj ten, kto płaci. Winien ten, kto bierze pieniądze. I winni są ci wszyscy, którzy na taki handel pa-trzą obojętnie.

Gdzie tu jest koleżeństwo? Czy może być tutaj w ogóle mowa o koleżeństwie? Nie ma koleżeństwa i nie może być o nim mowy. Ten, który płaci, wchodzi automatycznie w skórę zleceniodawcy: ja płacę, ja wymagam. Wprawdzie dąży do tego, żeby zdobyć tytuł architekta i na pewno dzięki swemu cynizmowi cel zamierzony osiągnie, ale 1. nie będzie tak biegłym w swej sztuce architektem, jak ten, który tytuł zdobędzie własną ciężką pracą, a pomimo to 2. będzie się uważał za lepszego od niego. On przecież zawsze będzie umiał zdobyć „murzyna“, bo dowiódł, że zawsze będzie umiał pływać po chybotliwym żywiole koniunktury. To jedno, czego się na pewno w szkole nauczył. Już teraz, w czasie pobytu na Politechnice, wypatruje sobie utalentowanych niedołęgów, z których sobie robi „murzynów“. Ogół zaś kolegów patrzy na to obojętnie, a nawet z podziwem i nikomu to nie przeszkadza, że obok nich wyrasta i porasta w pierze kanalia, która będzie swym postępowaniem plamiła tytuł architekta, rzucała cień na szkołę. Nikomu nie przeszkadza, że ten drugi dla pieniędzy fałszuje projekty, oszukuje profesorów, którzy z całą ufnością i oddaniem uczyli go, pracą swoją uzbrajali go

w środku, których on używa dla rajfurzenia swoim talentem.

Jeżeli chcemy, aby nas szanowano, szanujmy siebie samych, szanujmy swój zawód, szanujmy swoją sztukę, szanujmy swoje środowisko.

Wchodzimy w życie przez drzwi szeroko otwarte z czołem podniesionym i z uczciwie zdobytym dyplomem w ręku. Sami wyrywajmy chwasty, które się pomiędzy nami plenią, nie składajmy tego na drugich, nie przymykajmy oczu.

Przed nami życie i dalsza droga koleżeństwa.

Dopóki byliśmy w szkole, usypialiśmy nasze sumienia, składając odpowiedzialność za nasze grzeszki na profesorów, na asystentów. Bo, skoro są tacy głupi?

Ale teraz już nie ma profesora. Teraz już nie ma tego głupca, na którego zrzucimy odpowiedzialność za nasze szwindle i łajdactwa.

Teraz jest tylko opinia publiczna, którą można oszukać, nadzór budowlany, który można przekupić i sąd, który można okłamać.

Prawda, jest jeszcze sumienie, ale z nim można zawrzeć kompromis.

Droga uczciwie pojmowanego koleżeństwa kładzie na nas ciężkie i zawiłe obowiązki.

Właściwie pojmowane koleżeństwo czyni nas uczciwymi względem kolegów, względem naszej sztuki i względem społeczeństwa.

Powinniśmy bowiem pamiętać zawsze, że zawód nasz jest posłannictwem, że zawód nasz ma wspaniałe tradycje i świętych patronów. Że ten, kto nie jest dobrym kolegą, kto jest zawistny, podstępny, nielojalny, obłudny, ten rzuci płamę nie tylko na siebie i na zawód, ale znieważa świętość sztuki architektonicznej.

Cóż to jest koleżeństwo prawdziwe?

Koleżeństwo prawdziwe każe nieść pomoc całkowicie bezinteresowną w imię dobra publicznego każdemu kole-dze, który tej pomocy potrzebuje. Jeżeli kolega wziął na siebie zadanie przekraczające jego siły i możliwości, popeł-niając lekkomyślność, powinniśmy mu zwrócić uwagę na niewłaściwość jego postępowania, ale pod jednym warun-kiem, że uczynimy wszystko, co leży w naszej mocy, ażeby wywikłać go z biedy, w którą zabrnął i nie wolno nam za tę pomoc wziąć żadnych pieniędzy, ani też jakiegokolwiek innego odszkodowania za czas stracony, nawet wynagro-dzenia w postaci upominku.

Skoro bowiem kolega nasz popełnił lekkomyślność, podejmując zbyt trudne zadanie, nie wolno stawiać go w sytuacji przymusowej. Godność naszego zawodu wyma-ga, ażeby ten, kto dał zamówienie *architektowi*, nie został pokrzywdzony przez jego lekkomyślność lub chciwość osoby trzeciej (też architekta), wykorzystującej taką sy-tuację.

A co powinien uczynić architekt, gdy pragną mu po-wierzyć wykonanie zadania, które nie leży w zakresie je-go specjalności? Powinien skierować tych, którzy mu za-ufali, do tego kolegi, który umie wykonywać tego rodzaju zadanie. Powinien to uczynić bezinteresownie, co najwyżej przyjmując honorarium od klienta za konsultację. Nie wol-no mu wszakże brać tak zwanego porękawicznego w posta-ci prowizji od kolegi za skierowanie doń klienta.

Bywa tak, że architekci przyjmują zamówienie, które-go sami nie są w stanie wykonać, a następnie proponują odpowiedniemu koledze zawarcie jednorazowej spółki jaw-nej lub ukrytej. Sumienie swoje zagłuszają takim rozumo-waniem: zleceniodawca ma do mnie zaufanie, a tamtego nie

zna. Ja więc jestem gwarantem uczciwości mego kolegi, zresztą dam także swoją pracę.

Rozumowanie takie jest błędne. Architekt nie jest zawodowym żyrantem, to nie do niego należy. Żyrant ma wartość o tyle tylko, o ile zwraca faktycznie poniesione straty, a więc może nim być jakaś instytucja finansowa. Człowiek, który handluje tym, że jest uczciwy i czerpie zyski ze swej uczciwości, już przez to samo przestaje być uczciwy.

Zastanówmy się w ogólności nad tym, za co architekt bierze pieniądze? Po pierwsze za swoją pracę, po drugie za opiekę nad interesami swego zleceniodawcy. Może on przeprowadzić budowę, może dopomóc w wyborze kupna domu lub placu, może udzielić takiej lub innej opinii fachowej. Nie może pośredniczyć w interesach w charakterze ofertanta, o czym będziemy mówili później. Zawieranie więc koniunkturalnych spółek, branie prowizji od kolegów jest niedopuszczalne z punktu widzenia etyki zawodowej, jest wykroczeniem przeciw elementarnemu poczuciu koleżeństwa.

Bardzo trudną próbą w zakresie solidarności koleżeńskiej jest moment, gdy architekta zapytają o opinię o jego koledze.

Wypadek, który tutaj poprzednio przytoczono, kryje w sobie opinię dodatnią, gdyż, skoro architekt proponuje koledze spółkę — znaczy, że uważa, iż ten kolega wniesie do pracy wartości, których on sam nie posiada. I jedynie forma pośredniego wyrażenia tej opinii jest niewłaściwa.

Inaczej nieco sprawa wygląda, gdy architekta pytają wręcz, co myśli o swym koledze, o wartości jego talentu, wiedzy lub uczciwości.

Są tutaj różne zapatrywania. Jedni odmawiają kategorycznie odpowiedzi, ale sposób odmówienia może być „wiele mówiący“. Inni odpowiadają wymijająco, trzeci wreszcie dają z reguły konwencjonalną odpowiedź: „bardzo... bardzo...“. Wszystkie takie odpowiedzi są niegodne uczciwego człowieka i dobrego kolegi.

Na czym polega istota zagadnienia? Polega na tym, że w grę wchodzi interes mój, kolegi, osoby trzeciej i dobra powszechnego.

Interes mój polega na tym, że dając odpowiedź uczciwą, umacnam moją opinię uczciwego człowieka, prawdziwego kolegi, rozumiejącego i szanującego interes społeczny architekta.

Interes kolegi polega na tym, że rzucam światło na niego jako na człowieka i fachowca. Nawet opinia ujemna, jeżeli nie jest obmową, nie obraża nikogo. Chirurg nigdy się nie obrazi, jeżeli powstrzymamy chorego na serce od uciekania się doń o poradę. Natomiast może mieć słuszny żal, jeżeli wypowiemy powątpiewanie o jego sumienności.

Interes osoby trzeciej, a więc zleceńodawcy, polega na udzielaniu mu pozytywnej odpowiedzi, jakiej oczekuje ode mnie, do którego zwrócił się z pełnym zaufaniem.

Wreszcie interes społeczny może być zagrożony, jeżeli kierując się względami egoistycznymi, uchylę się od dania odpowiedzi mającej na celu sprawę „wyższej użyteczności“.

A więc jaką należy dać odpowiedź?

Taką, którą możemy wyrazić na piśmie bez obawy okazania jej temu, o którym ją wydajemy, oraz bez obawy złożenia jej w organizacji zawodowej, do której należymy, wreszcie taką, której nie obawialibyśmy się przeczytać w dzienniku złączoną z naszym nazwiskiem.

Opinii poufnej wydawać się nie powinno.

Opinia poufna godzi w poczucie koleżeństwa.

Mówiliśmy tutaj o zawieraniu spółek przez architektów. Spółka, niezależnie od jej strony prawnej, co dla nas w danych okolicznościach jest całkowicie obojętne, ma na celu korzyści obustronne moralne lub materialne, albo jedne i drugie.

W zasadzie nie ma w tym nic złego, jeżeli spółka jest jawna i jeżeli żaden ze wspólników nie znajduje się w sytuacji szczególnie uprzywilejowanej.

Są jednak pewne formy obyczajowe, które powinny być przestrzegane. Przede wszystkim, jeżeli istnieje już spółka, to powinna być całkowita i żaden ze wspólników nie powinien wykonywać zawodu samodzielnie. Następnie należy przestrzegać hierarchii i starszeństwa. A więc nie powinien starszy kolega przyjmować propozycji od kolegów młodszych, tak jak nie do pomyślenia jest, aby student zaproponował spółkę asystentowi lub profesorowi. Profesor powinien kierować się zasadą, że studenci jego, jego *uczniowie*, nawet po uzyskaniu dyplomu mają moralne prawo do jego pomocy całkowicie bezinteresownej i nigdy tej pomocy nie powinien im ani odmawiać, ani odmieścić. Tym bardziej ciągnąć z niej zysków w charakterze wspólnika.

To samo dotyczy w pewnej mierze starszych lub wybitniejszych architektów. To, że np. młodszy, nie mający kwalifikacji do samodzielnej pracy kolega, dzięki temu, że ma tzw. „stosunki“ uzyskuje zamówienie i przychodzi do starszego lub bardziej uzdolnionego kolegi z „propozycją“, nie jest argumentem chociażby dlatego, że propozycja taka wynika albo z nieświadomości, albo ze złej woli w stosunku do zleceniodawcy i jest ukrytym poręczawicz-

nym, a więc czynem sprzecznym z poczuciem zasad elementarnych.

Tyle o spółkach w ścisłym znaczeniu tego słowa. Istnieje inny jeszcze rodzaj spółki o charakterze moralnym w pierwszej linii i wypływających stąd konsekwencjach materialnych.

W zasadzie własność autorska projektu należy do architekta naczelnego, u którego pracuje jeden lub więcej architektów bezimiennie. Powstały w ten sposób projekt jest dziełem zbiorowym, w którym udział poszczególnych osób rozmaicie się zaznacza. Sam fakt powierzenia pracy architektowi naczelnemu przesądza o tym, że on jest głównym autorem projektu. Jednak od jego sumienia oraz od jego poczucia koleżeństwa zależy stopień oceny wkładu duchowego jego pracowników. Sumienie powinno mu dyktować obowiązek ujawnienia w podpisie pod projektem wszystkich nazwisk, które się istotnie przyczyniły do powstania dzieła, z zaznaczeniem charakteru wkładu. Przykładem powinien służyć zwyczaj wymieniania na pięknych drukach książek nazwisk zecerów, metramparzy itd.

Blask słońca nie blednie od satelitów, przeciwnie nabiera splendoru, a wielkiemu artyście nie wypada opóźnić wejścia w życie jego młodszych kolegów. Powiem nawet więcej. Leży to w jego moralnym interesie, bo przecież oddają mu oni cały zapał swej młodzieńczej pracy i swych młodzieńczych ambicji. Ambicje te nadmiernie powstrzymywane mogą wyładować się w niewłaściwy sposób, mogą spowodować gorycz, która jest zawsze złym doradcą.

Trzeba unikać goryczy, trzeba szanować ambicje swych przyjaciół, kolegów, uczniów, konstruktorów, kreślarzy i wykonawców na rusztowaniu i w warsztacie.

Trzeba pamiętać, że ambicję ma każdy i ma pełne do niej prawo. Że jeżeli żądamy poszanowania naszej ambicji, to szanujemy ambicję drugich.

Że stojąc na drabinie hierarchii społecznej zawsze mamy kogoś poniżej i kogoś nad nami.

Ten, który stoi na szczeblu najwyższym, utrzymuje się na nim tylko dzięki dobrej woli tych, co stoją poniżej.

Jeśli ich urazi, może zostać strącony.

Dość często wyższe uczelnie wydają młodym adeptom architektury dyplomy ukończenia studiów. Co roku nowi zastępcy architektów uzyskuje formalnie samodzielność.

Ale czy przez to stają się oni architektami?

Już raz wypadło tutaj nam stwierdzić, że formalistyka nie może stanowić podstawy naszych rozważań. Gdzie zjawia się problem etyczny, tam pada bezsilny przepis prawny.

Zapytywano kiedyś kogoś o zależność między etyką a prawem. Odpowiedź brzmiała, że etyka jest rygorem, który nie pozwala skorzystać w pełni z przysługującego nam prawa.

Podobnie i tutaj. Z naszego punktu widzenia fakt wręczenia dyplomu i gratulacje profesorów, nie uczynią cię architektem usamodzielnionym, jeżeli rozminąłeś się z powołaniem i jeżeli wchodzisz w życie z fałszywym pojęciem koleżeństwa, tj. takim, które powinna przenikać głęboko przemyślana, w samej swej istocie odczuta i należycie pojęta miłość bliźniego.

Fakty wszakże przeczą temu i z dyplomem w zanadrzu wchodzisz w życie.

Możliwe, iż nie zdajesz sobie sprawy ze swych niedo-

statków. Jesteś młody, życie przed tobą. Któż jest prawdziwie świadomy swych niedostatków? Tak mało ludzi wnika w siebie. Zresztą twoim głównym celem, głównym pragnieniem: Budować! Budować!! Budować!!!

Zapał pierś twą rozszerza. Chcesz tworzyć. Czujesz w sobie siły, aby podołać wszelkim zadaniom, przewyciężyć wszelkie przeszkody. Będziesz brał konkurs za konkursem. Nagrody. Tylko pierwsze nagrody.

Czujesz się samodzielny. Masz w sobie moc i wiarę w swe siły.

Lecz w konkursie jest tylko jedna pierwsza nagroda, a was jest tylu. Przegrałeś. Rozczarowanie.

Będziesz miał więcej rozczarowań w życiu i powinien być szczęśliwy z tego. Łatwo i zbyt wczesnie zdobyta pierwsza nagroda w konkursie powszechnym to wielka krzywda. Bo ona wykoślawia w twym umyśle istotny obraz drogi, po której wypadnie ci dążyć. Ukazuje ci ją w zbyt różowym świetle.

Dopóki byłeś w szkole, dopóki stał za tobą profesor, którego lubiąc nawet zlekka lekceważyłeś za to, że pozwalał ci się naciągać i dawał dobre stopnie za rysunki wykonane z pomocą kolegów, nie czułeś się sam.

Ale teraz, uzyskawszy samodzielność formalnie, w rzeczywistości nie stałeś się samodzielny, lecz osamotniony. Przedtem jeden przez drugiego pomagaliście sobie, by zdobyć stopień, by wspólnymi siłami jak najpiękniej „podać“ pracę dyplomową.

Teraz pomóc koledze w konkursie, to osłabić własne szanse. Teraz kolega już nie jest kolegą. Ten sam kolega, który jeszcze wczoraj był naszą chlubą, naszą dumą, staje się teraz naszym rywalem. Wczorajsze zachwyty przenika

zółć zawiści. On dostał nagrodę. Dlaczego? Bo sędziowie są głupi, bo poszli na lep grafiki, pięknego rysunku, zamiast wniknąć w istotę rozwiązane zadania. Przecież to oczywiste, że twój projekt jest najlepszy, ale cóż poradzić z takimi sędziami?

Lecz nie tylko ty jeden padłeś w konkursie. Przegrali także inni. Gorycz rośnie. I oto rozchodzi się plotka, że wszystko zostało z góry ukartowane. Że szczęśliwy wybraniec miał przyjaciół w sądzie konkursowym. Że wyrok był uplanowany, przesądzony z góry. Cała wasza praca poszła na marne. Cały wasz trud był niepotrzebny, jałowy. Zostałście oszukani.

Rośnie oburzenie, rośnie gorycz, rośnie niechęć, pryska niedawne koleżeństwo. Rodzi się oszczerstwo. Dlaczego? Czyż dlatego, że sąd był istotnie stronniczy? Tego nie wiemy i znowu prowadząc naszą myśl w określonym kierunku, przyjętym już tutaj zwyczajem powiemy, że jest nam to obojętne. Sędziów stronnicych będziemy sądzić we właściwym czasie.

Teraz boli nas sam fakt *podejrzenia*, zazwyczaj opartego tylko i wyłącznie na naszej urażonej ambicji i na naszym oswojeniu się z nadużyciem, jakiego dopuszczaliśmy się w szkole, a które uniknęło kary.

Zbieramy owoce źle pojmowanego na ławie szkolnej „koleżeństwa“, handlu projektami, tolerowania oszustwa i wszelkich innych objawów życia ułatwionego.

Człowiek, który patrzył przez palce na rzeczy brzydkie, zbiera teraz owoce własnej tolerancji.

Pozwalał, a nawet kultywował różne metody postępowania i wreszcie ani się obejrzał, gdy stracił wiarę w człowieka.

Tymczasem podstawowym warunkiem właściwego stosunku do otaczającego go świata, jakiego oczekujemy od wchodzącego w życie architekta, jest wiara w człowieka i ufność do ludzi. Jeżeli było dla ciebie oczywiste, że musisz otrzaskać się z kierownictwem, rysunkiem wykonawczym, jeżeli przemogłeś wstręt do kosztorysów i pogodziłeś się z ich koniecznością, chociaż wolisz tę konieczność zwalić na kogoś innego, to powinieneś zadać sobie trud i poznać umacniać w sercu własnym zachwianą ufność do ludzi i wiarę w człowieka.

Sam nic nie zrobisz i nic nie osiągniesz. Widziałeś przecież, że owoc twojej pracy zależy od dobrej woli i od umiejętności mnóstwa innych ludzi.

Dotychczas, póki byłeś tylko uczniem, celem twojej pracy był rysunek lub egzamin. To mogłeś zrobić sam, a nawet samodzielność była twym moralnym obowiązkiem.

Korzystanie z pomocy drugih było co najmniej błędem, chyba, że otrzymaliście od profesora zadanie zbiorowe, jakąś pracę inwentaryzacyjną lub coś innego w tym rodzaju.

Teraz, idąc w życie, masz ręce rozwiązane, ale i innym rozwiązano ręce. I macie do wyboru, albo zamienić swe środowiska w dżunglę z prawem silniejszego, sprytniejszego i chytrzejszego lub bezwzględniejszego, a w takim razie w dzień strzyc uszami, a w nocy spać jak zając z otwartymi oczyma, albo też, zrozumiawszy mękę takiego życia, przystąpić do dzieła odbudowy w sobie samych tych wartości, które tak lekkomyślnie zniszczyliście własnowolnie przez źle i krótkowzrocznie pojmowane koleżeństwo.

Celem naszym budować. Co? Jak? Dla kogo?

Domy, uczniwie, dla społeczeństwa.

Powiedzieliśmy, że praca nasza jest posłannictwem. Istotnie, bez nas nic się nie dokona. Wszelkie zmiany, jakie zachodzą w dziejach ludzkości, wszelkie przejawy życia, a więc pracy, wyczynku zbiorowisk ludzkich, wzywają nas do pracy, gdyż pociągają za sobą natychmiastowe wznoszenie niezbędnych budowli. Żadnego dzieła społecznego nie podobna podjąć, żadnej pracy twórczej i wytwórczej dokonać bez zapewnienia dachu nad głową dla tych, którzy tę pracę będą wykonywali lub dla zabezpieczenia dóbr i wartości przez nich wytworzonych. Wszędzie więc zjawia się architekt, który, jeżeli chce trud swój wykonać należycie, musi zrozumieć, musi wczuć się w pulsowanie tętna swego wieku.

Jakżeż więc ma on spełniać swe zadanie, jeżeli stracił wiarę w człowieka, jeżeli przestał ludziom ufać i jeżeli wszędzie, co jest bardzo smutne, dopatruje się złej woli, jeżeli ma przeświadczenie, że wszystkie ręce prócz jego własnych są brudne?

Tak być nie może.

żyć warto tylko wtedy, jeżeli się w życie wierzy.

żyć samemu w społeczeństwie nie podobna.

Wykonywanie zawodu architekta w oderwaniu od społeczeństwa jest utopią, szaleństwem, głupotą, bo architekt pracuje dla drugich i z drugimi, pracuje, jak to już powiedziano, w licznym zespole ludzi różnych środowisk i różnych umysłowości.

żyć i pracować bez zaufania nie można. Takie życie i taka praca okażą się niewiele warte.

Musisz więc zadać sobie gwałt i rozpocząć samodzielne swe życie od zbudowania w swej duszy i w sercu swoim mocnych fundamentów pod wiarę w człowieka, pod wiarę

w uczciwość ludzką, pod wiarę w ludzką rzetelność, pod wiarę w możliwość powrotu na właściwą drogę tych, którzy z niej zbczyli lub danie możności i dopomożenie do wstąpienia na nią tym, którzy dotąd jej nie znali.

Inaczej nie będziesz prawdziwym architektem. Inaczej nie będziesz godny noszenia tytułu budowniczego, „ciesli“, tytułu, z którym wkraczasz na drogę, po której dążył i którą wskazał całej ludzkości jako jedyną Ten, który będąc Doskonałością samą, przyjąwszy na siebie postać człowieka, uczył się ciesiołki u swego domniemanego ojca, a potem na opoce piotrowej zbudował Kościół swój na ziemi. Kościół, który jest Mądrością, Dobrocią i Najwyższym Pięknem.

Tak, mój synu, skoro padło już to wielkie słowo. wiedz, że Patronem naszym jest Józef święty, a powolny uczeń jego Mistrzem nad mistrze. Mistrz jako Bóg, a Uczeń jako Człowiek. Ten, który wręczył pewnego dnia klucze do swego domostwa Piotrowi Rybakowi.

Tylko wtedy, gdy weźmiesz w swe serce całą światłość, płynącą z tego wielkiego depozytu, staniesz się prawdziwym architektem.

Spytasz: jakże mam ludzi zmieniać, kiedy ich jest tylu, a ja sam jeden? Jak ludzi zmieniać, skoro oni są mocni, a ja jestem słaby? Jak ludzi zmieniać, jeżeli oni kierują się sposobami, którym ja nie zdołam się przeciwstawić? Jak ludzi zmieniać, skoro wszyscy przepychają się łokciami? Jak ludzi zmieniać, skoro każdy ma jadovitą zmię w zanadrzu? Jak zmienić człowieka, któremu nóż wyziera zza cholewy?

Odpowiem. Nie trzeba rachować złych ludzi, bo nie ty będziesz pokazywał palcem, kto dobry, a kto zły. Raczej

zapytaj siebie, jaki ty jesteś: dobry czy zły? Nie trzeba mierzyć, kto silniejszy. Raczej powinieneś się cieszyć, że jesteś słaby, bo to ochroni cię przed nadużyciem twojej siły. Pocóż zmieniać ludzi na swoją modłę, skoro nie masz żadnej pewności, że twoje kopyto jest proste i zdrowe i nie wiesz na pewno, czy twój sposób postępowania jest słuszny. Ludzie popychają cię łokciami? Pocóż się tłoczyć? Niech się pchają. Mają zmięć jadowitą w zanadrzu? Trzymaj się z daleka, a zobaczysz, że zgłodniała ugryzie tego, który ją dla ciebie przeznaczał. Nóż ma za cholewą? Jeszcze go nie wyciągnął.

Natomiast jest jeden wśród nich, który zrobi wszystko, czego od niego zażadasz, który w palcach twoich będzie jak wosk, który słuchać będzie twego głosu, jakby to były chóry anielskie i podda się twojej woli bez zastrzeżeń pod warunkiem, żebyś tego pragnął z całej duszy. Któż to taki? Ty sam.

Zajmij się sobą samym. Urabiaj siebie samego. Chcesz być architektem? Dobrze. Chcesz się doskonalić w zawodzie? Dobrze. Chcesz zwyciężać na konkursach? Dobrze. Zdobyc sławę? Dobrze. Godzę się nawet na to, żebyś pragnął zaćmić innych.

Ale pamiętaj: wszystkiego sam nie zrobisz. Żebyś budował jak szaleniec przez całe życie, dzień i noc, wszystkiego nie zbudujesz, zostanie wiele pracy dla innych, a ty niepotrzebnie zedrzesz swoje siły. Zresztą ilość nie stanowi o jakości. Znakomity Blondel zbudował właściwie jedną tylko Porte Saint Denis w Paryżu i tą jedną budowlą zdobył nieśmiertelność. Jest wiele arcydzieł architektury rozsianych po świecie, a pył zapomnienia pokrył nazwiska budowniczych pełnych pokory, którzy mieli przed oczyma je-

dynie dzieło, a nie swoją chwałę. Czyż zwycięstwo jest naprawdę zwycięstwem? Czyż jego smak jest naprawdę taki słodki? Czy warto zdobywać nagrodę na konkursie dążąc do niej na przełaj? Nie. Nie warto pozostawiać za sobą goryczy, zawiści i płynącego stąd oszczerstwa.

Możesz to wszystko osiągnąć inaczej.

Ale osiągniesz tylko wtedy, jeżeli od pierwszej chwili samodzielności powiesz sobie:

Nie jestem doskonały. Inni są lepsi ode mnie. Dorównam im wtedy, jeżeli przestanę tracić czas na osądzanie ich wartości, na krytykę ich czynów, na podkopywanie ich opinii, na zdobywanie sobie szcudeł protekcji.

Zamiast mówić, że ktoś jest złodziejem pomysłów, plagiatorem, będę pilnie przestrzegał, bym sam nie popełniał plagiatów. Przecież jeżeli on ma umysł jałowy i bez chwytania pomysłów u drugich sam nic nie jest w stanie wymyślić, to może się zdarzyć i zdarzy się na pewno prędzej lub później, że przyjdzie chwila, iż nie znajdzie odpowiedniego wzorku. Więc zamiast tracić czas na wykrywanie, skąd on czerpie wzorki, staraj się wzbogacić swój umysł, żeby w sobie samym szukać i znajdować rozwiązanie.

Historia podsuwa nam przykład Palladia. Palladio, skromny architekt z prowincjonalnej Vincezy, żył i działał w czasach, gdy cała Italia pozostawała w cieniu wielkiego Michała Anioła, który wtedy właśnie budował w Rzymie bazylikę Świętego Piotra. Palladio uczył się i wniknął jak nikt przed nim w ducha klasycyzmu. Żaden człowiek naszej ery nie osiągnął tak głębokiego zrozumienia klasycyzmu jak Palladio. Toteż z biegiem lat rosły na całym świecie rzesze „palladianistów“. Któż to był owi palladianiści? Byli to ludzie, którzy zaczęli z pasją studiować Palladia, aby możliwie

najwierniej wzorować się na jego sztuce, na tym, co on zbudował. Lecz nie pochwycili tego właśnie, co w jego sztuce było najistotniejsze, a mianowicie prawdy oczywistej, że z każdym nowym zadaniem, jakie się zjawiało przed nim, Palladio, zamiast spoglądać za siebie, lub szukać rozwiązania wkoło siebie — znajdował je w sobie. Każdy nowy jego projekt był inny, był nowy. Gdyby wypadło Palladio'wi budować którykolwiek z gmachów zbudowanych przez jego naśladowców, zbudowałby go inaczej niż oni dlatego, że oni starali się powtórzyć to, co on już kiedyś zbudował w innych warunkach i dla innych celów, on zaś myślałby o tych nowych warunkach i tych nowych celach, jakie wypadłoby mu teraz zaspokoić i wypełnić.

Jaka stąd nauka? Ta, że Palladio pracując wyłącznie nad sobą, a nie tracąc czasu na zwalczanie Michała Anioła lub na podkopywanie jego sławy, osiągnął to, że nazwisko jego jest czczone, a dzieło jego podziwia cały świat. Że, nie uszczupliwszy wielkości Michała Anioła, zbudował wielkość własną i to nie wiedząc nawet o tym, a co ważniejsza nawet nie dążąc do tego i nie zdając sobie sprawy, że wszystko, co czyni, prowadzi go ku wielkości.

Oto droga dla architekta. Oto wzór, jaki powinienes wziąć sobie za cel, wchodząc w życie.

Rozmyślając nad dziełem Palladia i pojawiawszy głęboki sens jego sztuki, postanowiwszy czerpać natchnienie nie z jego dzieł, lecz z niego samego, osiągniesz największe i najtrwalsze zwycięstwo w konkursie życia. Nauczysz się patrzeć szeroko otwartymi oczyma na problematy, z łagodnym uśmiechem przyjmować ciosy i milczeć, gdy cierpi twoja ambicja.

Nie pora mówić w tej chwili o zwycięstwie. Przyjdzie i na nie kolej. Do zwycięstwa idzie się poprzez walkę. A walka jest przeznaczeniem każdego. Lecz ty w tej chwili jeszcze nie walczysz. Dopiero do walki dążysz, do walki się sposobisz, do walki się zbroisz.

Czując w sobie powołanie, umocnione świadomością obowiązku posłannictwa, świadomością jego świętości, aureolą wielkiej tradycji, powinieneś dbać o to, ażeby więzy koleżeństwa, zadziergnięte na ławie szkolnej, przetrwały tę pierwszą próbę życia. Nie tylko, żeby przetrwały, lecz żeby się nawet umocniły.

Tylko ten, który ma głęboki szacunek dla koleżeństwa, przetrwa zwycięsko pierwszą próbę samodzielności, postawi prawidłowo pierwszy krok na drodze życia zawodowego.

Zresztą samodzielność twoja nie jest jeszcze zupełna. Ona dopiero przyjdzie wtedy, gdy uzyskasz prawo podpisywania swych projektów jako samodzielny kierownik budowy.

Prawo to otrzymasz na podstawie egzaminu, już nie przed profesorami, którzy nie byli najgorszymi ludźmi, lecz przed komisją rządową, która cię będzie pytała, czy znasz przepisy prawa. Tak. Zapytają cię o to czy znasz przepisy prawa, ale nikt nie będzie cię pytał o znajomość tego, co dyktuje sumienie.

Nie każdy umie słuchać głosu sumienia, zwłaszcza wówczas, gdy stawia pierwsze samotne kroki na drodze życia zawodowego, gdy na każdym z tych kroków czyha na niego zasadzka lub pułapka.

O, jakże szczęśliwy jest w takich razach ten, kto we właściwym czasie umocnił fundamenty prawdziwego koleżeństwa zarówno z rówieśnikami jak i profesorami czy asy-

stentami. Bo ten, kto pozyskał sobie miłość i zaufanie swych nauczycieli, nigdy nie zostanie sam, nigdy go nie pozostawią samemu sobie, nie pozostawią go na łup pokusom skróconej drogi życia.

Wszystko w życiu się zazębia. Istnieje nieprzerwany łańcuch przyczyn i skutków. Linia naszego życia wznosi się lub opada, zaś Bóg obdarzył nas sumieniem po to, żeby dać nam możliwość stwierdzenia czy przeciętna wzniesień lub upadków zmierza w górę, czy też w dół. Bo nie ma ludzi bezgrzesznych i nie ma grzeszników upartych. Każdy ma chwile zwycięskie i każdy chwile załamania. Lecz każdy ma możliwość poprawy i każdy może pomóc drugiemu.

Więc powinienesz sobie zanotować w pamięci, że:

Jeżeli czujesz, że nie możesz samodzielnie rozwikłać wątpliwości, która ci się nasunęła, zawsze możesz się udać do przyjaciela lub profesora bardziej od Ciebie doświadczonego i prosić o pomoc. Kto pyta, ten nie błądzi. Błądzi ten, kto zbyt łatwo drugich osądza, błądzi ten, kto nie ocenia należycie hierarchii spraw.

Cóż to jest hierarchia spraw?

Hierarchia spraw polega na tym, że:

Aczkolwiek masz pełne prawo czerpać korzyści moralne i materialne ze swej pracy i dążyć do pełnego zaspokojenia swych potrzeb, to jednak prawo to jest ograniczone przeróżnymi rygorami o narastającej doniosłości.

Przede wszystkim, korzyść ta nie może być połączona z niczyją krzywdą materialną i dlatego nie powinienesz się o pracę ubiegać lecz przyjmować ją, jeśli ci ją zaofiarują.

Ponieważ nie posiadasz jeszcze imienia jako fachowiec, możesz pracę otrzymać tylko na zlecenie lub na polecenie twego profesora lub od kogoś, kto ufa ci jako człowiekowi.

Więc jako człowiek nie powinienesz zawieść okazanego ci zaufania i nie podejmować się pracy bez zasięgnięcia opinii u starszego, bardziej doświadczonego kolegi lub u asystenta, któremu ufasz, czy też u profesora, na którego zdaniu szczególnie ci zależy. Dopiero ich autorytetem podparty bierz się do pracy.

Dalej powinienesz sprawdzić, czy przyjmując zamówienie nie wejdiesz w drogę koledze, który miał również widoki na tę pracę. Należy uczynić wszystko, co leży w twojej mocy, ażeby albo po prostu ustąpić koledze albo rzecz wyjaśnić, żeby pomiędzy was nie padło ziarenko goryczy lub niechęci.

Wierz człowiekowi, który ma szmat życia fachowego za sobą, że jednym z najprzykrzejszych momentów życia koleżeńkiego jest konflikt z kolegą, wynikły na gruncie straconych korzyści moralnych lub materialnych. Człowiek, który głębiej wniknie w istotę tego, co ludzi łączy lub dzieli, mając w takim konflikcie do wyboru — zyskać lub stracić, wybierze zawsze to drugie. Bo nawet w tym drugim wypadku też zyska. Zyska zadowolenie z siebie i spokój wewnętrzny, że nikogo nie skrzywdził. Nadto opinia publiczna zawsze stanie po jego stronie, zawsze mu przykłaśnie.

Zresztą uczynisz najlepiej, jeżeli nie będziesz się zbyt kwapił do samodzielności. Zamiast samemu rozpierać się łokciami, czekaj, aż ciebie wypchną. W gruncie rzeczy umiesz jeszcze tak niewiele, że lepiej pracować pod czyjims kierunkiem, pod czyjąś opieką, niż skakać na głęboką wodę, a potem chwytać się brzytwy.

Należy zalecić jak najdalej idącą ostrożność w podejmowaniu się zbyt pochopnie pracy na własną odpowiedzial-

ność. Bowierniebezpieczeństwo popełnienia błędu tkwi nie tylko w zabieganiu o pracę, ale nawet w jej przyjmowaniu. Młody architekt powinien z dużą ostrożnością słuchać wszelkich propozycji i z faktu, że ktoś go obdarza swym zamówieniem, nie wyciągać zbyt pośpiesznie pochlebnych dla siebie wniosków. Nie zawsze zwracają się do ciebie dlatego, że jesteś genialny, ale bardzo często dlatego, że jesteś naiwny lub że sumienie twoje łatwiej znieczulić ponętą, a bardzo niecierpliwie oczekiwana okazją.

Jeżeli zaofiarują ci pracę ludzie obcy, pytaj się zawsze, dlaczego właśnie do ciebie, przecież jest tylu lepszych od ciebie. Niech się rekomendują, niech wskażą tego, kto ich do ciebie skierował. Jeżeli tego nie uczynisz, jest niemal pewne, że prędzej czy później zostaniesz wciągnięty albo wepchnięty w pułapkę, oszukany lub co najmniej ośmieszony.

Oczywiście, stawiając pierwsze kroki, nie posiadając jeszcze uprawnień, jesteś przez to samo zabezpieczony przed wielką aferą, która godzi w interes społeczny, którego podważenie rzuca na architekta plamę, jakiej żadna pralnia chemiczna nie wypierze. Ale człowiek, który raz się pośliznął na drobnej sprawie, staje się podatniejszy do dalszych wykroczeń. Wiązała jego sumienia już się rozluźniły.

Oto na czym polega hierarchia spraw: interes własny nie może być zaspokojony kosztem krzywdy kolegi lub klienta; interes klienta nie może godzić w interes osób trzecich, interes osób trzecich nie może być zabezpieczony kosztem krzywdy społecznej. A nawet służąc interesowi społecznemu w doraźnym ujęciu, nie powinno się zapominać

o godności zawodu, godności sztuki. Bowiem interes społeczny bywa często oświetlany jednostronnie, a więc niezupełnie, czasem wręcz szkodliwie. Architektowi nie wolno być wygodnickim, nie wolno być oportunistą.

Od pierwszej chwili wejścia w życie, musi on ćwiczyć się, pracować nad sobą, ażeby nauczyć się patrzeć na świat oczami szeroko otwartymi i zaprawić się w poznawaniu całokształtu życia i jego spraw.

Droga, na którą wkraczasz, nie jest usiana różami, a chociaż jest szerokim i prostym gościńcem, to pełno na niej leży kamieni. Wszedłszy na nią zbyt śpiesznie i w dodatku z przymkniętymi oczyma, nie zdołasz uniknąć potknięcia, ba! możesz nawet upaść i potłuc się boleśnie.

Cóż więc masz robić? Mieć oczy otwarte i unikać ostrych kamieni to oczywiste, ale prócz tego, jeżeli chcesz zachować czyste sumienie, nie powinieneś poprzestać na wymijaniu kamieni lecz w miarę twoich sił i możliwości postarać się usunąć ich na bok tyle, ile się tylko da. Bo pomyśl, że któryś inny z twoich kolegów może nie być tak ostrożny jak ty, może nikt go nie przestrzeże tak, jak ja ciebie w tej chwili i być może, potknąwszy się, upadnie. Byłaby w tym korzyść niewątpliwa dla ciebie: w wyścigu do sławy jeden rywal mniej. Ale czyż po to pomagaliście sobie w szkole kosztem szacunku profesorów, w jak najprędszym zdobyciu dyplomu, ażeby teraz cieszyć się z klęski przyjaciela?

Nie znam smaku sławy, zdobytej rzucaniem kamieni pod nogi dzisiejszego rywala, a wczorajszego kolegi, ale mam wrażenie, że wieniec w ten sposób zdobyty może się wkrótce okazać cierniową koroną.

Oczywiście, o ile masz ziarenko sumienia.

Spróbujmy uporządkować sobie w myślach to wszystko, co powiedziano dotychczas.

A więc, ustaliliśmy, że praca, jakiej dokonujemy w dziedzinie architektury, polega nie tyle na uprawianiu zawodu budowniczego, ile raczej powinna być rozumiana jako posłannictwo spełniane przez tego, kto umie patrzeć z wysoka na sprawy tego świata.

Dalej, że jest to praca zbiorowa i wskutek tego dobrej wpływa ze zdrowo postawionego i uczciwie przestrzeżanego koleżeństwa i wreszcie, że, opuściwszy mury uczelni i wchodząc w życie zawodowe, architekt powinien zachować w pamięci konieczność poszanowania hierarchii problematów, iść prostą drogą i nie ociągać się przed trudem usuwania na bok kamieni, napotykanych na wielkim szlaku, nie poprzestając na egoistycznym ich omijaniu. Jeżeliby wszyscy kierowali się tą zasadą, to wówczas coraz mniej znajdowałibyśmy kamieni po drodze i szlibyśmy coraz szybciej a jeżeli nie zrozumiemy i nie uszanujemy tej prostej zasady, to ciągle będziemy zaczynali od początku.

Całą tę pierwszą część naszych tutaj rozważań ujęliśmy łączną nazwą „Dążenie“, mając na myśli dążenie ku

osiągnięciu pełni sił koniecznych, by dobrze i sumiennie służyć Architekturze.

Wydaje się, że nie popełniamy omyłki żywiąc przeświadczenie, że ukończywszy studia, zdawszy wszystkie egzaminy i wykonawszy wzorowo pracę dyplomową, złożyliśmy wystarczający dowód rzetelnego stosunku do nauki i opanowaliśmy należycie podstawy teoretyczne naszego zawodu. Przeszedłszy zaś praktykę na poważnych budowach i wykonawszy już na własną odpowiedzialność kilka pomniejszych prac, otrzaskaliśmy się z kierownictwem i technika budownictwa.

Dostaliśmy także umiarkowane ciągi na kilku konkursach, raz przepadłszy z kretesem, ale za to drugim razem zdobywszy odznaczenie, jakąś drugą lub trzecią nagrodę i zrozumieliśmy, że nie będąc ostatnimi, możemy snuć pewne widoki na przyszłość.

Przestrogi, jakich nam udzielano, zalecając ostrożność w przyjmowaniu zamówień od ludzi nieznanych nam, okazały się aż nadto uzasadnione. Znalazł się jakiś klient, który najpierw zasypywał nas miłymi słówkami, ale potem, gdy przyszło do rozliczeni się za wykonaną pracę, z zimną krwią oszukał nas przy wypłacie honorarium. Można było wprawdzie pójść do sądu, by upomnieć się o to, co nam się słusznie należało, ale nauczeni smutnym doświadczeniem, nie puściliśmy już mimo uszu rady dobrego przyjaciela, odradzającego nam pieniactwo, które, wpędzając nas w niewątpliwe wydatki a obiecując wątpliwą wygraną, mogło nadto przykleić do nas opinię architektów, z którymi łącznie się zaczyna, ale brzydko kończy procesem sądowym.

Więc nie poszliśmy do sądu i pytamy, co dalej?

Tak, co dalej?

Teraz musimy zastanowić się nad kierunkiem, jaki nadamy naszej pracy, naszemu życiu zawodowemu.

Otwierają się przed nami różne możliwości.

Możemy iść według planu lub rzucić się na oślep, wierząc bądź w opiekę Anioła Stróża, bądź też, jeżeli chcemy być bardziej nowoczesni, a więc nieco przesądni, ufając szczęśliwej gwiazdzie i zaopatrzeni przezornie w jakąś gwarantowaną maskotkę.

Oczywiście wyimaginowaliśmy sobie w międzyczasie wysublimowany, ale za to nieco mętny obraz tej przyszłości w postaci wizji mnóstwa domów, jakie będą zbudowane według naszych rysunków. Nie zastanawialiśmy się co prawda kto, jak i dlaczego powierzy nam te świetne zamówienia, ale żyjemy wyłącznie myślą o tej pracy i już przeliczamy zawrotne sumy, jakie w konsekwencji tych sukcesów poczną rosnać na naszych kontach bankowych.

Nie widzę nic złego w takich ambitnych marzeniach, chociaż wypadnie zaznaczyć, że ten, kto je snuje, przedstawia sobie obraz naszego życia zawodowego w sposób uproszczony bardzo, choć bezsprzecznie w różowej aureoli.

Idąc w życie, obok wiary, przyda się mieć także trochę równowagi i rozsądku. Powinniśmy ujmować cele, które nam przyświecają, całkowicie, bez niedomowień. Są architekci, zwłaszcza młodzi, którzy wykorzystując biegłość w rysunku, pewną łatwość do kaligraficznej akrobacji ołówka i grafionu, specjalizują się w zdobywaniu nagród na konkursach, bo i taka specjalność istnieje, nabierają w niej takiej biegłości, że, zdobywszy przydomek „tygrysów konkursowych“, mogą wprowadzić kwoty osiągnęte z nagród jako stałą pozycję do budżetu wpływów. Zdają sobie sprawę, że plany nagrodzone nie posiadają żadnych

wartości dla celów realizacyjnych, że gdyby przyszło do budowy, trzeba byłoby przerobić wszystko od podstaw i być może odrzeć projekt z tego, co w nim jest najpiękniejsze, lecz *bussines is bussines*. Korzyść z takiej pracy jest oczywista: rozgłos i pieniądze. „Wejście w karierę“ bezsporne i najzupełniej uczciwe. Jest wszakże jedno „ale“.

Praca konkursowa na dłuższą metę wypacza postawę psychiczną i stwarza fałszywy stosunek architekta do jego sztuki. Ma ona swój urok, emocję, przeżycie zakończone napięciem nerwów przed rozstrzygnięciem, którego nic nie zastąpi, ale to jest narkoza. Strzeżmy się narkomanii. Rysunek, nawet najpiękniejszy, powinien być dla rzetelnego architekta tym, czym są nuty dla wirtuoza. Musisz zostać wirtuozem, nie wolno ci poprzestawać na kompozycji. Tylko wielki i bardzo doświadczony na budowie architekt może sobie pozwolić na wyłączność kompozycji rysunkowej, która będzie miała wszystkie wartości, jakie zamyka w sobie dzieło dojrzałe, przemyślane i przeżyte. Rysunek taki, jakiego żądają warunki konkursowe, odciąga uwagę *młodego architekta* od podstawowych wartości myśli kompozycyjnej, staje się on niemal z reguły fikcją graficzną, z którą bardzo trudno walczyć i której nazbyt często dają się porwać sędziowie konkursowi.

Marek Witruwiusz Pollio, znakomity architekt i pisarz z czasów Cezara i Augusta, pisze w swym dziele o architekturze zupełnie wyraźnie: „*ea nascitur ex fabrica et ratiocinatione*“ Widzi więc w architekturze dwa składniki: myślowy i materialny. „Rozumowanie“, pisze prof. Wasiułyński, komentując to zdanie, „jest źródłem sił życiowych architektury, wprowadzonych w przedmioty materialne za pomocą narzędzi, którymi są dyscypliny i erudycje, nauki

i rzemiosła". Powiedziane to jest w następującym zdaniu u Witruwiusza:

„Fabrica est continuata ac trita usus meditatio, que manibus perficitur e materia cuiuscumque generis opus ad propositum deformationis“.

Wytwórczość jest utrzymywana i rozwijana przez pracę myśli, która rękoma dokonywa przekształcenia tworzywa do postaci pomyślanej, jakiegokolwiek rodzaju byłoby dzieło“.

A jeszcze dalej cytuje prof. Wasiutyński te słowa Witruwiusza:

„Cum in omnibus enim rebus, tum maxime etiam in architectura haec duo insunt: quod significatur et quod significat. Significatur proposita res, de qua dicitur; hanc autem significat demonstratis rationibus doctrinarum explicata.“

„Tak jak i we wszystkich rzeczach (czynnościach), tak też i w architekturze zawarte są te dwie: rzecz, którą wyznaczamy i czynnik ją wyznaczający. Wyznaczona jest dana rzecz, o której mówimy, tę zaś wyznacza dówód rozumowy wyjaśniony naukowo.“

A więc czynnik myślowy jest wprawdzie podstawowym czynnikiem architektury, ale też *nie on* jest architekturą. Projekt architektoniczny (a więc i rysunek konkursowy) jest tylko czynnikiem myślowym, a jako czynnik myślowy, może być też wyrażony niematerialnie w przeżyciu myślowym (pomysł), w słowie (objaśnienie) i w piśmie (opis techniczny). Stanowi on bowiem treść myślową, omówienie dzieła. Ale nie dzieło samo. Nie jest dziełem, lecz działaniem pomocniczym dla stworzenia dzieła. Formą przejściową od pomysłu do dzieła.

Działanie, jako funkcja umysłu, nie może być pominięte ani też zlekceważone. Bowiem w czasie swej działalności zawodowej, architekt wykonuje jeden po drugim pewną ilość projektów architektonicznych, będących każdy w sobie celem, lecz oprócz tego wszystkie one zmiierzają, mniej lub więcej konsekwentnie, do pewnego celu wspólnego. Każdy z nich ma treść i wartość sam w sobie i sam przez się, ale nadto wzięte razem powinny zamykać w sobie treść wspólną, która wytworzy oblicze duchowe architekta — kwintesencję jego życia, jego dzieła, jego pracy.

Spróbujmy dać definicję tego, czym i jaka powinna być praca; jak należy pracować.

Pracować należy w duchu poczucia odpowiedzialności przed sobą samym z moralnych podstaw, na jakich opieramy ducha naszej pracy, w pełnym wyczuciu tego, co teologowie nazywają duchem pokuty, a co postaramy się wyłożyć dokładniej. Należy nadto pracować w czystej intencji i z pominięciem siebie, mając nieustannie przed oczyma śmierć, jaka nas czeka i jaka przyjść musi, a więc rachunek, który będzie trzeba składać za czas stracony, za zmarnowanie talentu, opuszczenie dobrego i z próżnej dumy w powożeniu.

A więc w pracy, jaką wykonywamy, powinniśmy dostrzegać i uwzględniać dwa aspekty: jeden, który dotyczy tego *jak* pracujemy, oraz drugi — dotyczy tego, *co osiągamy* przez tę pracę.

Nasuwa się tutaj przestroga, gdyż suma naszych osiągnięć, stanowiących fakty same w sobie, będzie poddana we właściwym czasie surowej ocenie, czy nie straciliśmy czasu i czy talentów wrodzonych lub nabytych z pomocą naszych nauczycieli nie zmarnowaliśmy, a więc czy nie zniszczyliśmy nie tylko nadziei w nas pokładanych ale także, czy nie

podeptaliśmy pracy tych, którzy zadali sobie wiele trudu i mozołu, by wydoskonalić nas w naszej sztuce?

Przed wszystkim rozwińmy szerzej to, co ujęliśmy określeniem „pracy w duchu pokuty“. Duch pokuty nie jest jednoznaczny ani z pokutą ani z umartwieniem. Pokuta bowiem musi być nam naznaczona przez kogoś (np. przez spowiednika). Umartwienie naznaczamy sobie sami dla innych celów (np. jako próbę charakteru). Natomiast duch pokuty oznacza pełną świadomość odpowiedzialności wobec sumienia, jaką ponosić musimy za nasze czyny, przy czym takie poczucie odpowiedzialności nie jest tutaj synonimem poczucia odpowiedzialności cywilnej lub karnej w ramach procedury sądowej.

Praca w duchu pokuty tym różni się od pracy z poczuciem odpowiedzialności, dajmy na to, maszynisty kolejowego, że maszynista kolejowy może i powinien umieć wyrecytować na pamięć to, co należy do jego obowiązków, gdy prowadząc pociąg pędzący z szybkością 100 km/godz., ma powierzone przytomności swego umysłu i poczuciu odpowiedzialności za swe czyny lub ich zaniedbanie, nie tylko życie własne, ale także życie i zdrowie wszystkich podróżnych, którzy zaufali bez zastrzeżeń Dyrekcji kolejowej, wierząc, że ta postarała się napewno umieścić na wszystkich stanowiskach służby ruchu ludzi przytomnych, zbadanych psychotechnicznie i moralnie zdrowych na tyle, że mając pełne poczucie odpowiedzialności, nie osłabią np. lekkomyślnym użyciem alkoholu swej poczytalności i spostrzegawczości.

Duch pokuty, duch odpowiedzialności wobec sumienia przedstawia się w pracy architekta w postaci pewnych założeń przyjętych a priori, a następnie umocnionych jego zdolnością właściwego oceniania swych czynów oraz impulsów nie tylko w oderwaniu, to znaczy samych przez się i samych

w sobie, lecz także i w związku przyczynowym jednych z drugimi, sąsiadującymi z nimi bezpośrednio, a także i w całokształcie łańcucha zdarzeń.

Bowiem czyn, będąc dobry sam w sobie, może się okazać fatalny w łańcuchu zdarzeń. Takich czynów powinien unikać i przewidywać ich możliwość człowiek pracujący w duchu pokuty i niewątpliwie sumienie wskaże mu natychmiast popełniony błąd.

Przecież architekt może zrobić piękny projekt gmachu, którego nie powinno budować się ze względów zasadniczych, bo jego przeznaczenie jest dajmy na to szkodliwe moralnie. Nie zagłuszajmy naszego sumienia rozumowaniem, że nie do nas należy rozważanie dobrych czy złych sposobów zużytkowania naszego projektu. Gdy powiadasz: moja rzecz to architektura i tę powinienem zrobić jak najlepiej, a reszta do mnie nie należy, to gdzieś w zakamarkach twego sumienia jak echo odezwie się głos Piłata: „Nie winienem ja śmierci tego sprawiedliwego...” Czy mam ci podać misę z wodą i ręcznik?

Nic błędniejszego nad takie mniemanie. Bowiem nie wolno uczciwemu człowiekowi przykładąć ręki do rzeczy złej, jeżeli chce uchodzić nie tylko za takiego, który pracuje w duchu pokuty, bo takie określenie może razić uszy niektórych, ale chociażby za takiego, który wie, co to znaczy poczucie odpowiedzialności.

Dla tych, którzy się błąkają, Stowarzyszenie Architektów Rzeczypospolitej Polskiej opracowało wytyczne regulaminu Konkursów Architektonicznych. Rygor tego regulaminu zabrania architektom stowarzyszonym posyłać prace na takie konkursy, które ogłasza się z pominięciem organizacji. Chodziło o to, żeby ustrzec członków stowarzyszenia od brania udziału w imprezie niezbadanej z punktu widzenia do-

bra publicznego. Stowarzyszenie bierze na siebie trud zbadania okoliczności, które mogłyby z tego punktu widzenia nasuwać jakieś zaostżenia. Staje ono na straży hierarchii spraw i z chwilą, gdy ono ogłasza konkurs, każdy z nas ma pewność, że sprawa jest czysta i jasna. Nim rzeczy w ten sposób uporządkowano, zdarzało się, że nie tylko osoby prywatne, ale nawet kierownicy instytucji publicznych ogłaszali konkursy lub podejmowali budowę wyłącznie pod kątem ciasno rozumianego interesu bezpośredniej korzyści, nie oglądając się na cele szerszego zasięgu. Nieraz bywało, że podejmowano prace na terenach miast, niweczając plany rozbudowy, godzące w interesy najżywotniejsze mieszkańców, a władze miejskie stawały bezradne wobec siły nadrzędnej wojska, poczty lub kolei.

Czyż samowola taka byłaby do pomyślenia, gdyby ogół architektów pracował w duchu pokuty, nadśluchiwał głosu sumienia? Nie, bo wówczas zleceniodawca nie znalazłby człowieka, który zgodziłby się przygotowywać taki projekt, który krzywdzi miasto i społeczeństwo.

Przekładając nasze rozważania na język potoczny, wyjaśniamy, że architekt powinien nie tylko zdobyć się na wykonanie dobrego projektu architektonicznego, ale także umieć zrzec się ponętnej pracy, jeżeli ta godzi w czystość uczciwie wytkniętej drogi życiowej. Niestety, taka linia dyktuje mu, że powinien przyjąć zasadę brania udziału tylko w takich konkursach i przyjmowania tylko takich zamówień, które nie będą pociągały za sobą niczyjej krzywdy bezpośredniej lub pośredniej. Bo wprowadzie starożytne przysłowie głosi, że „Pecunia non olet“ ale zdarza się, że ręka, która ten pieniądz podaje nie pachnie najpiękniej.

Nie bierz pieniądza z takiej ręki.

Powiedzieliśmy: *trzeba pracować w czystej intencji*. Nie-
wątpliwie.

Intencja pracy ma niesłychanie ważne znaczenie.

Możesz pracować jako zwierzchnik i jako podwładny. Za każdym razem wyglądają inaczej twoje obowiązki. Zaczynajmy od pracy jako podwładnego. Zrozumienie jej przyjdzie łatwiej, a zresztą bez zrozumienia jej istoty nie podobna mówić o prawidłowo postawionym zwierzchnictwie.

Jako podwładnego obowiązuje cię posłuszeństwo, które jest cnotą. Nie jesteś wszakże obowiązany do posłuszeństwa ślepego. Gdy więc zażądają od ciebie wykonania zlecenia, noszącego cechy występku, stajesz wobec alternatywy nakazującej ci wybierać pomiędzy posłuszeństwem, jakie jesteś winien swemu chlebodawcy, a posłuszeństwem wobec prawa, etyki lub wreszcie sumienia. Jest to moment bardzo ciężki, rozumiem go i daleki jestem od tego, ażeby mając dawno poza sobą trudne chwile zdobywania stanowiska, teraz z wysokości katedry narzucać komukolwiek twarde i bezwzględne rygory, mogące pozbawić jego lub jego rodzinę chleba i możliwości egzystencji, byle tylko pochwycić własną chimere, którą ścigam wolny od trosk i kłopotów. Bynajmniej, takiego rygoru nie zamierzam nikomu narzucać. Wydaje mi się tylko, iż należy do mojego obowiązku zwrócić uwagę, że taki rygor istnieje i że należy zdawać sobie sprawę z tego, co się czyni. Zeby każdy dobrze wiedział, co ma dla niego i jego bliskich większe znaczenie: suty obiad czy spokój sumienia. Oczywiście cała ta dyskusja ma o tyle tylko sens, jeżeli przywiązujemy wagę do takich rzeczy, jak spokój sumienia. Ale myślę, że nie jest jeszcze tak źle, abyśmy mieli przechodzić ponad sumieniem. Tych zaś, którzy mają ochotę wzruszyć ramionami, poproszę, żeby robili tak, jak uważają za stosowne. Ale jeżeli się zdarzy, że postępu-

jąc w myśl trzeźwych zasad życiowych szeroko rozpowszechnionych, doznacie w pewnej chwili niesmaku, wspomniawszy to, co teraz usłyszeliście, wiedcie, że jest to znak, że nie wszystko stracone, że nie wyzbyliście się całkowicie tych pierwiastków, które leżą u podstaw sumienia. Możecie być przekonani, że taka chwila, kiedy przyznacie mi słuszność, przyjdzie. I to prędzej, niż się wam zdaje.

Znany jest typ człowieka, odznaczający się łatwością w odsądzaniu od czci i wiary każdego, kogo tylko może. W jego pojęciu wszyscy zawsze popełniają nadużycia. Taki jest najgorszy, już przez to samo, że doskonale się orientuje w tym, co wolno, a czego nie, co dobre, a co złe. Wielu bowiem raczej nic nie mówi; być może, że nie mają tej przebiegłości, albo też nie zależy im na kwalifikacji czynów. Obchodzi ich tylko zysk lub strata. Wszelkie czyny oceniają tylko pod tym kątem widzenia. I dlatego raczej dzielą ludzi na mądrych i głupich, niż na dobrych i złych.

My wszakże mamy prawo i obowiązek wierzyć, że są jeszcze inni, to jest tacy, którzy starają się pracować tylko i wyłącznie w dobrej intencji i kiedy się od nich zażąda przymknięcia oka, wówczas decydują się natychmiast i mówią sobie: to nie dla nas, ot wyobraźmy sobie, że nie zrobiono nam wogóle żadnej propozycji.

Wiem, że dzisiaj jest bardzo ciężko, że sytuacje, jakie stosunkowo jeszcze nie tak dawno były nie do pomyślenia, teraz stały się oczywistością. Ale, ilekroć zdarzy ci się znaleźć w takim kłopotcie, że powiedzą ci „wóz albo przewóz“ i zawisnie ci nad głową jak miecz Damoklesa cały ciężar konsekwencji, jakie może za sobą pociągnąć twoja decyzja, weź pod uwagę wszystkie czynniki i wszystkie ewentualności, nie tylko materialne ale i moralne. Poproś o dzień zwłoki dla dania odpowiedzi. Może to ostudzi twego zleceniodaw-

Bo nie ma przebaczenia dla przedsiębiorcy, świadomie i cynicznie dającego zły materiał budowlany, złą konstrukcję, lichą robociznę.

Nie ma przebaczenia dla człowieka fałszującego obliczenia.

Nie ma przebaczenia dla człowieka, który inny plan zatwierdza, a inny buduje, zastaniając za pomocą banknotów plany przed nazbyt wścibskim okiem inspektora budowlanego.

Nie ma przebaczenia dla człowieka, który powiada z pobłażliwym uśmiechem: „Wszystko można załatwić“.

Powiedzieliśmy dalej: *trzeba pracować z pominięciem siebie.*

Kiedy budowano katedrę w Chartres, entuzjazm ludności był tak wielki, że pracowali ramię w ramię ludzie wszystkich stanów, zapominając o jedzeniu i wypoczynku. Rosła piękna świątynia na podziw świata i jeszcze dzisiaj, po upływie lat kilkuset, zdumiewamy się potężne murów, znakomitości posągów, świetności witrażów. Nikt się nie dziwi kronikarzowi, gdy ten pisze, że entuzjazm ów, doprowadzony do ekstazy, sprawił, że podczas pracy przy budowie ślepi odzyskiwali wzrok, chromi rzucali kule, że działy się cuda.

A całą tą pracą kierował Anonim, którego nikt nie widział, ale o którym wszyscy mówili ze czcią, jaka się należała najwyższemu, nieomylnemu autorytetowi. Słuchano jego zleceń bez szemrania, praca szła nad podziw szybko i składnie. Nikt nie znał jego imienia. I wogóle nie dochowały się do naszych czasów żadne nazwiska. Ani kto był jego najbliższym pomocnikiem, ani kto rzeźbił precudne posągi, ani kto układał najpiękniejsze we Francji, a więc i na całym świecie, witraże.

Oto ludzie, którzy pracowali z „pominięciem siebie“. To też spotkała ich najpiękniejsza nagroda, o której trudno komukolwiek marzyć. Bo oto został uczyniony cud przywrócenia wzroku ślepcowi, aby mógł popatrzeć ożywionymi oczyma na cud inny, cud ręki pokornych mistrzów, cud architektury, cud rzeźby i cud malarstwa.

Mam że wysuwać jakieś inne jeszcze argumenty, by uzasadnić tę tezę? Mówić o hierarchii celów lub chociażby o skromności?

Chyba nie, bo mamy przecież, jak to już powiedziano: w pracy naszej mieć nieustannie przed oczyma „śmierć, która nas czeka, a która przyjść musi i wtedy trzeba będzie składać rachunek“.

Wszyscy będziemy umierać i wszyscy będziemy składali rachunek, tylko, że tamten rachunek, to nie będzie już tylko rachunek sumienia, a więc rachunek czyniony przed samym sobą. Będzie to rachunek z całego *życia* składany przed Bogiem i rachunek z naszego *dziela*, składany przed potomnością.

Nie czas będzie wtedy na przebiegłą skromność, z jaką chcielibyśmy się bronić, mówiąc, że przecież co innego można tego świata, luminarze, wielkie nazwiska, a co innego my, ludzie skromni, którzy w ciszy, bez rozgłosu, pracowaliśmy jedynie i wyłącznie dla swojej rodziny, by zapewnić jej skromny kawałek chleba.

Jest na wybrzeżu liguryjskim mała miasteczka portowa, która nosi nazwę dobrze znaną wszystkim wielbicielem włoskiego krajobrazu: Portofino. Zamieszkiwana przez kilkuset rybaków, nie posiada ani jednego gmachu oznaczonego gwiazdką w przewodniku błękitnym. Gwiazdkę tę umieszczono po prostu przy nazwie samego miasteczka,

w którym „opieka nad zabytkami“ zabrania poruszenia z miejsca jednej chociażby cegły.

Miasteczko owo zbudowali skromni, bezimienni majsterkowie, którzy istotnie przeszli bez rozgłosu, pracowali jedynie i wyłącznie dla swej rodziny, aby zapewnić jej kawałek suchego chleba i szklanę czerwonego wina.

Pracowali, łamiąc chleb i popijając wino drobnymi, oszczędnymi łykami, spoglądając na szafirowe morze, niezbyt łaskawe dla mieszkańców tego półwyspu narażonego na wiatry i burze. Obrazy wotywne, przedstawiające żaglowce walczące z nawałnicą, gęsto rozwieszona na ścianach parafialnego kościoła stojącego na skale ponad zatoką, by patrzeć strzelistymi wieżami daleko w pełne morze, jakby wypatrując rozbitków — świadczą poprzez wieki, że wyłączny i groźny żywiciel tego uroczego zakątka nie jeden raz spieszał chwile składania rachunku.

Nigdzie bardziej istotnymi niż tutaj, w Portofino, nie stają się słowa. memento: „nie wiadomo dnia ani godziny“. Być może w tej przestrodze, głoszonej z powagą chociaż bez północnej grozy na rozświetlonym zazwyczaj wybrzeżu liguryjskim, należy szukać tajemnicy piękna i ewangelicznej tego piękna prostoty, jaką podziwiamy w doskonałości architektonicznej Portofino.

Bierzmy przykład z anonimów, bierzmy przykład z budowniczych Portofino i pamiętajmy, aby wszystko, czego dokonamy i czego dokonać zamierzamy, było piękne, chociaż czasem suche jak chleb i cierpkie jak luguryjskie wino, ale za to pełne słońca i spowite w szafirową opończę firmamentu, która zawsze się nad nami rozpina, nawet wówczas, gdy chcą ją nam przesłonić groźne chmury lub zwodnicze obłoki.

Będziemy więc składali rachunek za czas stracony.

Tak. Będziemy składali rachunek, bo nie wolno tracić czasu na żadną pracę, która cię odwodzi od wielkiego celu. Nie wolno tracić czasu. Bo skoro jąłeś się zawodu, który uświęcił swym wyborem Bóg, gdy zstąpił na ziemię, by iść między ludzi, to głównym celem, głównym szlakiem drogi na tej ziemi, powinno być wytrwałe dążenie Jego śladem.

Będziemy składali rachunek z opuszczenia dobrego.

Tak, będziemy składali rachunek z opuszczenia dobrego. Bo przecież w samej treści faktu, jakim jest budowanie domu, tkwi pojęcie osłony, ochrony przed zimnem, przed deszczem, nawet przed nadmiarem słońca, wreszcie przed złym człowiekiem, który zagraża nam na tysiąc sposobów. Więc może jak nikt inny jesteście uzbrowieni w środki dla niesienia pomocy, dla zaspakajania potrzeb, więc bardziej niż ktokolwiek inny jesteście odpowiedzialni za opuszczenie dobrego.

Będziemy także składali rachunek ze zmarnowanych talentów.

Tak. Zwłaszcza ze zmarnowanych talentów będziemy składali rachunek. Pamiętając, że użycie talentu dla złych celów lub chociażby pośrednio tylko złych, jest równoznaczne, a może jeszcze nawet gorsze od jego zmarnowania.

Mówiliśmy tutaj już o talencie wrodzonym i o talencie nabytym. Mówiono także o zasadzkach, jakie kryje w sobie talent wrodzony prowadząc do łatwizn życiowych. Ale łatwizna, przeslizgiwanie się przez życie, oparte na wygrywaniu intuicji talentu przeciw rzetelności pracy, to raczej nadużywanie niż marnotrawienie talentu. A tutaj, w tej chwili, chodzi dosłownie o zmarnowanie talentu czy to przez lenistwo, czy też dla rozmaitych innych przyczyn, które sprawiły, że nie umieliśmy lub też po prostu nie chciało się nam należycie go rozwinąć.

Polak, z natury bardzo zdolny, lecz również z natury lekkomyślny, często nie chce się trudzić rozwijaniem zdolności wrodzonych. Chętnie poprzestaje na tym poziomie, z którego wyruszył. Nie pracuje nad sobą, nie uczy się dalej, nie doskonali. A przecież żyje wśród ludzi, żyje z ludźmi i na każdym kroku coś od nich bierze, coś od społeczeństwa dostaje. Talent jest depozytem krwi. Talent należy do rodziny, do plemienia, do społeczności. Ten, kto talent marnuje, kto talentu nadużywa, talent plami — dopełnia czyn karygodny.

I wreszcie to także musimy sobie rozważyć, że przyjdzie składać rachunek z *próżnej dumy w powodzeniu*.

Duma w powodzeniu, to zwykła, ludzka rzecz. I chociaż powodzenie jest dzieckiem szczęścia, to jednak ten, komu się powodzi, nie lubi o tym słyszeć. Chętniej przypisujemy szczęście, jakie nam dopisało, własnemu sprytowi, mądrości, przemyślności, naszej sztuce życia i mało kto przyzna, że po prostu los mu się uśmiechnął.

A czy znajdzie się taki, który na uśmiech losu rzuci właściwe światło i powie, że powodzenie, jakie go spotkało, to próba, nieraz ciężka próba charakteru, jaką siła wyższa na niego zesłała?

Powiadamy o załamaniu się w nieszczęściu. A iluż z nas załamuje się właśnie w powodzeniu? Iluż, którym się los uśmiechnął, przypisuje sobie i tylko sobie całą zasługę i zaraz z góry patrzy na wczorajszych przyjaciół? Iluż z nich sądzi zbyt pospiesznie, że znaleźli kamień filozoficzny i mają już w zanadru receptę na powodzenie?

Zaden rozumny architekt nie będzie się wynosił nad innych w powodzeniu, bo będzie wiedział, że nie ma sukcesu, który by człowiek samemu sobie tylko zawdzięczał. Cóż to

jest sukces? Sukces jest to dodatnia opinia, wyrażona zachwytem, uznaniem lub pieniędzmi przez kogoś drugiego.

Więc rozważając problemat sukcesu, lepiej się zastanówić przede wszystkim nad tym, kto jest wyrazicielem tego sukcesu. Może się zdarzyć, że sukces ten będzie zniewagą, ośmieszeniem, katastrofą.

Ale nawet, jeżeli wyraziciel sukcesu okaże się na takim poziomie wartości moralnych i intelektualnych, że sukces nabierze znamion istotnego, nie problematycznego wyróżnienia, to zastanówmy się dobrze, czy aby istotnie jedy-nymi budowniczymi tego sukcesu byliśmy tylko i wyłącznie my sami? Czy nikt się doń nie przyczynił, nie przyczyniła się do niego chociażby nasza pracownia?

Tylko ja? Ja jeden, jedyny?

Czy nikt nigdy w życiu nic mi nie dał, niczego nie nauczył, nie podparł, nie dopomógł, nie zachęcił?

Na pewno ci dał, na pewno nauczył, na pewno podparł, na pewno dopomógł, na pewno zachęcił.

Przecież masz lub miałeś ojca, matkę, nauczyciela, przyjaciela, kolegę, żonę.

Nikt, tylko ty?

Mylisz się, stokrotnie się mylisz. Unikaj próżnej dumy w powodzeniu i pamiętaj, że całą duszę musisz oddać architekturze, cały talent, całe sumienie. Architektura nie jest wekslarstwem. Nie jest handlem walutami. Architekt nie ma prawa wołać: kupić, sprzedać, kupić, sprzedać. Architektura nie jest stręczycielstwem, a jej adept nie jest raj-furem.

Jeżeli chcesz wystąpić do walki o Architekturę, jeżeli chcesz zostać jej rycerzem, zostań najpierw jej pokornym sługą, który poczuwszy powołanie, by jej służyć, zwarł się najpierw mocnym węzłem braterskiego koleżeństwa ze

wszystkimi jak on wiernymi jej wyznawcami, pełen ufności w tę wielką prawdę, że dobro zawsze zwycięża. Poświęć się bez zastrzeżeń i bez reszty posłannictwu, któremu przyświeca wezwanie:

„Tyś jest opoką i na tej opoce zbuduję kościół mój“.

Bądź opoką. Pragnij zostać opoką. Nie zrażaj się chwilami załamania i zwątpienia.

Nie ty pierwszy się wyparłeś nim kur zapał po raz trzeci przed świtaniem.

Nie ty ostatni zapytasz w osłupieniu:

Quo vadis Domine?

Komuż z nas nie zdarzyło się siedzieć nad deską rysunkową z rozterką w duszy? Zadanie, jakie wypadło nam rozwiązać, wysuwało niekończące się zapotrzebowania najrozlicniejszych przestrzeni użytkowych, komunikacji, łączności, podziału na piętra, mnóstwa spraw drugo i trzeciorzędnych w zestawieniu z pomysłem, jaki podsuwało nam natchnienie, owa jasna chwila natchnienia, która poprzecz haszcze drobiazgów woła na nas wytrwale: idź w tym kierunku, bo tylko on wskazuje niewątpliwą i bezsporną drogę, na której znajdziesz właściwe rozwiązanie, właściwą formę dla twego pomysłu.

Rozterka taka staje przed architektem niemal zawsze, gdy przychodzi mu opracować jakieś poważniejsze zadanie; nie mam tu na myśli aż konkursu, kiedy występuje ona w postaci szczególnie drażliwej, gdy obok naszych własnych wątpliwości zjawia się nadto lęk, obawa, że nieznani nam, albo jeszcze gorzej, znani rywale mogą być w tym szczęśliwym położeniu, że wątpliwości, które nas dręczą, dla nich nie będą istniały. Teraz mam na myśli i zamierzam mówić po prostu o bezustannym konflikcie pomiędzy pragnieniem, pomysłem a koniecznością życiową. To wielka próba, wielka rozgrywka, której nie mogli uniknąć nawet najwięksi. Nie

tylko że nie mogli jej uniknąć, ale zjawiała się u nich w sposób boleśniejszy, bardziej dramatyczny, aniżeli u nas, ludzi przeciętnych.

Wiadomo, że najwyższym pragnieniem chorobliwej niemal ambicji trzydziestoletniego Michała Anioła było zburzenie starej, czcigodnej bazyliki S. Pietro w Rzymie, aby na jej gruzach zbudować nową, w której mogłaby się pomieścić potężna góra marmurowa piramidy czterdziestu posągów nadnaturalnej wielkości, związanych wzajem doskonałą kompozycją architektoniczną grobowca dla żyjącego jeszcze podówczas papieża Juljusza II-go. Pomysł ten, godny zaiste raczej faraonów, niż następcy Piotra-Rybaka, zawrócił na chwilę głowę papieżowi i ten zgodził się na zwalenie zmurszałych murów kościoła, lecz opamiętawszy się wkrótce cofnął zamówienie na grobowiec. Aby wszakże wynagrodzić zawód gwałtownemu artyście, dał mu inne zlecenie: chodziło o wykonanie fresków, wyobrażających stworzenie świata na sklepieniu Kaplicy Sykstyńskiej.

Michał Anioł zawrzał gniewem, dopatrywał się w tym zleceniu intryg sędziwego Bramante'a, podejrzewał, że starszy o 31 lat od niego architekt chce zniweczyć jego dzieło, a równocześnie upokorzyć młodszego, ambitnego rywala.

Wierzył niezłomnie, że cały Rzym sprzysiągł się przeciw niemu, że postanowiono pognać i ośmieszyć jego, który przecież nigdy nie malował fresków. Każą mu wykonać największe tego rodzaju malowidło, jakiemu nie masz równego rozmiarami w całej Italii! Ale przecież nikt nie ośmielił się oprzeć woli papieża, noszącego przydomek Il Terribile. Michał Anioł wziął się do pracy. Namalował. Stworzył arcydzieło.

Z tego wspaniałego przykładu wyciągamy naukę, że dobroek naszego życia nie zależy wyłącznie od nas. Ze owoce

naszej pracy wynikają ze splotu najprzeróżniejszych sił i że popełniamy grubą omyłkę, jeżeli nie chcemy uwzględnić tych sił w naszych przewidywaniach, w naszych zamiarach, w naszych ambicjach.

Udzielałem ci kolejno przestróg i rad, zachęcając cię, abyś pracował w czystej intencji, z zapomnieniem o sobie, unikając zmarnowania talentu, tracenia czasu, opuszczenia dobrego i próżnej dumy w powodzeniu, bo to było warunkiem świętości i czystości tej pracy, dokonywanej w duchu głębokiego i poważnie ugruntowanego poczucia odpowiedzialności osobistej za to, *jak* pracujesz. To wszakże jeszcze nie wszystko. Uczciwość, skromność, pracowitość nie przesądzą jakości dzieła. Możesz pracować uczciwie i wytrwale, a pomimo to wynik twojej pracy okaże się nikły, wart bardzo mało, albo po prostu nic. Wszystko to jest dopiero moralną stroną twego wysiłku, mogącą doprowadzić cię do wniosku, że lepiej rzucić całą pracę, cały trud, zamiast łudzić siebie i innych co do jej wartości. Bo przecież, jeżeli praca mrówcza, wytrwała, skromna, moralnie doskonała, nie da wyników w postaci istotnie cośkolwiek wartego dzieła, to czas użyty na tę pracę został po prostu stracony. Bowiem chodzi nie tylko o sumę przepracowanych godzin, lecz przede wszystkim o to, by dzieło wykonane było użyteczne i możliwie najlepsze.

Ważne jest, abyś pracował z pełnym poczuciem obowiązku, wziętego na swoje ramiona, nie zaś dla swego upodobania, nie dla zadowolenia swojej ambicji. Owszem, powinieneś pracować z weselem, radością, że możesz znaleźć chlubę, rozgłos w użyciu talentów wrodzonych, a udoskonalonych pilnym ćwiczeniem, ale powtarzam: z poczuciem obowiązku. Więc co za tym idzie z pełnym samokrytycyzmem.

Łukasz Ewangelista opowiada (II, 41—52), że zdarzyło się, iż dwunastoletni Jezus zagubił się swoim rodzicom, którzy po trzech dniach szukania odnaleźli go w świątyni Jerozolimskiej pośród doktorów, dysputującego z nimi. „A zdumiewali się wszyscy, którzy słuchali, rozumowi i odpowiedziom jego. A ujrawszy, zdziwili się. I rzekła do niego matka jego: Synu, cóżeś nam tak uczynił? Oto ojciec twój i ja żałośni szukaliśmy cię. I rzekł do nich: Cóż jest, żeście mnie szukali? Nie wiedzieliście, że w tych rzeczach, które są Ojca mego, potrzeba, żebym był? A oni nie rozumieli słowa, które im mówił i zstąpił z nimi, i był im poddany. *A matka jego wszystkie te słowa zachowała w sercu swym*“.

My je także zachowajmy, bo możemy i powinniśmy wyciągnąć z tych słów ostatnią, najcenniejszą naukę, niezbędną, byśmy stanęli całkowicie uzbrojeni do walki, jaka nas czeka.

Jest w tych słowach kilka momentów wielkiej doniosłości: przede wszystkim to, że w tych pierwszych, jakie zanotowano w Ewangelii, słowach Boga-Człowieka, dał Chrystus-Nauczyciel do poznania swym rodzicom, że ma względem Boga, Ojca swego niebieskiego, *wyższe* obowiązki, i że jego wolę zawsze i wszędzie spełniać pragnie, chociaż to nieraz wymaga wielkiego zaparcia i pokonania szlachetnych, zupełnie naturalnych popędów serca, jak tutaj przywiązanie do rodziców.

Dalej, że „był im poddany“. W tym dobrowolnym a ochoczym posłuszeństwie względem rodziców, o których tutaj mowa, w tej pracy i pomocy im udzielanej trwał Jezus długo i nie zdołała jej przerwać ani śmierć św. Józefa, ani lata męskie, które z rokiem dwudziestym piątym roz-

począł, a dopiero wola Ojca niebieskiego, który go zawezwał na inne pole pracy.

Wszakże najznamienniejszym momentem będzie tutaj ten, że przecież Jezus jako Bóg, posiadał całą pełnię wiedzy Bożej. Jako człowiek posiadał od pierwszej chwili daną sobie sposobem nadprzyrodzonym całą tę mądrość i wiedzę, która jako przysłemu Odkupicielowi świata mu odpowiadała. Oto dlaczego w rozmawie z doktorami „zdumiewał wszystkich, którzy Go słuchali“, oto dlaczego „podał się rodzicom swoim“.

Jeżeli więc Mądrość nadprzyrodzona uważa za celowe prowadzić *dysputę* z umysłem ograniczonym do mądrości tego świata i jeżeli ta Mądrość uważa za słuszne podporządkowanie się w sprawach doczesnych rodzicom, którzy „żałośnie Go szukali“, chociaż w „Tych rzeczach, które są Ojca jęgo“ nie baczył, że go będą szukali „żałośnie“, to i my tym bardziej powinniśmy sobie zapamiętać, że:

W sprawach naszej sztuki, w sprawach architektury, pojmowanej tak, jak powiedziano na samym początku niniejszych rozważań: „*potrzeba, żebym był*“.

Trzeba, ażebym się im oddał całą duszą, nie bacząc na tych, którzy by „żałośnie“ mnie szukali.

Ale trzeba pilnować, ażeby ci, którzy mnie szukali trzy dni, znaleźli mnie w świątyni, siedzącego pośród doktorów, *słuchającego i pytającego*.

Ponieważ umysł mój nie posiada pełnej doskonałości, ani też nie posiada doskonałości wiedzy i może „pomnażać się w mądrości i w łasce u Boga i u ludzi“, przeto owa dysputa w świątyni, podejmowana w każdej potrzebie, może mieć moc łaski uświęcającej.

Nie unikaj dysputy. Pytaj, gdy nie wiesz. Pytaj, gdy masz wątpliwości. Pytaj, gdy nie rozumiesz. Odpowiedź

znajdziesz zawsze, gdyż nawet brak odpowiedzi — będzie odpowiedzią. Dowiesz się wtedy albo, że nie ty jeden nie wiesz, albo że ten drugi nie chce ci odpowiedzieć. Jeżeli nie odsłonią ci tajemnicy swojej mądrości, to przynajmniej ukażą ci oschłość swego serca i marność swojej duszy.

Są tacy, którzy mają swoje tajemnice.

Są tacy, którzy patentują swoje pomysły i cieszą się, że je ponumerowali. A przecież żaden z ich pomysłów nie jest wart ani tabliczki mnożenia, której nikt nie opatentował, ani kapitelu korynckiego, na którym twórca jego Kallimachos zapomniał napisać po angielsku, że zastrzega sobie wszelkie prawa rekonstrukcji, naśladownictwa i adaptacji.

Czy zastanowiłeś się nad właściwością twego umysłu? Czy nie zauważyłeś, że im więcej do niego kładziesz, tym staje się pojemniejszy? Głowa twoja nie jest beczką, do której można wlewać olej mądrości tylko tak długo, dopóki się nie przeleje. Umysł twój jest chwytny. Im więcej się uczysz, im więcej pytasz, tym więcej nabierasz *nauki*.

Ale im więcej i szcudrzej dajesz, im więcej i ochotniej odpowiadasz, tym więcej nabierasz *mądrości*.

I wreszcie; im więcej i ochotniej z ludźmi rozmawiasz, im się udzielasz i od nich korzystasz, tym większej nabierasz *umiejętności* życia.

I to jest łaska uświęcająca prawdziwej miłości: miłości bliźniego, miłości sztuki i miłości nauki.

Bo jeśli pytasz, to wynosisz korzyść podwójną: po pierwsze rozszerzasz zakres swej wiedzy, a po drugie, sprawiasz radość koledze, przyznając mu wyższość nad sobą.

Jeżeli dajesz odpowiedź na postawione ci pytanie, to wynosisz korzyść podwójną, bo po pierwsze tę, iż wiedza, którą nabyłeś, poglądy, które wypracowałeś, ideały, w któ-

re wierzysz, idą w świat; a po drugie sprawiasz radość koledze, rozprasząc jego wątpliwości.

Jeżeli prowadzisz dysputę, wymieniasz myśli, stawiasz pytania lub dajesz odpowiedzi, to wówczas wynosisz tak samo jak i poprzednio korzyść podwójną: po pierwsze, w czasie tej dysputy rozproszyliście jakieś mroki i wznieciliście nowe światła, a po drugie, jeśli rozmawialiście szczerze, nie nie skrywając jeden przed drugim, to zacieśniliście węzły przyjaźni i pogłębiliście wzajemny szacunek.

Będę bardzo nieszczęśliwy, gdy przyjdzie chwila, kiedy umysł wycieńczony latami lub chorobą, odmówi mi nowych pomysłów i nowych rozwiązań, kiedy nie zostanie mi nic więcej, jak tylko numery patentów nieopatentowanych wynalazków. Ale mimo braku pomysłów nowych pozostanie mi nadal zadowolenie, że jednak tamtych dawniejszych nie patentowałem, bo przez to zachowają one świeżość podobną tej, jaką tchnie kapitel koryncki wyczarowany przed wiekami przez Kallimachosa z kosza kwiatów, ustawionego na grobie przedwcześnie zgasłego dziewczęcia. Ślad po jej grobie zagaął, młode ciało już od tysiącleci rozpadło się w proch, a mimo to czar jej uśmiechu odżywa wciąż w tysiącnych wersjach korynckich kapiteli, wykwitających bez przerwy na wszystkich kontynentach naszego globu. Znamy ten uśmiech nie tylko z Koryntu. Znamy go z Olympejonu Ateńskiego i ze świątyni Vesty w Tivoli. Spotykamy go u szczytu trzech samotnych kolumn na Forum Romanum, spowitych bluszczem i glicynią i, mniej spodziewanie, na sędziwym obliczu Panteonu. Śmieje się do nas szeroko z portyków wczesnorenesansowych Ospedale degli Innocenti i z Badia Fiesolana. Uśmiecha się dobrotliwie z fasady S. Pietro i diabolicznie z Casa del Diavolo w Vicenzy. Uśmiecha się wykwintnie, jak sama Pompadour się

uśmiechała, z fasady Petit Trianon i uśmiecha się z marsowym grymasem Napoleona z frontonu Madeleine. Uśmiecha się wreszcie wdzięcznie, rozkosznie i z całego serca do was z fasady naszych biednych Łazienek i u stóp strzaskanej w Powstaniu Kolumny Zygmunta, zawsze tym samym i zawsze coraz innym, zawsze czarownym, niewinnym uśmiechem ukochanego przez bogów dziewczęcia z Koryntu.

Uśmiecha się i może śmiać się dowoli, bo nikt jej nie zakleił świeżych, radosnych i wilgotnych ust kartką patentową z napisem: Made in Graecia, all rights reserved.

Umysł ludzki pracuje i rozwija się tylko w pełni wolności. Im więcej daje, tym więcej wytwarza.

Jeżeli chcecie iść coraz wyżej, to dawajcie. Rozdawajcie szczerą ręką swoje pomysły kolegom i bierzcie z kolei od nich pełnymi garściami. Byle szczerze, byle radośnie, byle otwarcie i ufnie.

Oto jedna z fundamentalnych zasad uczciwie pojmowanego i spełnianego posłannictwa.

Nie bądź zazdrosny o swoje pomysły, śmieję się, gdy naruszają twoje rzekome prawa autorskie. Ciesz się, jeżeli ktoś zabrał twój pomysł, masz przynajmniej tę pewność, że znalazł się chociaż jeden, któremu napewno się spodobał. Przeżywałem takie momenty i ja. Do dziś dnia mile wspominam mego naśladowcę.

Dam ci tylko jedną radę. Jeżeli sam chcesz czerpać wzorki od innych, zrobisz przezorniej, wybierając takich, co już pomarli, bo ci co jeszcze żyją, nie zawsze mają poczucie humoru, a im głupszy, tym zazdrośniejszy.

Przy czym wystające pomysły są jak wino — mocne, smaczne i krzepiące.

Dysputa, albo mniej patetycznie, dyskusja, czy też po prostu wymiana zdań ma nieocenione znaczenie, ale o tyle tylko, o ile stanowi podstawę do dalszej pracy nad sobą. Nie każdy umie rozmawiać, nie każdy umie wyciągnąć korzyść z rozmowy. Jakiż więc jest cel dysputy, prowadzonej planowo, rozumnie?

Dysputa powinna być tym dla myślącego człowieka, czym sekstans dla marynarza lub sygnał radiogoniometryczny dla lotnika: wskazuje mu dokąd zmierza i gdzie się znajduje w porównaniu z innymi. Stanowi nieustanny sprawdzian jego rozwoju i zdolności do pracy na poziomie wymagań stanu nauki w danym momencie.

Gdy był studentem, zdolność tę sprawdzali profesoro-
wie lub asystenci na ćwiczeniach, kolokwiach, seminariach, wreszcie na egzaminach. Lecz z chwilą usamodzielnienia i wzmoczonej walki o byt olbrzymia większość fachowców zatrzymuje się w swym rozwoju duchowym. Zakres ich wiedzy teoretycznej nie powiększa się, horyzont myśli nie rozszerza się, często nawet przeciwnie, maleje, zacieśnia się, pod supremacją tak pożytecznej pod wieloma względami wiedzy praktycznej i doświadczenia fachowego.

Wartości te są bardzo niebezpieczne dla architekta. Mie-
liśmy bowiem możność powiedzieć już tutaj, bodaj że dwa razy, że walor architekta w szerokim znaczeniu tego słowa, odróżniający go od budowniczego, polega na umiejętności patrzenia „ponad dachem“, z wysoka, na sprawy życia społeczeństwa, której służy swoim rozumem, swoją wiedzą i swoim talentem.

Ponieważ przyspieszony rytm współczesności zaraził szerokie masy pościgiem za „nowością“, przeto nowinkarstwo przesłania olbrzymiej większości architektów podstawową prawdę architektury, na którą kładliśmy nacisk

w naszym pierwszym rozważaniu, gdy mówiliśmy o wysuwających się na plan pierwszy ideach wieczystości, trwałości i nieśmiertelności.

Ileż to razy spostrzegamy pogardliwe skrzywienie ust, gdy zwracając się do młodzieży, dufnej w swe dość płytko zakorzenione maksymy i hasła, wznoszącej szerokim gestem sztandary postępu, zalecamy czytanie starych autorów i studiowanie dawnej architektury? Po co nam to? Nie chcemy starych rupieci. A przecież, gdyby przeczytali sobie, co mówi o klientach, architekturze i architektach wielki protektor Palladia, patriarcha akwilejski, Daniele Barbaro, to przypuszczam, że zastanowiliby się głęboko, nad niewzruszalnością pewnych problemów, zarówno w życiu jak i w architekturze, nad stałym, niezmiennym konfliktem, który odżywa w każdym pokoleniu?

Oto co mówi Barbaro:

„Jeżeli przysługiwałoby mi po temu prawo, to prosiłbym raz i drugi moich rodaków w szczególności (pisze do Włochów XVI-go stulecia, zwanego złotym wiekiem architektury!), a także wszystkich innych, którzy czytać mnie będą, aby zachowali w pamięci, że jeśli nie cierpią niedostatku w bogactwach i mają możliwość podejmować dzieła na miarę zasługującą na powszechny szacunek, niechaj ztroskają się o to, by gmachy przez nich wznoszone znalazły się w rękach budowniczych obdarzonych talentem i umiejętnością. Bowiem tylko wtedy trud i praca włożone w budowę nie pójdą na marne“.

„A jeśli im się zdaje, że powinni się stosować do ogólnie przyjętych zwyczajów w zakresie budownictwa, to bardzo się mylą, bo zwyczaje te bywają często głupie i szkodliwe i, jeżeli pomimo rad moich nie mają odwagi całkowicie się wyłamać z tradycji obyczaju, co jest zrozumiałe i czemu

ja sam nieraz ulegam, to zaklinam ich, aby przynajmniej pozwolili człowiekowi znającemu się na rzeczy zbadać, czy nie byłoby warto uzdrowić potrosze te obyczaje, bo wiele rzeczy można zmienić, opierając się na teorii i doświadczeniu i odrzuciwszy to, co głupie, nadać rzeczy formę rozumną i stosowną, zyskując na użyteczności, wygodzie i pięknie. I jeżeli jakiś dom zupełnie pospolity, przeznaczony na pomieszczenie 200 ludzi ma spełniać swe zadanie jak należy, to nic mu nie zaszkodzi, jeżeli nadto zyska lepszy wygląd. Jeżeli bowiem chcę zrobić określoną liczbę okien, w pokoju, to niechaj mi pozwolą rozstawić je według prawideł sztuki, bo to może przysporzyć piękna, nie przeszkadzając pożytkowi...“

„...A gdy dzieło zostanie uwieńczone powodzeniem i ludzie dowiedzą się, jak to się stało, jeden przez drugiego rzucą się, by naśladować nas w szlachetnej rywalizacji, kto prędzej i lepiej wyzbędzie się przestarzałych przesądów, aż wreszcie zrozumieją, że nikt nie rodzi się architektem, tylko, że trzeba się uczyć, chcieć i umieć posiłkować się rozumem, a ten, kto lekce sobie ważąc rozum, poprzestanie na własnej genialności, nigdy nie pozna prawdziwego piękna i zawsze będzie mu się wydawało piękne to, co pospolite, mądre to, co głupie, a to, co jest nędznie sklecone — doskonałą i prawidłową budowlą.

„Chciałbym także przestrzec architektów i budowniczych, aby nie basowali i nie podkadzali swym zleceniodawcom, lecz żeby im mówili prawdę, radzili dobrze i uczciwie i żeby dobrze się zastanowili, zanim wpędzą ich w wydatki i trwonienie pieniędzy, bo już raz o tym wspomniałem, a teraz przypominam, że tylko postępując w ten sposób, zasłużą sobie na prawdziwą pochwałę, godną ich imienia“.

Warto nadmienić, że słowa, które tutaj przytoczyliśmy, stanowią zapowiedź dzieła Palladia o Architekturze, gdyż Patriarcha Akwilejski był wielkim przyjacielem Palladia oraz, rzecz prosta, odnosił się z najwyższym podziwem do jego architektury.

Mniej więcej w tym samym czasie pisał we Francji Philibert de l'Orme (1570): „zalecam architektom i wszystkim, którzy uprawiają rzemiosło budowlane, ażeby lepiej zajęli się badaniem natury miejsca i prawideł natury, zamiast bawić się rysowaniem pięknych wzorków i wymyślnych ornamentacji, które aż nazbyt często są po prostu siódmami, by chwycić w nie naiwnych lub to, co mają oni w swej sakiewce. Zaprawdę, byłoby uczciwiej i pożyteczniej, gdyby nauczyli się budować zdrowsze mieszkania, zamiast wyczyniać te wszystkie cuda bez sensu, miary i proporcji nie mogąc w dodatku wytłumaczyć po co to robią...”

Czyż te dwa głosy nie pozbawione sarkazmu, lecz przepełnione głębokim zrozumieniem ducha i wielką miłością architektury, jeden prawdziwego znawcy, a drugi znakomitego architekta, nie pulsują krwią żywą, czy są przestarzałe, czy zasługują na wzruszenie ramion?

Chyba tego, co lubi zerkać do cudzej sakiewki i wyłudzać pieniądze od naiwnych. Ale ten, kto rzetelnie odnosi się do naszej sztuki, przyzna mi zapewne, że i gawęda z architektami, z kolegami starszymi od nas o lat czterysta przynieść może tę chociażby korzyść, jeżeli nie potrafimy w niej dogrzebać się żadnych innych, że chociaż formy się zmieniają, chociaż zmieniają się wymagania i możliwości, to jednak idea pozostaje ta sama a pojęcie rzetelności w wykonywaniu naszego zawodu, wielka cześć dla naszej sztuki i wreszcie wiara w posłannictwo architekta

nie są wymysłem jakiegoś tam polskiego szaleńca, lecz są głosem, który towarzyszy architektowi poprzez wieki.

Bo już w najstarszej książce poświęconej architekturze, jaka dotrwała naszych czasów, u Witruwiusza, czytamy we wstępie do dziesiątej księgi: „W sławnym i wielkim mieście greckim, Efezie, utrwaliło się zdawien dawna surowe, lecz całkowicie uzasadnione, prawo. A mianowicie: architekt, podejmujący się wykonania budowli państwowej, był obowiązany oznaczyć wysokość kosztów, jakie z tego tytułu ponieść wypadnie. Po zatwierdzeniu obliczenia przez osoby odpowiedzialne, celem zabezpieczenia przed roztrwonieniem grosza publicznego brano w zastaw cały jego majątek do tej chwili, dopóki budowla nie została ukończona. Jeżeli po jej zakończeniu okazało się, że wydatki odpowiadają obliczeniu wstępnemu, to architekt otrzymywał nagrodę na podstawie specjalnej uchwały, a także inne oznaki uszanowania. Podobnie jeżeli wydatki przewyższyły kosztorys nie więcej, niż o jedną czwartą, to różnicę również wypłacono z kasy państwowej i jeszcze żadnej kary nie narzucano architektowi. Ale jeżeli trzeba było wypłacić powyżej tej sumy, to środki na pokrycie nadwyżki brano z jego osobistego majątku“.

Przyjęliśmy za punkt wyjścia niniejszego rozważania moment wątpliwości, jaka się nasuwa i jaka powinna się nasuwać każdemu, kto rzetelnie pojmuje swą pracę, a następnie rozwijając podjętą myśl, próbowaliśmy szukać sposobów dla rozpraszania tych wątpliwości. Z rozważań tych wynikało, że w zwątpieniu, w rozterce, trzeba się poradzić człowieka lub książki. Będzie to dysputa z żywym przyjacielem, kolegą, rzeczoznawcą lub zmarłym przed wiekami mistrzem. Wszelkie rady są cenne, mogą ich nam udzielać mędrcy i prostaczkowie, myśliciele i praktycy. Pytajmy pil-

nie i chętnie dawajmy odpowiedzi szczere, uczciwe, zupełne. Pamiętaj, że udzielając swej wiedzy drugiemu, nie kryjąc niczego zazdrośnie dla siebie samego, wznosisz się moralnie ponad takich, co skąpią swego dorobku innym. Autorytet twój rośnie i to, co dałeś, opinia zwraca ci w dwójnasób. Pamiętaj, że autorytet prawdziwy, mocny, polega nie tylko na tym, co się mówi, ale przede wszystkim na tym, kto mówi. Jeżeli wszystko schowasz dla siebie, któż i kiedy się dowie o twojej mądrości? Na czym oprze swe zdanie o tobie?

A więc radząc się u drugich i z kolei drugim służąc swoją radą, trzymasz się jedynej i słusznej drogi, jaka przystoi architektowi. Powinien on wyznawać zasadę, że szukanie wartości trwałych w architekturze, wartości sprawdzonych doświadczeniem tysiącleci, stawia bliżej prawdy niż sukces polemiczny. Strzeż się łatwych argumentów, strzeż się błyskotliwych zwycięstw. Pamiętaj o prawdzie bezspornej, że to, co jest nowe dla ciebie, bynajmniej nie musi być nowością dla architektury, a nadto niekoniecznie wszystko, co nowe, musi być lepsze i na prawdę lepsze od tego, co było.

Przed kilkudziesięciu laty pojawił się żelazobeton. Rzucono się ku niemu naoslep, nie zbadawszy wszystkich „za“ i „przeciw“. Rzeczywiście otwierał on nowe możliwości konstrukcyjne, ale niósł ze sobą przewodnictwo ciepła i głosu. Wreszcie doszło do tego, że jeden z czołowych architektów europejskich, obliczywszy dokładnie wszystkie „za“ i wszystkie „przeciw“, nabrał przekonania, że sumując wartości konstrukcyjne, cieplne i przewodzenia dźwięków, a także łatwość robocizny i jej cenę, nie znajduje dla budowli o przeciętnej wysokości, a więc do 5-ciu pięter, lepszego i tańszego materiału na ściany zewnętrzne, niż starą lecz nie przestarzałą cegłę.

Beton jest ponętny. Beton daje nieograniczone możliwości. Wszystko to prawda. Nie unikajmy go, ale nazwijmy rzecz właściwym imieniem i pamiętajmy, że o cegle wiemy wszystko, a o betonie dopiero się dowiadujemy. Dopiero go poznajemy. Strzeżmy się więc nazbyt pochopnych wystąpień, bo kryje się za tym niemal z reguły ignorancja, o której wszyscy wiedzą, iż jest kwiatem nieuctwa.

Zakończyliśmy pierwszą część naszych rozważań, której nadaliśmy tytuł „Dążenie“. Celem ich było rozpatrzenie tych wszystkich momentów, jakie w pojęciu ludzi ostrożnych stanowią nieodzowny rynsztunek architekta, gotującego się do uczciwego służenia idei architektury.

Powtórzmy je raz jeszcze: po pierwsze — głęboko odczute i zrozumiane powołanie, po drugie — duch prawdziwego, jak najszerszej pojętego braterstwa w koleżeństwie, po trzecie — ufność i wiara w uczciwość jako podstawę naszej pracy, cnotę, na którą nigdy nie jest za późno, po czwarte — duch poświęcenia w służeniu idei architektury a przez architekturę społeczeństwu, i wreszcie po piąte — gotowość szukania rady, aby z jej pomocą dążyć ciągle wzwyż. Uzbrojeni tymi pięcioma cnotami: powołaniem, koleżeństwem, ufnością, poświęceniem i poddaniem przystępujemy do *walki o zwycięstwo* naszej wielkiej i pięknej idei. Do walki o Architekturę.

Dlatego też w imię tej pięknej i wielkiej idei proszę cię, byś zechciał „zachować wszystkie te słowa w sercu twoim“.

II

W A L K A

Staliśmy oto w miejscu, gdzie droga życia zawodowego rozwidła się i trzeba powziąć decyzję, którą z dwóch rozchodzących się ścieżek wybrać nam wypadnie. Chociaż minęła już godzina pierwszego świtania, mgła niewiadomego przesłania horyzont. Na rozstaju zatknięto słup, do którego przybito tablice drogowskazu. Jedna nęci wędrowca różowym kolorem tła, na którym napisano złotymi literami: „sława i fortuna“ na drugiej, zielonej, czytamy tylko jedno słowo: „obowiązek“.

Nie chcę namawiać nikogo. Nie mam do tego prawa. Zbyt wiele, zwłaszcza u progu życia, mają znaczenia dla młodej ambicji uwodzicielskie słowa: rozgłos! powodzenie! Zbyt wielkie nadzieje pokładamy w pieniądzach, za które przecież można wszystko kupić.

Dlatego, pomimo iż padały już tutaj i to niejednym raz słowa tej miary co powołanie, koleżeństwo, ufność, poświęcenie i posłuszeństwo w poddaniu, zatrzymuję się i powtarzam: masz jeszcze czas. Nikt nie będzie miał ci za złe, że wybierzesz sławę, bacz tylko, byś ją zdobył rzeczywiście i nie osmalił pięknych piórek w ambitnym locie Ikara, bo wtedy sława zamieni się w śmieszność. Nikt nie będzie się dziwił, że pragniesz wywikłać się z biedy, która ci dojadła

do żywego, że wzdychasz do chwili wytchnienia, jaką obiecuje ci kieszeń wypełniona banknotami, byleś pamiętał, że czasem znacznie trudniej przychodzi zatrzymać się i wyrzec dalszej pogoni za banknotem, bo im więcej ich będziesz posiadał, tym bardziej będą ci potrzebne, aż może nadejść chwila, że przestaniesz liczyć się ze wszystkim, byle mieć ich coraz więcej. Powtarzam: przestaniesz się liczyć ze wszystkim, nawet z własnymi siłami. Więc pomyśl o tym zawczasu, najlepiej teraz, gdy zamierzasz rozpocząć karkołomną wspinaczkę po stromej i śliskiej drodze powodzenia, abyś później, gdy się poślizgniesz lub upadniesz, nie mówił, że nikt cię w porę nie ostrzegął.

Droga kariery jest stroma i śliska. Stojąc na jej początku nie podobna przewidzieć dokąd zaprowadzi. Ale doświadczenie uczy, że zmierza ona wprawdzie ku górze, lecz ostrymi serpentynami, gdy tymczasem droga obowiązku wznosi się również, lecz łagodnie i biegnie prostym, równym gościńcem.

Masz w sobie żyłkę do hazardu, pasję sportowca, więc nęca cię serpenty, nęci szybka rozgrywka. Jeżeli więc pojmujesz życie jako grę, to próżno będę cię od tej gry odwodził: Idź! Zdobywaj. Poproszę cię tylko o jedno. Przed rozpoczęciem wspinaczki zbadaj swe siły i przemyśl to, co ci może dać zwycięstwo, w najlepszym i najgorszym wypadku.

Pomyśl czy cena, jaką ci wypadnie zapłacić, warta będzie tego, co za nią otrzymasz? Bo prawie napewno wypadnie ci w momencie trudnym, gdy staniesz nad przepaścią, gdzie tylko dla jednego starczy miejsca, a takie przepaści zawsze otwierają się tam, gdzie zjawia się „większa robota“ stanąć oko w oko z kolegą. Jaką masz pewność, że to właśnie on okaże się altruistą i ustąpi ci miejsca, zamiast

chwycić za gardło? Albo czy możesz mieć pewność, że gdy się poślizgniesz na zakręcie koniunktury, to ktoś naiwny podtrzyma cię wówczas a nie zepchnie?

Czy znasz prawidła walki amerykańskiej catch as catch can? Łap za co możesz? Nie? No, to prędko je poznasz.

Nie wolno mi ciebie oszukiwać. Zresztą może jesteś dostatecznie gibki i zręczny, bezwzględny i twardy, aby iść, jak to się zwykło mówić w takich razach, „naprzeciw roboty“. Nie chcę także robić z ciebie świętoszka, bo sam nie lubię tych niby potulnych Tartuffów, co to wzrastają w pokorze dopóty, póki nie porosną w pierze. Nie chcę cię wciągać podstępnie na drogę, która mnie wydaje się słuszna, ograniczę się więc tylko do tego, ażeby ci ją opisać. Swojego czasu tę właśnie obrałem i nie żałuję niczego, czego się wyrzec musiałem. Natomiast cieszy mnie, co na niej znalazłem. Droga ta nie jest pozbawiona momentów trudnych, nawet niebezpiecznych. Zwolennik silnych emocji znajdzie je i tutaj. Znajdzie ich nawet więcej, niż na serpentynach powodzenia. Może znaleźć krew i łzy, lecz jeżeli ujrzy krew to we własnym pocie, a jeżeli łzy to popłyną z jego oczu. Będą to łzy boleści ale nie łzy zawiści. Jeżeli dozna bólu, to wraz z tym bólem zazna radości, że to nie on ten ból zadał słabszemu od siebie. A chociaż droga pozornie gładka, nie będzie usiana różami, to jednak przez to, że będzie prosta i uczciwa utwali cię w przeświadczeniu, że wprawdzie idziesz drobnym krokiem, to jednak każdy z tych kroków zbliża cię do celu, a nie kluczy efektownymi zawijasami. I jeżeli nawet nie osiągniesz wierzchołka, to w każdym razie wzniesiesz się wyżej, niż byłeś na początku i swobodnym okiem ogarniesz szerszy horyzont przez cały czas idąc z podniesioną głową, a nie patrząc ustawicznie pod nogi.

Co więcej, nigdy nie zaznasz osamotnienia, bo zawsze znajdzie się przy tobie ktoś, komu dopomogłeś lub ktoś inny, który sam będzie ci mógł pomóc.

Wstępując na tę drogę trzeba postanowić, a raczej uprzytomnić sobie to, o czym była już raz mowa w czasie tych rozważań: skoro bowiem i tak jeden człowiek całej pracy nie jest w stanie wykonać we własnym zakresie, skoro najmniejsze nawet dzieło architektury wymaga nie tylko głowy, ale i rąk i to wielu par rąk, to w takim razie podstawowym warunkiem dokonania dzieła będzie forma działania.

Mówiliśmy także, iż działanie może wydawać różnej wartości owoce, dobre lub złe, piękne lub brzydkie, słodkie lub cierpkie, zdrowe lub też zgniłe i parszywe. Owoc naszej pracy zawsze jest zagadką i nigdy nie możemy mieć absolutnej pewności, czyj trud będzie nagrodzony w obliczu historii. Jedni pragnęli sławy i zdobyli ją, niezależnie od tego, czego dokonali. Inni starali się wywiązać jedynie z wziętego na siebie obowiązku, lecz pracując uczciwie, sami nie wiedząc o tym, tworzyli arcydzieło.

Włosi Quattrocenta postawili sobie za ideał, jaki zamierzali osiągnąć: świątynie o założeniu dośrodkowym. Marzeniom tym dali jeszcze przed architektami wyraz liczni malarze, malując tła do swych obrazów. A więc, Perugino we „Wręczeniu kluczy Piotrowi“, Luca Signorelli w „Świątyni jerozolimskiej“, Rafael w „Sposalizio“ i w „Szkole ateńskiej“, Leonardo w licznych szkicach. Nad urzeczywistnieniem tej pięknej ambicji męczyli się najpotężniejsi architekci „złotego wieku“, kreśląc plany i dźwigając mury nowej bazyliki S. Pietro. Pracowano przez całe niemal stulecie. Podejmowali prace jeden po drugim: Bramante, Rafael, Peruzzi, San Gallo, aż nakoniec ostateczny plan wykonał

Michał Anioł. Rysunki jego wykonali po jego śmierci Vignola i Fontana po to, ażeby już po kilku latach dzieło uległo zniszczeniu, gdyż Maderna otrzymał rozkaz przystosowania kościoła do układu krzyża łacińskiego.

Tymczasem gdy w Rzymie walczyły się w proch szczytne ambicje najsłynniejszych architektów swego wieku, nikomu bliżej nieznanemu Cola di Caprarola zbudował kościół S. Maria della Consolazione w Todi i dziełem tym nieoczekiwanie dla siebie samego urzeczywistnił ambicje kilku pokoleń architektów. Powiadają, że posilkował się on szkicami Bramanta, ale jest to tylko przypuszczenie.

Widzimy więc, jak słaby jest architekt wobec przeznaczenia. Kto się wywyższał, został poniżony, a ten, kto stał skromnie na uboczu, nagle w najmniej przez siebie oczekiwanym momencie zostaje wypchnięty na czoło.

Ostrzegałem i ostrzegam: nie staraj się być lepszym od innych. Poprzestań na tym, ażeby być po prostu dobrym. Staraj się, by to, co robisz, było dobre. Dobre jako czyn, dobre jako działanie i dobre jako dokonanie. Dzieło dobre samo w sobie i w splocie, czy też w łańcuchu działań i dokonań. Musisz się zdobyć na wielki wysiłek, przechodzący zazwyczaj niepostrzeżenie, przez nikogo niezauważony, wysiłek wnikięcia w siebie, wnikięcia w rytm świata, który cię otacza, byś znalazł miejsce, jakie ci w tym świecie *przypada*, a nie szukał takiego, które ci wskazuje jedynie twoja ambicja.

Wiem, że zalecenia moje są trudne. Wiem, że są one sprzeczne z rozpowszechnionym poglądem, sprzeczne z materializmem społecznego myślenia, sprzeczne z supremacją hasel dobrobytu materialnego, płynących na cały świat ze zmaterializowanej Ameryki.

To, co mówię, chociaż nie jest zbyt zachęcające trzeba uznać za konieczność, a nawet za obowiązek nie tylko moralisty własnego chowu, lecz przede wszystkim — historiozofa. Bowiem jeżeli rozejrzemy się dokoła, jeżeli wnikniemy w przeżycia nasze i całego świata z lat ostatnich, to stwierdzimy conajmniej jedno, że zaszły i zachodzą głębokie przemiany w strukturze społeczeństw i że pewne poglądy, zdawałoby się mocno zakorzenione w przeciągu dziewiętnastego wieku, zostały podcięte.

Właściwie ów wiek, zwany niegdyś stuleciem pary i elektryczności, przyczynił się w poważnym stopniu do zachwiania pewnych wartości moralnych pracy. Odarł ją z uroku, jaki leżał u podstaw rzemiosła. Pełną treści, rozmaitości i życia pracę warsztatową zastąpiono ogłupiającą pracą fabryczną, w której *narzędzie służące człowiekowi* musiało ustąpić miejsca *maszynie, którą człowiek zaledwie obsługuje*. Role więc się zmieniły. Praca straciła urok. Przestała być urozmaiceniem życia, przestała być treścią życia, stała się jarzmem. A kiedy wprowadzono jako koronę tego szaleństwa system taśmowy produkcji, otępienie robotnika doprowadzono do ostateczności. Praca, która stanowiła treść życia rzemieślnika, której tajniki przekazywał ojciec synowi, która stawała się niemal sakramentem, a w każdym razie była rodzinną świętością, która była szlachectwem w najpiękniejszym znaczeniu tego słowa tworząc znakomite rody rzemieślnicze Comaschich, Cosmatic, San Gallów, Bibbienów i tylu tylu innych, staje się jarzmem, niewolnictwem, katorgą, ośmiogodzinnym tańcem derwiszów wirujących, kręcących się w kółko aż do upadłego.

Rzucono hasło ośmiogodzinnego dnia pracy. Co to hasło miało oznaczać? Osiem godzin pracy, osiem godzin wypoczynku i osiem godzin snu. A więc w tym układzie nie tyl-

ko prawnie ale nawet filozoficznie usankejonowano mozoł, jarzmo. Przy tym owe osiem godzin pojmuje się bardzo elastycznie: czasem skraca się je do czterdziestu godzin w tygodniu, kiedyindziej, gdy tego potrzeba, zwiększa się wymiar do dziesięciu lub dwunastu godzin dziennie.

System taśmowy nie daje wytchnienia. Robotnik, już nie rzemieślnik, wychodzi po pracy wyciśnięty jak cytryna. Szuka wypoczynku i znajduje go. Gdzie? Tam gdzie mu to wskażą, a więc w kinie lub na placu sportowym, gdzie się gapi, na meetingu lub w świetlicy, gdzie słucha, lub z własnej woli dyktowanej melancholią w szynku, gdzie się upije. A kiedy myśli?

Henry Ford, który jeden z pierwszych wprowadził system taśmowy do swej produkcji samochodów, czyniąc z niej widowisko conajmniej równie ciekawe dla turystów jak taśmowa rzeźnia bydła w Chicago, oświadczają z cynizmem, niepozabawionym sekciarskiego mentorstwa, że w jego zakładach panuje doskonała równość, bo dla każdego robotnika otwarty jest dostęp do najwyższych stanowisk, z wyjątkiem rzecz prosta fotela, na który zasiadał sam Henry Ford. Warunek jeden: trzeba przejść wszystkie stopnie po kolei od najniższego. Ford nie krył zdziwienia spowodowanego tym, że robotnicy nie chcieli awansować. Olbrzymiej większości wystarczyły najniższe, najbardziej ogłupiające zajęcia w rodzaju wyjmowania nakrętek z pudełek, które już ktoś inny, stojący o szczebel wyżej w hierarchii produkcji, nakręcał na gwinty...

Oczywiście niemiecki przemysł wojenny umiał postawić kropkę nad „i” taśmowej produkcji, gdyż robotnika zastąpił niewolnikiem odsłaniając w całej nagości tragizm tego systemu stanowiącego, jak mniemają niektórzy, dumę naszego wieku. Mówię tragizm dlatego, że system ten wkroczył

całe życie gospodarcze świata w tryby maszyny i zmienić tego już dzisiaj niepodobna. W każdym razie ani ja, ani żadna jednostka nic tutaj nie poradzi. Mechanizacja produkcji to niewątpliwy gwałt, jaki zadano duszy ludzkiej i ludzkiemu ciału i tego gwałtu nie zasłonią przed myślącym człowiekiem ani prysznice dla robotników, ani żłobki dla niemowląt, ani przedszkola dla dzieci, ani place sportowe dla młodzieży, ani „domy matki“, ani „sanatoria“, ani lotniska, ani domy kultury masowej. Bo przez to wszystko przeziara pogwałcenie człowieka, jego duszy, jego wolności osobistej, wtłoczonej w rytm marszu hufców pracy, owych „synów wilczy“ noszących jednobarwne koszule i jednobarwne krawaty.

Produkcja seryjna maszyn i produkcja seryjna mundurów, w które się wkłada znormalizowane, lecz niestety nie-normalne serca.

Nie dziwiłbym się, gdyby mi powiedziano, że znalazł się człowiek, który rozmyślając nad tym wszystkim, zalał się nie tylko krwawymi łzami, ale także i krwawym potem.

Spytacie: gdzie tutaj architektura? Odpowiem: jest tutaj i architektura. Tylko, że jest to architektura zbudowana przez szatana. Mistrzowie starego wieku powiadają, że architektura to „ład i porządek“. A w tym wszystkim jest i wielki ład i wielki porządek. Dola zaś architekta polega, niestety, na tym, co już było tutaj kilkakrotnie powiedziane, że musi on wczuwać się w rytm swojego wieku. Przecież to wy będziecie budowali. Przecież to wasi koledzy już zbudowali na ziemi w Ameryce, a pod ziemią w Niemczech, te wszystkie świątynie Molocha. Prasa fachowa zachłystuje się zachwytnymi i olśniewa nas wspaniałymi fotografiami tych arcydzieł architektury, w których człowiek zamienia się w mrówkę, termita lub pszczołę. Jakiś amerykański

Maeterlinck mógłby napisać książkę pod zabawnym tytułem „Życie człowieka“ jako antidotum dla Sinclairowskiego „Króla węgla“.

Pytacie gdzie tutaj architektura? Nie tylko jest architektura, są także i architekci. Bo przecież Alfred Speer, który zasiadł na ławie norymberskich sądów jako jeden z dwudziestu trzech podpalaczy świata, jest architektem i największym urbanistą dwudziestego wieku. On bowiem przemienił całą Rzeszę niemiecką w „miasto - ogród udręczeń“, gdzie każdy żołnierz niemiecki walczący przeciw sprzymierzonemu światu znajdował na zapleczu dwudziestu niewolników, wytwarzających dlań pod batem wśród krwi i łez narzędzia śmierci i zniszczenia.

Gdy zastanawiam się nad tym wszystkim, gdy o tym myślę, nie mogę oprzeć się refleksjom pełnym gorczy. Bo przecież, gdy zwiedzamy Rzym starożytny, usłuzni przewodnicy wskazują nam, jako niezmożone przez wieki arcydzieło architektury świata starożytnego, słynne Coloseum, w którym rzucono chrześcijan na pożarcie lwom, pokazują nam piękny fragment urbanistyczny zwany Skałą Tarpejską, której nazwa mówi tak wiele historykowi i filologowi. Prowadzą nas na Piazza Navona, którego piękny zarys przypomina, że tutaj był kiedyś słynny Hippodrom, na którym łamały nogi najpiękniejsze rumaki i skręcali karki najodważniejsi woźnice. Gdy spoglądamy na Ateny z wyżyn Akropolu, to cicerone ukazuje naszym oczom precudny zakątek krajobrazu, otaczający pieczarę, w której podano cykutę Sokratesowi. W prześlicznym zamku ferraryjskim działa się rzeczy straszne, to samo w mediolańskim i w tylu innych. Widziałem w słynnym muzeum „żelaza“ w Rouen prześlicznie cyzelowane kajdany i równie piękne paski wierzności małżeńskiej.

Historycy sztuki ze zgrozą mówią o barbarzyńcach, którzy poniszczyli, którzy zburzyli te bezcenne cuda architektury. A co byście powiedzieli, gdyby za lat kilkaset zjawiał się ktoś, kto dopatrzyłby się subtelnych proporcji w rozwalonych krematoriach Birkenau... i załamał ręce nad niepohamowaną żądzą niszczenia pomników architektury?

Czy mamy pewność, że nie potrafi on udowodnić słuszności tej tezy? Przecież Niemcy, wydając Witruwiusza w 1938 roku umieścili jako ilustrację tego najstarszego dzieła literatury architektonicznej obok arcydzieł greckich i rzymskich, także budowle niemieckie. Zarówno klasyka Schinkla jak i architektów Rzeszy hitlerowskiej, z którymi zrobiły porządek sowieckie „Katusze“. Podczas zdobywania Berlina wojska sowieckie zrównały z ziemią Kancelarię Trzeciej Rzeszy, której projekt wykonano pod osobistym kierunkiem samego Führera.

Cóż powie o tej „zbrodni“ mitologia hitleryzmu jaka napewno będzie napisana?

Przypomnijmy sobie ból, jaki przeszył nasze serca, gdy rozwalono zamek królewski w Warszawie i spalono pałac w Łazienkach, jak drżeliśmy na samą myśl, że podobny los może spotkać Wawel. Jak niewątpliwą i bezsporną stała się wówczas dla nas idea restytucji tych budowli, które nie tylko w naszym pojęciu, lecz w zgodnej opinii świata były arcydziełami swego wieku i każdego wieku.

Jakże wobec takich kontradycji nie przeżywać krwawej rozterki: tam narzędzie zbrodni przemienia się na przeszczeni historii w dzieło sztuki, tutaj dzieło sztuki staje się przedmiotem zbrodni lub dzieło pychy — natchnieniem mity martyrologicznego.

Jak wszystko to jest splątane, trudne do rozwikłania, jak wypacza zdrową myśl, jak przesłania właściwą drogę, właściwe działanie!

Obowiązkiem naszym: wszystko rozumieć, wszystko odczuwać, całokształt wszystkiego, co nas otacza, ujmować w formę skoordynowaną tak, jak to umieli Rzymianie, którzy budowali zarówno świątynie jak i akwedukty, targowiska jak i Kapitołę, Termy jak i katownie. Jak to umieją czynić skrzętnie, wytrwale i pracowicie Niemcy, które już dzisiaj, leżąc w ruinie, umieją imponować światu anglosaskiemu swą gospodarnością i ładem powstrzymując karzącą dłoń przed zadaniem im ciosu ostatecznego.

Gdzie się tego nauczyć, w jakiej szkole, na jakim fakultecie? W pięknej swej książce, której tytuł nawiązuje do słów Ewangelii świętego Łukasza (XIX, 51) „Kamienie wołać będą“, Hanna Malewska szuka syntezy trzynastego wieku w katastrofie sklepień katedry w Beauvais.

Katedra w Beauvais nie została skończona. Była ona dziełem zakrojonym najśmielej ze wszystkich katedr francuskich. Miała być szczytem śmiałości i mądrości, na jakie stać było mistrzów budowniczych francuskich. Popełniono błędy, zmieniono uświęcony tradycją i umocniony kilkusetletnim doświadczeniem porządek kolejny prac. Kara przyszła natychmiast, sklepienia runęły, ściany się rozpadły w proch. Dodano nowe filary, wzmocniono stare, ale już za pał opadł i katedry nie dokończono, tak samo jak i katedry sienneńskiej.

Dzieła zakrojone zbyt szeroko, z nadmiernym rozmachem, pyszna wiarą w siły człowieka, budowane na piasku ambicji, padają w gruzy i jako ruina wołają do potomności: pamiętaj, że zginiesz, jeśli będziesz podejmował rzeczy wielkie dla małych celów. Pamiętaj, że zginiesz.

Natomiast nabierzesz sił, wytrwałości i hartu, jeżeli oprzesz się na tej wielkiej prawdzie, że wszystko powstaje z trudu i mokołu, że nie ty jeden zlewałeś się krwawym potem rozterki, że nie tylko ty przeżywałeś zwątpienia. Niechaj będzie dla ciebie nie tylko pociechą, ale i najwyższą radością myśl, chociażby ta, iż dano ci wrażliwość i zdolność dostrzegania tych potężnych sprzeczności, że jeżeli możesz cierpieć wówczas, gdy inni wrzuszają ramionami, to znaczy, że bliższy jesteś tej łaski, która spada tylko na wybrańców naszej sztuki. Ona wskazuje, że zdołasz uzyskać dar nie dla każdego dostępny; oglądania obu stron medalu.

Byle ten medal nie był srebrnikiem.

Bo to jest najtrudniejsza próba. Najtrudniejsza chociaż nie najcięższa. Tej próbie poświęcimy nasze następne rozważania, lecz nim do nich przejdziemy, musimy uporządkować to wszystko, co dotychczas było powiedziane. Musimy ustalić punkty oporu, bo bez punktu oparcia nie może być mowy o walce, a przecież hasłem tej części rozważań jest walka, walka o architekturę, walka, która powinna prowadzić do zwycięstwa, której powinna conajmniej przyświecać wiara w zwycięstwo. Ta wiara rzuca nam hasło podporządkowania. Podporządkowania pewnym wytycznym, pewnym tezom, które musimy uznać za niewzruszalne, gdyż tylko niewzruszalność tych tez może dać nam szansę w walce.

Jakie są tezy niewzruszalne architekta pragnącego osiągnąć zwycięstwo? Teza pierwsza: bez względu na to, czy stanę w roli obrońcy projektu architektonicznego, czy też w roli urzędnika sprawdzającego i zatwierdzającego ten projekt w imieniu władzy, powinienem mieć ten sam punkt widzenia na całokształt sprawy. Punkt widzenia „sponad dachu“ to znaczy, powinienem dołożyć wszelkich starań, ażeby ani troska o zadowolenie klienta wyrażona gra-

tyfikacją, ani też myśl przypodobania się zwierzchności nie wpłynęły na wypełnienie obowiązku, jaki spoczywa na każdym architekcie: troski o interes wyższej użyteczności. Bywa tak, że zleceniodawca chce zwiększyć dopuszczalny procent zabudowy terenu, ale bywa i tak, że władza mając swoje cele na oku, pragnie zgnębić obywatela, który ma słuszość i prawo za sobą. Wówczas oddaj Bogu, co boskie, a cesarzowi, co cesarskie, byle nie odwrotnie. Oto pierwszy warunek podporządkowania. Ażeby zdobyć się na taką heroiczną decyzję i umieć trzeźwo spojrzeć na rzeczy, trzeba nieraz długo walczyć, przede wszystkim z samym sobą.

Teza druga: istnieje w każdym mieście plan regulacyjny, istnieje pewien dorobek myśli programowej, zespalający pracę różnych ludzi, różnych architektów dla wspólnego celu, jaki wytknięto w tym planie. Był okres czasu, przewidziany prawem, kiedy każdemu wolno było przed zatwierdzeniem wyłożonych do wiadomości publicznej rysunków zgłaszać uwagi lub zastrzeżenia. Ty, chociaż architekt, nie interesowałeś się wówczas tym planem i obojętne ci było czy on jest dobry, czy zły, taki albo inny. Teraz otrzymałeś zamówienie w ramach tego planu i natychmiast nabiera on w twych oczach rumieńców życia. Spostrzegasz momentalnie wszystko, co krępuje twą fantazję twórczą, co wiąże ręce twemu zleceniodawcy. Pomysł twój, genialny artystycznie i praktycznie, potyka się o „tępotę“ tych, którzy plan narysowali, wystawili na sąd publiczny, odczekali i zatwierdzili. Ale te okoliczności nie mają dla ciebie najmniejszego znaczenia. Rzucasz na szalę cały twój autorytet, stosunki i wpływy, obalasz plan zatwierdzony, narzucasz swą wolę, stwarzasz precedens i podważasz wiarę w moc dokumentów i trwałość decyzji. Przypuśćmy, że miałeś słuszość, przypuśćmy nawet, że były błędy w planie miejskim. Pokaż mi

plan bez błędu i k'ładąc rękę na piersi powiedz, czy masz absolutną pewność, że nie można już zrobić nic absolutnie lepszego od tego, co ty narysowałeś mając na oku korzyści swoje i klienta? A czy masz pewność, że nie przyjdzie po tobie ktoś inny, mniej utalentowany, ale za to jeszcze bardziej wygadany i jeszcze bardziej ustosunkowany niż ty i nowymi koncesjami wywalczonymi dla siebie nie zniszczy istoty tych korzyści, jakie ty wywalczyłeś dla siebie jako architekt i dla zleceniodawcy, jako człowiek interesu? I czy to, czego dokonałeś, nie burzy tezy podstawowej o współdziałaniu i podporządkowaniu?

Widzieliśmy, co się dzieje, w konsekwencji osądów jednostronnych: Niemcy burzą Zamek, a Turcy urządzają arseńal w Parthenonie. Michał Anioł burzy starą Bazylikę św. Piotra, aby wznieść nowy grobowiec, w którym pochował swoją pychę, podobnie jak Niemcy pod gruzami Zamku w Warszawie pogrzebali mit o przestrzeni życiowej.

Jeżeli przetrwałeś mękę rozterki, jeżeli wniknąłeś pracą twego mózgu i serca w istotę cnót, które starałeś się przyswoić sobie w dążeniu, to niewątpliwie znajdziesz w sobie siły, by wydobyc z siebie hart *podporządkowania*.

Będzie ci on bardzo potrzebny. Bo jeśli nie wzmocnisz w sobie woli wytrwania w karności wobec wielkich wytycznych dobra publicznego, wówczas prędzej czy później ulegniesz pokusie.

Ustrzeżesz się jej, gdy nad drzwiami swojej pracowni napiszesz takie wskazanie:

Bądź oskarżycielem, gdy masz bronić, broń, kiedy oskarżasz.

Wówczas osiągniesz w twym postępowaniu ów zamknięty wielobok sił, ową równowagę, która jest niezbędnym warunkiem nie tylko statystyki, lecz i stateczności. Jest kamieniem węgielnym architektury i kamieniem probierczym architekta.

Pokusa omija tylko niedołęgów. Pokusa zjawia się nieoczekiwanie. Pokusa budzi się w twoim sercu i sączy jad zawiści, chciwości i pychy. Pokusa szepcze ci do ucha: — Dlaczego on, a nie ty? Pokusa pyta: — Dlaczego poprzestajesz na małym, kiedy możesz dostać więcej? Pokusa podsuwa ci przed oczy różne tytuły pięknie wykalfografowane przed twoim nazwiskiem. Pokusa sączy ci w uszy najrozmaitsze skandaliki przyklejone do nazwisk ludzi najzdolniejszych, najwybitniejszych, otoczonych najgłębszym szacunkiem, powszechną czcią i ze zjadliwym przyśmiechem doradza: — No i co? Nikt im nic nie robi. Nikt nic głośno nie powie. Mają już teraz bardzo dużo. Będą mieli jeszcze więcej. Zajmują wybitne stanowiska. Wszyscy przed nimi schylają głowy. Pobudowali sobie piękne wille na placach, które ich nic nie kosztowały, kazali sobie wyasfaltować ulice, jeżdżą w'asnymi autami, bywają w „lokalach“...

— A ty co? Co masz z tego, że starasz się unikać „dobrych okazji“. Wysługujesz się i nie masz z tego nic, „murzynujesz“ na prawo i na lewo, a tymczasem twoi koledzy z tego samego rocznika już wypłynęli na pełne wody koniunktury i powodzenia. Pamiętaj: stara zasada głosi — jeżeli chcesz mieć dużo pieniędzy, to nigdy ich nie zapracujesz. Dużo można tylko zarobić.

Nikt zwykłą pracą nie zrobił majątku.

Niestety, obserwacja ta jest prawdziwa. Wzięta z życia. Ileż to razy opowiadano nam o milionerach, którzy zaczęli od zmywania talerzy, nieprawdaż? A więc, jeżeli chcesz zostać milionerem, weź się do zmywania talerzy. Nie trać czasu na naukę architektury. Jeżeli wszakże ciągnie cię architektura, to nie daj się tumanić. Odsuń pieniądze na drugi plan. Jeżeli bowiem nie uda ci się rozprawić od razu ze zdradliwymi podszeptami, to ataki będą się powtarzały coraz częściej, coraz natarczywiej. Bo im wyżej będziesz się wspinał, tym ponętniejsze widoki będą się otwierały przed twoimi oczyma. Im wyższe zajmiesz stanowisko, tym większe i ponętniejsze zjawia się możliwości i zawsze znajdzie się ktoś, czasem nawet ty sam, kto zechce je wyzyskać.

Znamy z historii architektury brzydki fakt, który padł cieniem na dobrą sławę znakomitego rzeźbiarza i architekta rzymskiego, Lorenza Bernini. Zażywał on sławy i rozgłosu od wczesnej młodości, gdyż jeszcze jako kilkunastoletni zaledwie chłopiec wykonał w marmurze cztery słynne grupy mitologiczne, stanowiące do dziś dnia jedną z ponęt halu w Villa Borghese w Rzymie. Pracował wiele, zwłaszcza dla Watykanu, ciesząc się życzliwością sześciu papieży. Jemu to zlecono sporządzenie kilku projektów potężnej kolumnady na placu św. Piotra. Był on naprawdę wielkim i wpływowym artystą. Gdy jechał do Paryża na wezwanie Ludwika XIV-go, to podróż jego przez Francję zamieniła się w jakiś pochód triumfalny, w czasie którego odbierał honory, okazywane zazwyczaj jedynie głowom koronowanym lub co najmniej ambasadorom wielkich potencji. Pieniądze płynęły do niego wartkim strumieniem, ale prace, które mu powierzano, były tak wielkie, że Watykan począł zalegać z wypłatami należności. Urban VIII przygotowywał się do

wojny z Turcją i bardzo potrzebował pieniędzy, które nie napływały. Sytuacja stawała się ciężka, a zapowiadała się jeszcze cięższa. Wówczas wszystko mogło przepaść. Byłoby dobrze, gdyby Berniniemu udało się zainkasować swoje należności jak najprędzej i zabezpieczyć je w odpowiednim miejscu. Co robić? Jak wydostać pieniądze z pustej kasy watykańskiej? I oto pewnego razu, przechodzącemu obok Panteonu Berniniemu wpada do g'owy myśl po prostu genialna: brązy „Rotondy“ (tak Rzymianie nazywają Panteon), wspaniałe złoczone różyce tkwiące w kasetonach kopuły i portyku pozostawały dotychczas na swym miejscu nietknięte od szesnastu stuleci. Przecież to skarb prawdziwy! Brąz i złoto! Najprawdziwsze. W przeciągu sekundy pomysł gotowy: zerwać rozety. Przetopić. Oddzielić złoto od brązu. Z brązu uleje się armaty na wojnę z Turcją. Jest tego tyle, że starczy nawet na tabernaculum do Bazyliki św. Piotra, na które oczywiście otrzyma zamówienie najwybitniejszy rzeźbiarz rzymski, to jest on sam, a jeżeli się coś „okroi“ ze złocień lub spiżu, to będzie można wypłacić zaległe należności „naszemu najwierniejszemu synowi Lorenzo“. Okroiło się. Wypłaceno zaległości.

Panteon, który jeszcze Palladio mógł oglądać w całej jego nieskazanej świetności, ogołocoło całkowicie z brązów.

Opowiadają, że Berniniemu było nijako po tym przedsięwzięciu, zwłaszcza że dużo o tym mówiono na mieście, przeto dla odzyskania równowagi ducha i wzmocnienia nadwyrężonej opinii wystawił własnym kosztem na Panteonie dwie dzwonnice sterczące jak uszy muła nad przycó'kiem antycznej świątyni. „Pasquino“ rozparty bezczelnie na fasadzie palazzo Braschi, mający przywilej chłostania biczem satyry luminarzy Wiecznego Miasta, rozpowiadał później pasquinadami czyli paszkwilami swych anegdót historię

„Oślich uszów Berniniego“ ku ucieście rzymskiego pospólstwa.

Nikt nie podsunał Berniniemu tego pomysłu. Wandalizm, jakiego dokonał, do którego namówił papieża, wykwił z jego pewności siebie, z poczucia własnej siły, bezkarności i autorytetu, za jaki uchodził w pojęciu Watykanu. Papieża wplątał w rzecz nieładną, sztuce wyrządził szkodę niepowetowaną, a sam cśmieszył się nie tylko w oczach rzymskiej gawiedzi, ale, co gorsza, w obliczu historii. Zapomniał bowiem w swej zarozumiałości, że Rzym jest Miastem Wiecznym i że zatem wszystko, co jego dotyczy, przechodzi do historii świata.

W miarę jak rośnie sława jego imienia, każdy architekt nabiera pewności siebie. Rośnie w nim przekonanie o słuszności i własnych poglądów. Nagrody na konkursach przestają mu wystarczać. Tytuł architekta tym bardziej. Tytuł innych nosi ten sam tytuł. Miło jest zdobywać pierwsze nagrody, ale to wymaga ustawicznej czujności i trzymania się w formie, śledzenia zmiany mód kreślarskich, a te są wiecznie płynne, bo wschodzą coraz nowe gwiazdy. Rywale podpatrują twoje pomysły i z małpią zręcznością wprowadzają je do swoich projektów, obok innych ściągniętych skądinąd. Bańka mydlana twego powodzenia może pęknąć lada chwila. W następnej rundzie możesz pójść na deski.

Trzeba się zabezpieczyć. Najlepiej byłoby dokleić do swego nazwiska coś więcej niż „inżynier“, coś, co odetnie cię od szarego tłumu. Jak by to było miło dołączyć na przykład do standartowego inżyniera upragnione: „asystent politechniki“.

Znowu połknąłeś haczyk pokusy. Szukasz sposobu, aby przyciągnąć ku sobie uwagę profesora. Ba, jeżeli masz tupet, to wręcz zbierasz na odwagę i idziesz do niego z ofertą.

Czy istotnie pragniesz pracować w szkole? Czy istotnie chcesz się dalej uczyć? Czy naprawdę nęci cię kamienista droga nauki? Czy zastanowiłeś się nad tym, że jednym z warunków uczciwej asystentury jest przygotowanie się do wyższego stopnia naukowego? Do doktoratu? Czy wiesz, że asystent mający jakie takie poczucie przyzwoitości, powinien od pierwszego dnia pracy w nowej swojej roli zacząć myśleć poważnie o temacie przyszłej pracy doktorskiej i liczyć się z tym, że ją napisze? Że tego domaga się jego honor? Nie, wcale o tym nie myślałeś. Ani ci to w głowie. Doktorat obróciłby w niwecz twoje trzeźwe plany. Asystentura jest ci potrzebna wyłącznie jako odskocznią do lepszych interesów. Nadto pozwoli ci pilniej śledzić koniunkturę i znaleźć się pod ręką we właściwym momencie, gdy otworzy się wakans na jakimś lektoracie, zastępstwie profesora, a może nawet na katedrze.

Praca asystencka ma dla ciebie sens o tyle tylko, o ile nie przeszkadza ci w twoich zajęciach. Daje ci tytuł, którym się szcycisz, ale przecież nie warto zamieniać pięknego tytułu na jarzmo obowiązku. Zresztą nie ty jeden. Ilu jest asystentów? Ponieważ kadencja asystentury trwa lat sześć, przeto co roku jedna szósta powinna przedkładać Radzie Wydziału prace doktorskie. Gdzie są ci doktorzy?

Przeczytaj statut naszej Szkoły. Dowiesz się z niego na czym polegają obowiązki profesora. Napisano tam, że po pierwsze winien on prowadzić badania naukowe i pracować twórczo w dziedzinie nauki, a dopiero później prowadzić wykłady i ćwiczenia. Nadto winien prowadzić związany z katedrą zakład i seminaria. Gdzie są wyniki badań naukowych większości profesorów? Gdzie książki przez nich napisane? Odpowiedzą ci: — Pisaliśmy nasze dzieła w cegle i kamieniu. Tak jest. Pisali je w cegle i kamieniu, myśląc

o swoich korzyściach moralnych i materialnych. Zwłaszcza materialnych. Ale potem przysłała zawierucha wojenna i zdmuchnęła cegłę i kamień. Czy słyszysz co śpiewa Wajdelota? „...płomień rozgryzie malowane dzieje, skarby mieczowi spustoszą złodzieje. Pieśń ujdzie cało!” Słowo przetrwa wszystko. Ale żeby przetrwać, musi być przedtem wypowiedziane i zapisane.

Jeżeli go nie wypowiedziano, jeżeli go nie zapisywano, to dlatego, że pokusa lukratywnych wynagrodzeń za projekty architektoniczne okazywała się silniejsza od artykułu 43-go Statutu Politechniki. Okazywała się pilniejsza od nakazów moralnych, podsuwających konieczność ujęcia w formie książkowej dorobku doświadczenia zebranego w czasie praktyki zawodowej. Zresztą, głos rozsądku, zwany inaczej „ch'opskim rozumem” doradzał zachowanie dla siebie wyłącznie tajemnic zdobytych ciężką pracą. Po co innym oddawać dorobek całego życia?

Pokusa.

Dowiadujesz się, że przyjaciel, tudzież kolega twój otrzymał piękne zamówienie. Ukłucie w sercu. Dlaczego on? Czemu nie ja? Może klamka jeszcze nie zapadła? Trzeba sprawdzić. Idziesz. Węszysz. I składasz ofertę: — Gotów jestem wykonać taki sam projekt taniej. Ile? — Dziesięć do dwudziestu procent...

Pokusa, chciwość, zawiść, wykreśliły z twego serca postulat koleżeństwa.

Albo inaczej. Wiesz, że prowadzą pertraktacje z twoim kolegą o wykonanie pewnej pracy. W tym celu, być może, aby go zaszachować i sk'onić do ustępstw, zwracają się także i do ciebie z tą samą propozycją. Pańskie warunki? Co masz robić, odrzucić? Nie możesz się zdecydować zerwać od razu. Podajesz normę ogólnie przyjętą. Zdziwienie: —

Tak wysoko? Mamy już kogoś, kto zgodził się obniżyć. Chętnie traktowalibyśmy z Panem, gdyby oferta pańska była korzystniejsza. Wpadłeś. Nikt warunków nie obniżał. Zdecydowałaś się, przyjąłeś zamówienie. Przehandlowałeś swoje sumienie, swoją przyjaźń i swoją godność.

Oto, do czego prowadzi pokusa.

Dlaczego nie zdobyłeś się na gest w odpowiedzi i nie zażądałeś warunków wyższych od tych, jakie ofiarowano twojemu koledze? Jeżeli choć trochę szanujesz swoją pracę, jeżeli zachowałeś choć trochę szacunku dla siebie samego, jeżeli choć trochę dbasz o to, co o tobie mówią, trzeba było wyrzec się tej pokusy. Należy zawsze kierować się zasadą, iż nie wolno podkopywać się pod kolegę, podstawić mu nogi. Przecież wiesz dobrze, co powiedziała byś o nim, gdyby to on znalazł się na twoim miejscu.

Dopóki ci starczy siły charakteru, trzymaj się zasady ażeby, ilekroć będą stawiać ci propozycję jakiejś pracy, zapytać uprzednio, czy jesteś pierwszym, do którego zwracają się w tej sprawie. A jeżeli nie, jeżeli mówili już przedtem z innym, to żądaj nazwiska. Niech ci powiedzą, z kim pertraktowano i dlaczego pertraktację się rozchwiały. Strzeż się przy tym polemiki z samym sobą, bo ona prawie napewno ci podpowie, że „dla dobra architektury“ twoja kandydatura jest korzystniejsza. Strzeż się oceniania talentu architektonicznego swoich rywali, zwłaszcza wtedy, gdy nadarza ci się sposobność wysadzić ich z siodła.

Wystrzegaj się także przyjmować pracę, którą rozpoczął już twój kolega, a dla nieznanых przyczyn ukończyć jej nie może lub też nie chce. Jeżeli ci się zdarzy taki przypadek, powinieneś ostateczną decyzję uzależnić od rozmowy z poprzednikiem. Jeżeli to zaniedbasz, nie zdziw się, jeżeli pew-

nego dnia nazwą cię „hieną budowlaną“, bo ten epitet będzie ci się zupełnie słusznie należał.

Ogłoszono konkurs. Rozstrzygnięto. Przyznano nagrody. Dostałeś trzecią. Pogodziłeś się z losem. I oto najniespodziewaniej zjawia się u ciebie klient i powiada, że jemu podobna się najbardziej projekt twój i że go nic nie obchodzi opinia sądu konkursowego. Praca wyróżniona pierwszą nagrodą nie odpowiada mu wcale. Nie będzie jej budował. W twoim projekcie znajduje to właśnie, czego mu potrzeba.

Miód spływa w twoje serce. Pokusa. Przyjmujesz propozycje zagłuszając skrupuły sumienia przeświadczeniem i niezłomną wiarą, że twój projekt był istotnie najlepszy ze wszystkich, a jedynie sąd konkursowy nie umiał się na nim poznać.

Bywa jeszcze gorzej. Nikt się do ciebie nie zwraca. Ale ty sam, mając głęboką wiarę w niedocenione walory własnego projektu, przypominasz sobie, że znasz kogoś wpływowego, kto podziela wysokie mniemanie o twoim talencie ceniąc go tak, jak ty, to znaczy wyżej niż poczucie lojalności koleżeńskiej, niż przyzwoitość stosunków koleżeńskich, niż szacunek dla sądu konkursowego i godzi się wyrzucić odpowiedni nacisk tam, gdzie trzeba. Skutek okazuje się natychmiastowy. Zamówienie dostajesz ty, a laureat konkursu odchodzi z kwitkiem.

Zdarza się jeszcze inaczej. Brałeś udział w konkursie powszechnym, a więc anonimowym i nie dostałeś żadnej nagrody. Wobec tego nazwiska twego nie ujawniono. Konkursy powszechne są przecież tajne. Nagrody przyznano ludziom młodym, niedoświadczonym. Zleceniodawca zaś zastrzegł sobie w warunkach konkursowych wolną rękę co do wyboru architekta, któremu powierzy przeprowadzenie budowy. Zwraca się do ciebie z propozycją wykonania projek-

tu w oparciu o plan konkursu, który całkowicie oddaje do twojej dyspozycji. Ma do tego prawo. Takie postępowanie przewidziano w warunkach konkursowych, które głosiły, że projekty nagrodzone stają się całkowitą i wyłączną własnością zleceniodawcy. Prawo jest więc po twojej stronie. Wolno ci zamówienie przyjąć. Wolno ci nawet przejść do porządku nad pracami konkursowymi. Wolno zrobić projekt według twego uznania. Ale z punktu widzenia sprawiedliwości i uczciwie pojmowanego koleżeństwa, byłoby właściwiej, gdybyś zastrzegł, aby do współpracy nad ostatecznym projektem doproszono autorów projektu odznaczonego pierwszą nagrodą, zaś tobie przeznaczono rolę opiekuna z tytułu starszeństwa i doświadczenia, by dopomóc im w urzeczywistnieniu tych wartości, jakie zdecydowały o przyznaniu pierwszej nagrody. Dopiero, gdyby oni odrzucili taką współpracę i, bez żadnego nacisku z zewnątrz, rzekli się swych praw moralnych, nabytych zwyczajem konkursowym, pozostawiając ci całkowitą swobodę działania i decyzji, wtedy możesz już z czystym sumieniem podjąć się proponowanej pracy.

Zapytasz: — Dlaczego aż tyle zastrzeżeń? — Dlatego, że jeżeli posłałeś pracę na konkurs powszechny znając nazwiska tych, którzy mieli zasiadać w sądzie konkursowym, to tym samym godziłeś się na wyrok, który oni wydadzą. Uznawałeś ich kwalifikacje. Jeżeli oni wybrali inny projekt niż twój, to chociaż nikt oprócz ciebie nie wie o tym, że i ty uczestniczyłeś w konkursie, w sumieniu twoim powinieneś podporządkować się zapadłemu wyrokowi. Całokształt sprawy znasz tylko ty. Czy dlatego, że nikt oprócz ciebie nie wie tego, że wśród prac odrzuconych była także i twoja, miało by ci być wolno zapomnieć o szacunku dla samego siebie, dla twych kolegów i dla sędziów konkursowych?

Jak ci się zdaje?

Są różne prawa zwyczajowe, obowiązujące architektów w zależności od tego, czy biorą oni udział z zasady w konkursach, czy też z zasady konkursów unikają. Należy także rozróżniać architektów, uczestniczących zarówno w konkursach powszechnych lub ograniczonych, od takich, którzy decydują się jedynie na udział w charakterze zaproszonych do konkursu ścisłego. Dlaczego takie różnice? Przecież są jedne prawa przyzwoitości dla wszystkich.

Niezupełnie. W zasadzie bowiem nie uważa się za dopuszczalne z punktu widzenia przyzwoitego, ażeby architekt czynił jakiegokolwiek starania, aby otrzymać zamówienia. Powinien czekać, aż się do niego zwróci. Są takie „centusie“, które umieją „spowodować“ otrzymanie zamówienia. Ale to nie jest w porządku.

Powiedziano tutaj kilkakrotnie, że dzieło architektury powstaje jako skutek działania złożonego. Najpierw sporządza się projekt rysunkowy. Projekt jest pomysłem. Następnie przechodzi się do urzeczywistnienia pomysłu, co wymaga rutyny i doświadczenia. Innych kwalifikacji oczekujemy od dawcy pomysłu, innych od rysowników opracowujących pomysł, a jeszcze innych od budowniczych, którzy wprowadzają go w życie. Bywa tak, że jeden człowiek skupia w sobie te wszystkie kwalifikacje, ale to nie zdarza się zbyt często.

I dlatego przezorność zaleca wprowadzanie do warunków konkursowych zastrzeżeń, że przyznanie pierwszej nagrody nie stanowi rygору przesądzającego o tym, że laureat musi otrzymać zamówienie na dalsze prace, chociażby dlatego tylko, że może on wogóle nie być architektem, albo co najmniej nie posiadać uprawnień państwowych koniecznych dla wykonywania zawodu.

Jeżeli więc żądamy od architekta, ażeby nie biegał za zdobyciem pracy, to zamykamy mu drzwi prowadzące na szeroki świat życia zawodowego. Jakże się ma on wybić w takich warunkach? Aby mu to ułatwić, stworzono instytucje konkursów. Konkurs architektoniczny należy uważać za jedną z najważniejszych, chociaż nie najłatwiejszych dróg ubiegania się o pracę twórczą w architekturze.

Konkurs ma wiele zalet. Pozwala on architektowi przedstawić się z najlepszej strony. Pozwala mu sięgać po tematy, do których inaczej być może nie dotarłby nigdy. Zwyciężając, może dać znać o sobie najszerszym kołom społeczeństwa. Zdobyty konkurs może posiadać wszystko — nazwisko, pracę, pieniądze.

Jednakowoż architekt, posiadający już „nazwisko“ i dość zajęcia dla siebie, nie kwapi się do rywalizacji i odświeżania ostróg rycerskich. Uważa, że ma tyle pracy ściśle określonej, poważnej i doniosłej, że może mu ona wypełnić czas całkowicie. Dlatego unika konkursów powszechnych. On już pracy nie szuka. To praca jego szuka. Ona stara się jego pozyskać. On godzi się lub nie brać udział w konkursach ścisłych, które ogłasza się dla zadań specjalnych, gdzie przykładą się większą wagę do wartości, jakie reprezentuje ściśle określony człowiek, jego wiedza, doświadczenie i rozsądek, niż do olśniewających pomysłów młodego, pełnego zapału, lecz jeszcze cokolwiek surowego artysty.

Są jeszcze inni, których czas jest tak bardzo cenny, że wogóle nie są skłonni uczestniczyć w jakichkolwiek konkursach. Podejmują się wyłącznie zamówień szczególnej wagi o ile te mieszczą się w ramach ich własnych zainteresowań. Wolą oni raczej całkowicie wycofać się z praktyki, niż uczestniczyć w jakichkolwiek zawodach. Nie chcą

być zawodnikami. Są wreszcie i tacy, którzy ze względu na zajmowane stanowiska publiczne lub urzędowe powinni unikać udziału w konkursach oraz wystrzegać się wszelkiej praktyki prywatnej. Którzy, jeżeli godzą się dać swą pracę twórczą lub kierowniczą, to tylko i wyłącznie dla celów wyższej konieczności i użyteczności. Może się bowiem zdarzyć, że ktoś, mający tak zwane „duże możliwości“ wykona projekt, który wypadnie poddać sądowi architektów znajdujących się w sferze zasięgu tych właśnie „możliwości“. Wówczas sędziowie będą w nielada kłopotcie, aby wybrnąć z drażliwej sytuacji i trudno im przyjdzie wydać wyrok, który nie naraziłby ich na obstrzał złośliwych i uwłaczających ich godności komentarzy.

Byłoby słuszne, gdyby profesorowie uczelni oraz architekci na czołowych stanowiskach publicznych i fachowych, pilnie przestrzegali takiej zasady i pozostawiali szranki konkursowe wyłącznie architektom wolno-praktykującym. Zresztą, jeżeli poważnie pojmują obowiązki profesorskie lub urzędowe, to nie powinni znaleźć czasu na zabiegi o trofea konkursowe. Dla takich profesorów przestrogi moje są oczywiście zbyteczne.

Komentarze marginaliów konkursowych mogłyby się ciągnąć nieomal bez końca. Atmosfera konkursów stwarza sytuacje o wyjątkowej drażliwości, gdyż właśnie, dzięki możliwościom, jakie otwiera dla ambitnego człowieka każdy nowy konkurs, mnóstwo ludzi żyje w napięciu i podnieceniu zbyt gwałtownie po ogłoszeniu wyników konkursu rozładowywanych. Wypadłoby tutaj omówić jeszcze to zagadnienie, oglądane od strony tych, którzy ogłaszają konkursy. Należałoby wskazać te momenty, kiedy ogłaszanie konkursu nabiera cech ucieczki przed odpowiedzialnością tych, którzy powinni mieć odwagę ze względu na zajmo-

wane stanowisko wziąć na siebie odpowiedzialność za decyzję o wyborze architekta. Ale to dotyczy raczej etyki zawodowej osób zajmujących stanowiska urzędowe niekoniecznie z tytułu zawodu architekta. A to do nas nie należy.

Konkursy miewają strony dobre i strony złe.

Architektom powierza się nie tylko przygotowywanie projektów lub kierownictwo budowy. Powołuje się ich także w charakterze ekspertów do udzielania różnych opinii lub jako rzeczoznawców w rozstrzyganiu zatargów. Jest to dziedzina zajęć stwarzająca mnóstwo pokus. Oczywiście do takich czynności powołuje się zazwyczaj ludzi starszych, odpowiedzialnych, doświadczonych, czcigodnych, których nazwisko powinno być dostatecznym pancerzem przeciw pokusie. Ale pokusa, na podobieństwo broni zaczepnej, doskonalili się równolegle do postępów, jakie czyni technika umacniania pancerzy.

Nie ma takich pancerzy, których kula nie przebije. Pamiętamy na upadek linii Maginota. Pamiętamy, jak padł domek karciany Wału Atlantyckiego, jak rozleciała się linia Zygryda.

Zataił się w naszej pamięci fortel, jakiego użyło na schyłku dziewiętnastego wieku warszawskie społeczeństwo, ażeby uzyskać po długich i daremnych zabiegach zezwolenie władz rosyjskich (cesarskich), na budowę naszej Szkoły Politechnicznej. Wszelkie dotychczasowe starania rozbijały się o konsekwentną politykę Petersburga inspirowaną przez miejscowe tak zwane „czynniki miarodajne“. Aliści w tym czasie wstąpił na tron cesarski Mikołaj II i zamierzał odwiedzić Warszawę z racji tytułu „króla polskiego“, jaki nosił. Korzystając z tej sposobności zebrano w krótkim czasie drogą składek milion rubli, by ofiarować je młodemu

monarsze. Ten, rzecz prosta, nie mógł zachować dla siebie takiego upominku, więc aby nie zrażać „uczuc wiernopoddańczych“ komitetu przyjęcia, wyraził chęć przekazania tej kwoty na cel, który sprawiłby przyjemność ludności miasta. Na to czekano. Poproszono o Politechnikę.

A więc, jeżeli można znajdować sposoby, aby wciągać głowy koronowane do walki z kamaryllą dworską czy urzędniczą, to znacznie łatwiej znajdować sposoby dla kruśzenia mniej potężnych fortyfikacji.

Strzeżmy się zbytniego przeceniania naszej odporności na wszelakie pokusy i pamiętajmy, że przed każdym ekspertem, przed każdym rzeczoznawcą otwierają się natychmiast możliwości osiągnięcia korzyści wtórnych z dokonanej ekspertyzy.

Któż oprze się zleceniu dokonania jakiejś inwestycji w dzielnicy, w której sam mieszka, lub na ulicy przy której znajduje się jego dom? Przecież inwestycja taka ma na celu nie tylko dobro jego jednego. Korzyść z niej odniesie wiele osób. Można to upozorować dajmy na to „pokazem jak będzie wyglądała jakaś dzielnica w odległej przyszłości“. Każde miasto ma swoją ulicę Langiewicza lub Filtrową. Każda stolica ma ministrów, każde miasto ma dyrektorów. Tak jest. Każde miasto ma dyrektorów, ale dyrektorzy powinni robić eksperymenty i pokazy życia przyszłości na innych ulicach, nie zaś na tych, przy których są ich domy, bo o tym można różnie mówić. A po co?

Zapytuję cię o opinię w sprawie zmiany układu w sieci ulic lub parcelacji jakichś terenów. Udzielasz tej rady w charakterze eksperta urbanisty. Na podstawie twej opinii plan zatwierdzają. Ale przeglądając plany, upatrzyłeś sobie jakiś skrawek gruntu lub jakąś rudę, która obniża

wartość handlową placu conajmniej o połowę w nowym układzie. Jakże tu nie kupić? Taka okazja!

Dlatego radzę: przyjmij na przyszłość zasadę, aby unikać wypowiedania swej opinii fachowej w jakiegokolwiek postaci tam, gdzie wchodzi lub mogą się zaczepić twoje interesy osobiste materialne lub moralne. Odpowiedz mi: — Mnie też się tak zdawało. A przecież widziałem liczne kompromisy z własnym sumieniem, gdy chodziło o wykorzystanie swego autorytetu lub stanowiska dla korzyści materialnych lub chociaż dla ułatwienia sobie życia lub uzyskania wdzięczności osoby wpływowej.

Pewna bardzo przykra dziedzina pokus wypływa stąd, że całokształt spraw, związanych z realizacją projektów budowlanych czyli tak zwane „kierownictwo budowy“, opiera prawodawca na przesłance niesłusznej i niedostatecznie uzasadnionej. Uderza ona w architekta i prowadzi do wypaczenia s'abych charakterów.

Prawo czyni niesłusznie architekta-kierownika budowy odpowiedzialnym za ściśle wykonanie zatwierdzonych planów. Natomiast tego, kto wykonuje te plany jako przedsiębiorca, nie obarcza obowiązkiem posiadania kwalifikacji fachowych. W takim pojęciu prawa przedsiębiorstwo budowlane jest wyłącznie przemysłem dla zysku. Z czego wynika, że interes przedsiębiorcy polega na tym, ażeby wziąć za budowę jak najwięcej pieniędzy, a wydać z nich jak najmniej. Policzyć za dobry materiał, a dać lichy. Policzyć za dobrą robociznę, a dać złą. Za to architekt powinien myszkować po budowie, węszyć nadużycia i uganiać się za przedsiębiorcą jak celnik za przemytnikiem. Ale nawet to byłoby jeszcze pół biedy.

Procedura przetargów na roboty państwowe prowadzi prosto w kierunku wszelakich nadużyć. Gdy projekt archi-

tektoniczny jest gotowy, kierownik musi sporządzić kosztorys, oparty na analizie cen ogólnie przyjętej oraz na cenach rynkowych materiału i robocizny. Stąd wynika preliminarz kosztów budowy ujęty w pewną kwotę globalną przewidywanego wydatku. On będzie miarą porównawczą sum ofertowych przetargu. Lecz władze żądają powierzenia robót oferującemu najtaniej, nawet poniżej kosztorysu własnego, a więc poniżej cen oficjalnie stwierdzonych. Czyż taka oferta może być uczciwa? Przecież w takim razie przedsiębiorca da albo gorszy materiał niż ten, jaki architekt przewidywał w kosztorysie, albo zamierza dać fuszerkę w robociznie. Architektowi więc przypada rola pryncipiścia filuta-oferenta, aby dał dobry materiał i dobrą robociznę. Możemy być pewni, że nie wycisnie on z przedsiębiorcy nic więcej, niż tamten będzie gotów pozwolić z siebie wycisnąć. Chyba, że „wycisnie“ jego samego z budowy i ten, ratując swoje własne interesy, rzuci wszystko, narażając zleceniodawcę co najmniej na opóźnienie wykończenia pracy. Albo też zrobi co innego, „porozumie się“ z architektem lub jego zastępcą, aby polubownie znaleźć wyjście z trudnej sytuacji. Zazwyczaj porozumienie zostaje zawarte w najbliższym barze. Wiemy, jak takie porozumienia wyglądają. Czasem nawet bardzo niewinnie. Ot, jakieś polecenie architekta nowemu klientowi: — Pan zrobi projekt, ja wybuduję i wszystko będzie w porządeczku. Prowizja za tę przyjemność — to przymknięcie oka na budowie. Każdy architekt „trzeźwo patrzący na rzeczy“ przypomina sobie szybko, że w obliczeniach pozostawiono pewne zapasy, co pozwoli poczynić pewne oszczędności. I wszystko będzie „w porządeczku“.

Dziedzina utarczek z przedsiębiorcą oraz tępo trzymającym się nedorzecznych przepisów kontrolerem — to teren

syzyfowej walki architekta. Zdarza się aż nazbyt często, że zleceniodawca po prostu wpycha architekta w ręce przedsiębiorcy. Zwłaszcza wtedy, gdy jest to budowla publiczna i gdy w imieniu „osoby prawnej“ występuje „człowiek fizyczny“, mający na widoku raczej swoją karierę niż dobro publiczne. Powiedziałem, że jest to walka syzyfowa, gdyż splot sił, jakie sprzysięgają się tutaj przeciw architektowi, przedstawia się niemal tragicznie. Wszystko sprzysięga się przeciw niemu: prawo, które czyni go odpowiedzialnym za fuszerkę budowlaną, do której system przetargowy powierzenia robót właściwie zachęca każdego przedsiębiorcę, nawet uczciwego, chociaż takich jest niewiele, bo dawno wyginęli, nie wytrzymałszy rywalizacji w obniżaniu cen ofertowych. Architekt chciałby, ażeby to, co buduje, wypadło jak najlepiej, natomiast jego zleceniodawca krótkowzrocznie zaciąga sobie i architektowi stryczek dokoła szyi, dążąc do tego, żeby budowa kosztowała jak najtaniej. Zapomina, że wówczas, gdy siedzieliście nad rysunkami, rozdmuchiwał niepotrzebnie i nadmiernie program przestrzeni użytkowych. A potem, gdy nadszedł moment płacenia za fantazję, zamienia mieszek i pałac z bajki w domek z pieronika, który każdy nadgryza ze swojej strony.

Kiedyś, będąc jeszcze studentem, zapytywałem jednego z moich profesorów, jak określiłby zalety dobrego architekta. Odpowiedział mi tak:

— Dobry architekt to ten, który potrafi pozyskać na tyle zaufanie swojego klienta, że ten uwierzy mu, iż dobra robota musi kosztować. Ale powinien on *umieć* za dobrą cenę, jaką klient zapłaci, wydostać naprawdę dobrą robotę od przedsiębiorcy. Jedno bowiem jest pewne: nikt za złą cenę nie dostał dobrej roboty.

Próbowałem naszkicować tutaj obraz pokus, jakie osaczają architekta. To, co zebrałem, to zaledwie drobny ułamek. Zresztą nie zdołałbym i nie usiłuję nawet wyczerpać tego tematu. Zwłaszcza dzisiaj, kiedy każdy dzień, każda chwila koniunktury przynosi nowe pomysły. Zresztą umyślnie nie przytoczyłem żadnego przykładu obecnego układu sił. Obawiałbym się osiągnąć coś wręcz przeciwnego niż to, do czego zmierzam. Przykłady, jakie tutaj podałem, zdarzały się zawsze i wszędzie. Wszak nie zapomnieliśmy o filutach zerkających do cudzego mieszkania, którym usiłował kruszyć sumienia dostojny Philibert de l'Orne.

Chciałem raczej sformułować kategorie pokus, jakie ustawicznie zastawiają na nas swe sidła. Promotorem ich nie zawsze bywa tylko wyłącznie chciwość, lecz często wybijają ambicja, żądza sławy, rywalizacja, konieczność, czasem słabość charakteru.

Stajemy się nieraz albo przedmiotem namowy do złego albo ofiarą zbiegu sił. Popełniamy błędy wpadłszy w sidła, do których wpełchnął nas ktoś, kogo chcieliśmy przed nimi bronić. Wali się na nas ze wszystkich stron.

Dlaczego? Dlatego, że w związku z charakterem naszej pracy przelewają się zazwyczaj duże pieniądze przechodząc z rąk do rąk. Ktoś biegły w technice sprawdzania rachunków budowlanych powiedział, że czujny i bystry kierownik budowy wypatrzy przy sprawdzaniu rachunków nadużycia przekraczające wysokość honorarium architekta. Jeśliby więc był mniej czujny i mniej bystry, a za to bardziej przemyślny, mógłby podwoić swój zarobek. Powinien więc być czujny, powinien być zręczny, ale także powinien pamiętać gdzie, kiedy, ile i od kogo otrzymuje za swoją pracę.

Gdzie, kiedy i jak powinien przywołać do porządku tego, kto chce mu wpłacić to, co mu się wcale nie należy.

Czy nigdy nie czułeś korony cierniowej na skroniach? Przypuszczam, że nie, gdyż nie zastanawiałeś się po prostu nad tym, co te słowa oznaczają. Korona cierniowa to nie są twoje winy ani też twoje grzechy. To są winy i grzechy drugich, które uderzają w ciebie. Nauka, jaką z dzisiejszych rozważań należy wyciągnąć, dotyczy dwóch rzeczy. Po pierwsze, jak znosić bolesny ciężar grzechów cudzych, i po drugie, jak się ustrzec, by własne przewinienia w nikogo nie uderzały.

Wszelkie błędy popełniane przez człowieka, należącego do pewnej grupy społecznej, a więc także i zawodowej, uderzają w mniejszym lub większym stopniu w opinię, jaką to środowisko posiada w szerszych kołach społeczeństwa. Prócz tego zdarza się, że czyn występny sam w sobie zadaje nie tylko krzywdę pośrednią swojemu środowisku, ale w tym środowisku krzywdzi kogoś indywidualnie.

Jeżeli więc tworzymy środowisko zwarte, a więc na przykład ugrupowanie młodzieży architektonicznej w szczególności, to jednak należymy do ogółu akademików i przez to czyn jednostki oceniany ujemnie uderza nie tylko w jej kolegę, w jej wydział, w jej szkołę, lecz nawet w ogół młodzieży akademickiej całego miasta, wreszcie i całego kraju.

Ale uderzając w wydział trafia nie tylko studentów, uderza także i w profesorów, gdyż opinia publiczna czyni ich odpowiedzialnymi za samowolę młodzieży. W dalszym zasięgu uderza już w cały senat akademicki. Tak więc jednym samowolnym, nieopanowanym czynem, bezmyślnym lub złośliwym gestem, rozdajesz, sam o tym nie wiedząc, korony cierniowe na prawo i na lewo.

To samo dotyczy tych, którzy uzyskawszy już dyplomy zostali formalnie zaliczeni do grupy zawodowej architektów, lekarzy, adwokatów.

Tutaj czyny występnej jednostki uderzać będą w jej klub, w jej zrzeszenie zawodowe, w ogół ludzi uprawiających ten sam zawód.

Czy nie zauważyłeś, że gdy ktoś ukradnie, to opinia nie poprzestaje na powiedzeniu, że ten a ten człowiek należący do pewnej grupy społecznej ukradł, lecz natychmiast uogólnia się mówiąc, że ludzie tej właśnie grupy społecznej są złodziejami. Urzędnik wziął łapówkę, vox populi woła: urzędnicy są łapownikami. Nikt nie twierdzi, że tak być powinno, lecz należy stwierdzić ze smutkiem, że na ogół tak się dzieje.

Wiadomo, jak trudno, wskutek chronicznego braku miejsc, zostać przyjętym na wyższą uczelnię. Znalazł się kiedyś człowiek pomysłowy, który umiał wykorzystać tę okoliczność, by ciągnąć z niej zyski. Rozgłosił on umiejętnie, że podejmuje się pośredniczyć, oczywiście za pewną opłatą, w pertraktacjach z profesorami zasiadającymi w komisji egzaminacyjnej, ażeby uzyskać przyjęcie kandydata. Pośrednik był bardzo uczciwy, gdyż w razie niepowodzenia swych zabiegów zwracał całkowitą kwotę i nic sobie nie potraçał na tak zwane „koszty“. Sława jego rosła rzecz prosta z roku na rok i coraz więcej kandydatów zgłaszało

się o jego pośrednictwo. Dochody też wzrastały, gdyż praca dawała coraz lepsze wyniki. Aż wreszcie doszło do tego, że utrwaliło się przekonanie, iż na niektóre fakultety wyższych uczelni nikt bez łapówki dostać się nie może.

Przypadek zrzucił, że sprawa się wydała i „uczciwy pośrednik“ znalazł się na ławie oskarżonych pod zarzutem wyłudzenia pieniędzy od naiwnych. Przewód sądowy wykazał, że nie interweniował on wcale na żadnej komisji egzaminacyjnej i że praca jego polegała wyłącznie i jedynie na odczytywaniu listy tych, co zostali przyjęci oraz na zwracaniu pieniędzy kandydatom, którzy na liście się nie znaleźli. Rzecz prosta, że zatrzymał sobie opłaty od tych, którzy zdali egzamin wstępny w normalnym trybie.

Dowcipny, prawda? Tak, ale istnieją moralne konsekwencje tego dowcipu i moralne tego łajdactwa podłoże. Podłoże moralne jest bardzo brzydkie i antyspołeczne. Zauważmy, że jeżeli, dajmy na to, można przyjąć stu kandydatów, a zgłasza się trzystu, to egzamin ma na celu wyeliminowanie z pośród tych trzystu dwustu gorzej przygotowanych lub mniej uzdolnionych. Bowiem w interesie społeczeństwa, które za naukę młodzieży płaci, leży, ażeby za swoje pieniądze otrzymać najzdolniejszych i najpracowitszych specjalistów, a bynajmniej nie to, by ułatwiać życie najsprytniejszym, najcyniczniejszym i najzamożniejszym, którzy i tak bez pomocy społecznej dadzą sobie radę w życiu.

Ojciec, który decyduje się zapłacić za przyjęcie syna do szkoły, a tym samym odebrać miejsce innemu, zasługuje na bardzo ciężką kwalifikację moralną. To też, „uczciwy pośrednik“ biorąc od niego pieniądze za tę aferę płacił mu pięknym za nadobne, bo wówczas, gdy syn został przyjęty dlatego tylko, że był po prostu dostatecznie przy-

gotowany, ojciec utwierdzał się w przekonaniu, że to nie wartości osobiste jego syna zwyciężyły, lecz tylko jego pieniądze. Umacniał więc swój łajdacki stosunek do społeczeństwa, tracił wiarę w syna, podważał w nim wiarę w siebie, a także w uczciwość tych, którzy mieli być mu drogowskazem.

Zaś obaj z pośrednikiem kładli koronę cierniową na głowy profesorów. Tutaj mała uwaga: ojciec nabierał zaufania do oszusta pogłębiając przez to swój fałszywy sąd o ludziach, pośrednik ze swej strony zacierał ręce z radości, że znalazł jeszcze jednego durnia.

Ilekróć z początkiem roku akademickiego wchodzę na salę wykładową, by przemawiać do nowego audytorium, czuję kłucie w skroniach, gdyż nie mogę oprzeć się przykre-
mu uczuciu, że w dziesiątkach oczu wpatrzonych we mnie
czytam zarzut: Oto jeden z tej szajki.

Mówiliśmy tutaj przy innej okazji o różnych sztucz-
kach, stosowanych przez studentów, żeby, o ile się da,
zmniejszyć wysiłek osobisty konieczny do zdobycia stopnia
z ćwiczeń czy to egzaminów, do uzyskania lepszej noty
z pracy dyplomowej. I znowu warto nadmienić, że tym
razem już wśród nich samych, na podstawie słusznych lub
też mylnych obserwacji wytwarza się niczym nieuzasadnio-
ny pogląd, że profesorowie są jakby automatami, które tyl-
ko wtedy wyrzucają właściwy stopień ze swego blaszanego
organizmu, jeżeli wrzucić taki a nie inny liczman do tej
a nie innej przegródki. Wytwarza się opinia, powstają sy-
stemy, recepty, jak przygotowywać się do egzaminów, jak
się na egzamin ubrać, jak się podczas egzaminów zachowy-
wać, ażeby sobie zapewnić pomyślny wynik. Są w pojęciu
młodzieży profesorowie: „naiwni“, „dobrzy“, „głupi“, ale są

także tacy, którzy egzaminują z inteligencji. Ci są najgorsi.

Nie wiem, jacy są profesorowie, chociaż należę do ich środowiska od lat bez mała dwudziestu. Jedno tylko wiem napewno i z każdym rokiem odczuwam coraz boleśniej, że kolce cierniowej korony, jaką wciskają na moją głowę ręce studentów, kłują boleśnie zwłaszcza wówczas, gdy ją kładą na moją głowę ci najlepsi.

Dlaczego najlepsi? Czyż najlepsi mogą wkładać koronę cierniową na głowę profesora?

Cios zadany ręką człowieka dobrego boli nie tylko fizycznie ale i moralnie. Gdy zaś uderza człowiek zły, to rani on zaledwie nasze ciało. A jakież to rany zadają ci najlepsi? Bardzo przykre i bardzo bolesne. Tym boleśniej-sze, że bezmyślne, nieświadome a więc bez złej woli.

Rzadko który ze studentów zastanawia się nad istotą „wyższego nauczania“. Olbrzymia większość wstępuje na uniwersytet czy politechnikę po to, aby uzyskać dyplom i tak zwany fach w rękę. A więc, aby zostać architektami, lekarzami, adwokatami. Zresztą w najlepszym znaczeniu tego słowa. Ponieważ mam tutaj na myśli najlepszych, więc odrazu odsuwam poza nawias rozważań zarówno na-bywców jak i sprzedawców projektów kursowych lub też prac dyplomowych. Ci, którzy stawiają na pierwszym miejscu dyplom zresztą najbardziej zasłużony i naj-uczciwiej zapracowany, myślą się. W głębszym zrozumieniu wyższych studiów dyplom zawodowy zajmuje drugie miej-sce i należałoby go nazwać raczej konsekwencją aniżeli ce-lem, oceną nie zaś faktem. Celem głównym wyższych stu-diów jest zdobycie *wyższego wykształcenia*, które na od-powiednim wydziale otrzymuje jedynie specjalne zabarwie-nie, pewien kierunek fachowy.

Wszak tytuł, jaki otrzymujecie po skończeniu uczelni, tytuł o który walczyliście przez tyle lat, tytuł, o który idzie spór między młodzieżą ze szkół akademickich a młodzieżą ze szkół nieakademickich, składa się z dwóch s'ów: pierwsze to określenie ogólne „inżynier“, drugie — szczegółowe „architekt“, „chemik“, „mechanik“, itd.

Co znaczy słowo inżynier? Jest ono pochodzenia francuskiego: ingénieur, a więc taki, który jest ingénieur. Larousse wyjaśnia: plein d'esprit, d'invention, d'adresse. A więc pełen ducha, rozumu, mądrości, pełen inwencji, pomysłów, wreszcie subtelności. Taki jest cz'owiek ingénieur — uduchowiony, natchniony, wysublimowany. Anatol France, pisząc książkę, w której podziwia wartości duchowe Francji w ich szczególnym aspekcie, nadaje jej tytuł: „Génie latin“, dla odróżnienia od bardziej popularnego określenia: „Esprit gaulois“.

A więc za inżyniera uważamy tego, kto przyswoił sobie sumę tych pięknych wartości. Tego, który nabył w wyższej uczelni wyższe wykształcenie i uzbrojony tak wysokimi kwalifikacjami idzie w świat, by jak w naszym wypadku, służyć architekturze.

Będziecie więc najpierw ludźmi o wyższym wykształceniu, wejdziecie do elity duchowej naszego kraju i dopiero z tytułu tego stanowiska oraz odpowiedzialności wobec rygorów, jakie nakłada na was przynależenie do szczytów ducha, będziecie służyli architekturze jak najmądrzej, z jak największym polotem i z najtkliwszą subtelnością uczuć.

To, co teraz powiem, nie należy uważać za wypowiedź ex cathedra, a tymbardziej ex facultatis. Wypowiem tutaj jedynie swój osobisty, lecz z najgłębszej intencji serca płynący pogląd. Zdaje mi się, że skoro piszemy przed naszym

nazwiskiem na pierwszym miejscu słowo *inżynier*, a dopiero na drugim *architekt*, to poczucie logiki powinno nam dyktować wnioszek, że w czasie studiów prowadzonych na wyższej uczelni powinniśmy również wszystkie przedmioty naukowe stawiać na pierwszym miejscu, zaś zawodowe (rzemieślnicze) na drugim. Tymczasem dzieje się wręcz przeciwnie. Ponieważ niemal z reguły młodzież akademicka bierze tematy prac dyplomowych z przedmiotów praktycznych z wysunięciem na plan pierwszy, nawet przed budownictwem, projektowania, gdyż to pozwala wystąpić najefektowniej, przeto wszyscy studenci — mogą to powiedzieć nie popełniając wielkiego błędu — niemal od pierwszego roku prowadzą swe studia w nastawieniu treningowym do dyplomu, a więc do pracy dyplomowej. Wszystkie zaś inne przedmioty, nie prowadzące bezpośrednio do tego celu, uważają za natrętą muchę brzęczącą nad uchem, od której trzeba się cały czas opędzać. Stąd bierze się tak wielki procent inżynierów-architektów półinteligentów.

Zapytał mnie kiedyś jeden z najwybitniejszych profesorów naszego wydziału, podobnie jak i ja teoretyk, po co wykłada się historię architektury na politechnice? Odpowiedziałem: dlatego, że nie znamy dotychczas żadnego lepszego sposobu uzbrojenia architektów w kryteria, na których mogliby opierać swe sądy estetyczne i praktyczne w zakresie projektowania, a zwłaszcza słabo opanowanej przez nich kompozycji, jak metoda porównawcza z wartościami niewątpliwymi i ugruntowanymi pomników historycznych, o których wypowiedziały swą opinię pokolenia minione i które ciągle stoją pod pręgierzem opinii nowych pokoleń. Dzieła, które wytrzymały stulecia analizy krytycznej i historycznej, wydają się nam miarą pewniejszą i ściślejszą niż wartości nowe i nieskontrolowane. A ponieważ wiemy,

że i w innych dziedzinach kultury i cywilizacji przetrwały, a nawet umocniły się pewne wartości, że wspomnę o filozofii i naukach moralnych, przeto sędzę, że zasób wiadomości, jakie podajemy z naszych katedr historycznych i teoretycznych, są wartościami z kategorii „reperów“ w geodezji czy pewników geometrii.

Tymczasem trwa koncentryczny atak na teoretyków prowadzony zgodnie przez młodzież i wszystkich praktyków. W szerokich kołach społeczeństwa pogardza się teoretykiem jako kimś całkowicie nieżyciowym. Ośmieszają się go, gdy stawia tezy, lecz z reguły przemilcza się te fakty, które potwierdzają słuszność jego tez. I znowu najboleśniej uderzają w nas nasi najlepsi uczniowie, najbardziej utalentowani.

Jeżeli już koniecznie pragniecie wtłoczyć koronę cierniową na czoła profesorów historii i teorii, to przynajmniej nie czyńcie tego z pełnym rzekomej życzliwości lekceważeniem, z jakim spotykają się oni od tylu lat swej ciężkiej pracy, polegającej na wyręczaniu Danaid w napełnianiu olejem rozsądka dziurawej jak sito beczki, z której ludzie „życiowi“ starli niemal całkowicie niepozobawiony sarkazmu napis położony nieznaną ręką: beczka mądrości dla gromadzenia rozsądka.

Dwa są sposoby projektowania architektonicznego: jedni projektują głową, inni — nosem. Pomyślcie chwilę, który sposób lepszy i dajcie sobie sami odpowiedź. Ale zanim to uczynicie, opowiem wam scenę, w jakiej uczestniczyłem przed laty.

Znalazłem się na wsi w okresie żniw. Poszedłem w pole. Przy mnie biegła wyźlica z nosem przy ziemi. Kręciła się machając ogonem z wielkim zapałem. Było widoczne, że jest na tropie. Zajął mnie to. Wszedłem na mały wzgó-

rek i zobaczyłem w oddaleniu na ściernisku, wprost przed sobą, stadko kuropatw: cel, do którego biegła z nosem przy ziemi klucząc śladem stadka, które snuło się to tu, to tam skrzętnie zbierając ziarno. Stojąc wysoko widziałem cel ostateczny jej poszukiwań. Ja stałem spokojnie. Ona, w miarę zbliżania się do celu, przeżywała coraz większe emocje, drżała coraz silniej aż wreszcie, po długim kluczeniu, dopadła stadka.

Chcesz emocji, chcesz kluczyć? Biegnij przez życie z nosem wetkniętym w ostatnie „nowości“ miesięczników fachowych, kręć się w prawo i w lewo. Chcesz być inżynierem? Wstąp na wzgórze mądrości.

Obawiam się, że mnie nie usłuchasz. Będziesz wolał wbić ciernie w czoła ludzi najbardziej ci oddanych i najwytrwalej pracujących dla ciebie. Bowiem nos ma jedną bezsporną wyższość nad rozumem i tutaj muszę się wycofać z opuszczonymi bezradnie rękami, jak s'ynny pajac namalowany przez Watteau, którego oglądamy w Louvrze: nos nie tylko projektuje, ale nadto węszy skąd wiatr wieje, a to w życiu kolosalnie pomaga.

Architekt zarabia nie tylko projektując, nie tylko kierując robotami, nie tylko udzielając fachowych opinii. Istnieje także piękny proceder handlu podpisami na dokumentach. Do uzyskania zezwolenia na rozpoczęcie budowy potrzebny jest podpis architekta uprawnionego.

Zdarzyło mi się kiedyś przed laty, być w jakimś urzędzie, gdzie zatwierdzano plany budowlane. Na coś czekałem. Nagle otworzyły się drzwi tak szczęśliwie, że zasłoniły mnie zupełnie, pozwalając równocześnie widzieć przez szparę przy zawiasach to, co działo się po przeciwnej stronie. Do pokoju wpadł architekt, którego znałem jako „ingenieux et plein d'esprit“ ciągnąc za sobą jekiegoś jego-

mością z kategorii tych, o których w dawnych czasach zwykło się mówić: „z waszecia“, a których gwara dzisiejszej Warszawy nazywa krótko i lapidarnie: „chomont“. Podbiegł on do urzędnika i trzymając tamtego za łokieć zawołał:

— Proszę powiedzieć temu panu, że jeżeli ja nie podpiszę jego podania, to nie otrzyma zezwolenia na budowę.

Urzędnik odrzekł wymijająco: tak jest, podanie musi być podpisane przez inżyniera uprawnionego... Poczciwy „chomont“ nie podchwycił prawnej kazuistyki tej odpowiedzi. Zrozumiał jedno: urząd wydaje go w szpony hieny grasującej po przedpokojach „pierwszej instancji“ Nadzoru Budowlanego.

Nie czujecie lekkiego ukłucia na czole?

Ileż to takich hien bryzga błotem na tytuł architekta, którym chcecie przecież ozdobić swoje nazwisko na pięknie wyłoczonych z miedziorytu biletach wizytowych.

Każdemu zdarza się składać podpis na nie swojej pracy. Różne tego bywają przyczyny, a to dlatego, że podpis na projekcie ma inne znaczenie z punktu widzenia prawa, a inne z punktu widzenia autorstwa.

Podpis urzędowy nie oznacza wcale, że projekt jest mój, że jest wykonany przeze mnie, lecz że biorę na siebie całokształt odpowiedzialności prawnej za ten projekt i że poniosę wszystkie konsekwencje, jakie z tego tytułu na mnie spadną.

Zdarza się często, że starszy, już rządowo uprawniony kolega daje swój podpis młodszemu, który jeszcze takich uprawnień nie posiada. Jeżeli czyni to za darmo i jeżeli poczuwa się do tego, ażeby przez cały czas budowy czuwać nad jej przebiegiem, to czyn jego jest piękny i należy przed

nim schylić głowę. Jest to najpiękniejszy objaw koleżeństwa.

Ale jeżeli za to bierze pieniądze i obojętnie odwraca się w swoją stronę, to przykłada ręki do oszustwa, kładzie cierniową koronę na naszą godność, na naszą dobrą sławę.

Nie będę dalej wyliczał wszystkich cierni, jakie codziennie są wbijane w czoła tych, którzy mają poczucie odpowiedzialności zbiorowej, przez innych, których to nic a nic nie obchodzi.

Mógłby mi ktoś zarzucić, że odpowiedzialność zbiorową wymyślili Niemcy dla siania terroru. Powiem na to: co innego pociąganie do zbiorowej odpowiedzialności, a co innego poczuwanie się do zbiorowej odpowiedzialności. Co innego, gdy syn ratując dobre imię ojca płaci jego długi lub odwrotnie, gdy ojciec w ten sam sposób ratuje syna z oparów, a co innego szantażowanie ojca weksłami lichwiarskimi syna.

Próbowałem tutaj nieudolnie, chociaż jak umiałem najlepiej, bronić tezy o naszym posłannictwie. I w to posłannictwo wierzę. Nie tylko dlatego, że Witruwiusz powiedział, że architektura jest matką wszystkich sztuk ponieważ „Cuius iudicio probantur omnia quae ab ceteris artibus profitiuntur opera“, ale także dlatego, że w architekturze zamyka się głęboki sens i głęboka treść życia. A jeżeli tak, to w łańcuchu faktów i poprzez splot tych zjawisk i najrozlicniejszych działań przewijają się wartości moralne takiego ciężaru gatunkowego, że mogą one przesłonić wszystko inne, co w pojęciu architekta może się wydawać najistotniejsze.

Czytamy w apokalipsie św. Jana (XXI, 2) takie piękne zdanie: „Widziałem święte miasto Jeruzalem nowe, zstępujące z nieba od Boga, zgotowane jako oblubienicę ubraną

mężowi swemu. I słyszałem głos wielki z stolicy mówiący: Oto przybytek Boży z ludźmi i będzie mieszkał z nimi. A oni będą ludem jego, a sam Bóg z niemi będzie, Bogiem ich“.

Spojrzyjcie przez okno, cóż widzicie? Straszliwie okaleczoną, zburzoną Warszawę. Nasze święte, umęczone miasto. Gdzieś po pracowniach powstają ambitne plany nowej Warszawy, nowego Jeruzalem „mającego jasność Bożą: a światłość jej podobna kamieniowi kosztownemu, jako kamieniowi Jaspisowemu, jako kryształ... mającego dwanaście bram, a na bramach dwanaście aniołów... a samo miasto złoto czyste podobne szkłu czystemu. A fundamenty muru miasta ozdobione wszelakim kamieniem drogim. Pierwszy fundament, Jaspis: wtóry, Szafir; trzeci, Kalcedon: czwarty, Szmaragd: piąty, Sardonyx: szósty, Saryusz: siódmy, Chryzolit: ósmy, Berylus: dziewiąty, Topazyusz: dziesiąty, Chryzopras: jedenasty, Jacynt: dwunasty, Amethyst. A dwanaście bram, są dwanaście pereł, każda z osobna, a każda brama z jednej perły: a ulice miasta złoto czyste jak szkło przezroczyste... A miasto nie potrzebuje słońca ani księżyca, aby świeciły w nim: albowiem jasność Boża oświeciła je, a świeca jego jest Baranek“. (XXI, 11—24 z przerwami).

Lecz ta „Nowa Warszawa“, to „Nowe Jeruzalem“ dopiero ma przyjść, wysublimowane jako nagroda za koronę męczeńską, za drogę krzyżową, za Golgotę, przez którą przeszła. Ona powinna, ona może, ona musi zmartwychwstać. Ale jeżeli ma zmartwychwstać „złoto czyste, jako szkło przezroczyste“, to przedtem musi „Bóg otrzeć wszelką łzę z oczu ich: aby śmierci dalej nie było ani smętku, ani krzyku, ani boleści więcej nie było, iżby pierwsze rzeczy przeminęły“. (tamże XXI, 4).

A ileż tych łez płynęło, gdy budowano tamtą Warszawę? Ile „smętku, ile krzyku ile boleści“. Przejdźmy się po jej ulicach, póki jeszcze gruzów nie uprzątnięto całkowicie, póki „kamienie wołają“. Spójrzmy na gruzy, spójrzmy za siebie. Pójdźmy, starzy, którzy tu budowaliśmy, stańmy na ruinie domów, które wznosiliśmy. Stańmy, jakby to był dzień zaduszny i zróbmy rachunek sumienia. Przypomnijmy sobie, czy nie było tutaj niczyjego smętku, niczyjego smutku, niczyjej boleści? Czy nikogo mocnym, twardym ruchem, nie usunęliśmy z drogi ku sławie i powodzeniu, czy kładąc na swoją głowę laury, niczyjej nie przystroiliśmy cierniem?

I czy tamte łzy, tamten ból i smutek warte były tej kupy kamieni, w jaką zmieniała się nasza wielkość, nasza pycha, nasze prebendy?

Weźmy szale do ręki i rzucajmy nasze atuty. Ale rzućmy także krzywdę, łzy i ciernie. A potem pomyślny, co powiemy tym, którzy po nas idą, jaki wzór postawimy im przed oczy i co zaofiarujemy jako przystroj czoła wznieścionego z ufnością?

Myślę, że niejeden z nas zapłaczę krwawymi łzami, a uderzywszy się w piersi ze skruczą powie:

— Oto przede mną ruina gmachu, z którym związałem największe moje ambicje. Podeptałem plany regulacyjne i zdrawiłem sobie z najelementarniejszych zasad lojalności koleżeńskiej. Szeptano sobie potem długo na ucho komentarze, ale nikt nie ośmielił się zaczepić mnie głośno. Mówiono co prawda potem, że architekci zrobią wszystko za pieniądze, ale nie miano odwagi związać tego z moim nazwiskiem.

Drugi stanie przed inną kupą gruzów i powie: — Czyż warto było mówić koledze: albo ty, albo ja?

A trzeci: — Aby zbudować ten dom, wysadziłem z roboty kolegę, bo stałem mocno na nogach i miałem plecy; pamiętam, zdobyłem się na tyle zręczności, że nasłałem na niego kogoś, kto wmówił weń, że wypadłoby mu się cieszyć, iż to jego uczeń wzbił się tak wysoko, że może z nim rywalizować.

Czwarty przypomina sobie, jak wykorzystał to, że kolega jego znalazł się w sytuacji przymusowej i musiał się wbrew woli zrzec budowy, on zaś wszedł na jego miejsce.

Piąty, stojąc przed nawpół zburzonym gmachem, przypomina sobie jego dzieje. Był konkurs. Pierwszą nagrodę otrzymał zespół trzech osób, ale ponieważ tamci dwoje byli źle widziani przez możnowładcę, od którego zależało zamówienie, więc bez wahania wyparł się kolegów i zacierając ręce sam zagarnął owoce sukcesu zbiorowego wysiłku.

Szósty czuje jeszcze w ustach smak kolacji, na której wreszcie dobito targu, a oto leży w gruzach, jak inne, korona jego intryg i podstępów.

Siódmy, ósmy, dziewiąty i wielu im podobnych rozchodzą się po mieście i rozpamiętują chwyt, sposoby, ukłony, uśmiechy a za nimi ciągnie się wyrzut sumienia.

Bo wszyscy umieli odgrodzić się od głośniejszej krytyki. Wszyscy mieli mocne stanowiska lub cieszyli się opieką wpływowych protektorów.

Czyż wezmą jakąś naukę, czyż wyrzekną się dawnych sposobów, czy zadadzą sobie trud, aby mniej hojnie szafować frazesami górnołotnymi a zamiast tego spróbować „otrzec łzę, powstrzymać ból, uciszyć krzyk“?

Nie pozostaje nic innego, jeno skoro niknie nadzieja, by móc wypędzić przekupniów ze świątyni, spróbować w wielkim zawstydzeniu pocieszyć tych, którzy biorą na

swe czoła z pokorą i ufnością cierniową koronę posłannictwa.

Być może, że to nie wy będziecie budować tu na ziemi „nowe Jeruzalem“, być może, że nie wy uwieńczycie swe czoła laurem zaszczytów i że nie na waszych szyjach zawisną wstęgi orderowe, że nie wasze nazwiska wypiszą na spiżowych tablicach.

Ale może to wam przypadnie ta odrobina radości, by bronić dobrego imienia naszej sztuki. Może to wy zawołacie:

Nie pozwalamy mówić, że architektki są tacy, że architektki są owacy.

Może to wy obronicie tytuł profesora przed zarzutem, że był on tylko szczeblem w drabinie do sławy, kariery, zaszczytów i pieniędzy. Może to wy zawołacie:

— Nie pozwalamy, by mówiono, że przepisy i plany regulacyjne przygotowywano po to tylko, aby ułatwić wyłudzenie z kieszeni naiwnych pieniądze za ustępstwa. Może to będzie waszym prawem, obowiązkiem a nawet siłą wejść pewnego dnia do „miasta, bo kościoła w nim nie będzie, jeno ono samo będzie kościołem, albowiem Bóg w nim mieszkać będzie“ i wypędzić ostatnich wekslarzy i ostatnich przekupniów, przewracając ich kramy i koszyki?

Może to wy, ubodzy i bosy, w cierniowej koronie na czole i z zakrzepłymi kroplami krwi męczeńskiej na twarzy, klękniecie w zachwyceniu i ujrawszy „Miasto Święte zstępujące z nieba, mające jasność świeżą jako kryształ“, zawołacie:

— Warszawo!

Na początku naszych „rozważań“, gdy była mowa o „powołaniu“, powiedziano: „ani pszczoły, ani termity, ani bobry, nie ustawiały menhirów, dolmenów i cromlechów. Nie zawijały na wzgórzach spiralnych ścieżek, naśladowających wznoszenie się słońca na firmamencie, nie ustawiały i nie ustawiają krzyżów przydrożnych“.

Jednym z najskromniejszych w zakresie użytych środków materiałowych, a równocześnie najbardziej pełnych zamkniętą w nim treścią przykładów architektury w jej ścisłym, oderwanym od wszelkiego pomocniczego utylitaryzmu znaczeniu, jest w świecie starożytnym obelisk, a w świecie chrześcijańskim krzyż.

Krzyż zawiera w sobie bogatą treść moralną. Nie tylko wówczas, gdy ustawiony na rozstajnych drogach wznosi się nad krajobrazem, ale także i wtedy, gdy symbolizuje drogę krzyżową.

O tej drodze krzyżowej architektury wypadnie nam teraz pomówić.

Czego nas uczy Droga Krzyżowa?

Droga Krzyżowa uczy nas po pierwsze o niesprawiedliwości wyroków wydanych przez człowieka i o cierpliwości, z jaką takie wyroki należy przyjmować.

Droga Krzyżowa uczy nas po drugie, że ciężkie jarzmo krzyża, jaki niesprawiedliwość ludzka wkłada na barki nawet najlepszych z pośród nas, należy brać na ramiona tym ochętniej, gdyż w ten sposób możemy innym ulżyć ciężaru.

Droga Krzyżowa uczy nas po trzecie, że nawet gdy upadniemy pod nadmiernym ciężarem krzyża, jakim niesprawiedliwość ludzka przytłoczy nasze słabe ramiona, to istnieją siły moralne, które mogą nas wesprzeć w załamaniu i łaską swoją podźwignąć upadłego, aby mógł dalej dźwignąć mozół swego krzyża.

Droga Krzyżowa uczy nas po czwarte, że nawet wtedy, gdy wszyscy nasi najbliżsi przyjaciele i uczniowie opuszczą cię na drodze krzyżowej, nie opuści cię w boleści matka twoja i w boleści tej cię pocieszy.

Droga Krzyżowa uczy nas po piąte, abyśmy nie zwątpili ostatecznie w człowieka, gdyż zawsze znajdzie się Szymon Cyrenajczyk, który pomoże nam w dźwiganii krzyża.

Droga Krzyżowa uczy nas po szóste, że powinna znaleźć się św. Weronika, która bez względu na niebezpieczeństwo zbliżenia się do prześladowanego, obetrze chustą pot z jego twarzy i w granicach swych wątłych sił będzie niosła mu pomoc. Spotka ją za to piękna nagroda w postaci odbitego na chustce wizerunku oblicza pe'rego boleści. Przepaść cierpienia leży pomiędzy Weroniką a tym, kto wydał wyrok niesprawiedliwy. Zaś miarą tej przepaści jest ogrom bólu cechującego wizerunek zostawiony na chustce.

Droga Krzyżowa uczy nas po siódme, że powinniśmy być cisi i pokornego serca w zepchnięciu na samo dno ponizienia i niesprawiedliwym oskarżeniem wydani „na posmiewisko ludzkie i wzgardę spospółstwa“.

Droga Krzyżowa uczy nas po ósme, że w nieszczęściu powinniśmy zapominać o sobie i troskać się raczej o tych, którzy boleją nad nami. Im musimy bowiem dać jak największe podparcie. Oni są tymi, w których leży cała nasza nadzieja na lepsze jutro, a tylko my tę nadzieję podtrzymać w nich możemy.

Droga Krzyżowa uczy nas po dziewiąte, że nie raz ani nie dwa, bo nawet trzy razy możemy upaść pod krzyżem i to nie powinno nikogo niepokoić ani przejmować lekkiem, jeżeli wierzy szczerze w słuszność sprawy, o którą walczy. Nie jest ważne, że padasz, ważne, byś się podnosił.

Dziesiątym wskazaniem Drogi Krzyżowej, że napojony żółcią goryczy powinniśmy pamiętać, że podawanie człowiekowi cierpiącemu, upokorzonemu, umęczonemu wina zmieszanego z żółcią jest częstym zjawiskiem. Taki jest układ sił na świecie, tak są pisane prawa, że człowiek zły zawsze je może nagiąć do swej woli i obarczyć krzyżem ramiona sprawiedliwego.

Któż bierze na swe ramiona drzewo krzyża architektury?

Zanim odpowiem na to pytanie, postawię inne: co to jest i jak wygląda drzewo krzyża architektury?

W czasie poprzednich rozważań podjęto próbę ustalenia pewnych pojęć, usiłowano bronić pewnych tez.

Przyjęto tezę, że architektura jest idea, będącą w ramach tej idei nauką i mądrością architekta. Ze w ramach tej mądrości powinien on znaleźć doskonałą równowagę trzech podstawowych uzdolnień swego ducha: poznawania, odczuwania i działania.

A więc, poznanie istoty problemu, odczucie jego wartości architektonicznej i wola urzeczywistnienia tego, co pojął i odczuł.

Wola urzeczywistnienia może pójść różnymi drogami. Może to być Via Triumphalis usłana naprzemian trofeami i trupami zwyciężonych, zroszona krwią i łzami, może to być także Via Crucis zaprzepaszczonej idei architektury.

Łatwo pojąć, że za tymi rozważaniami nie kryje się żaden program architektoniczny, czy plan urbanistyczny lub regionalny. Wytknięta jest tylko jedna trasa. Trasa drogi krzyżowej.

Kiedyś, gdy byłem zawałony pracą, pod której brzmieniem załamywały się moje siły fizyczne i nerwowe, pracą obliczaną już nie tylko na tygodnie lub dni, lecz niemal na minuty, znalazłem na swoim biurku wśród stosów „korespondencji bieżącej“ kartkę, na której ktoś, kogo zapewne nie wiedząc nawet o tym, skrzywdzi'em, napisał te słowa: *c'est avoir bien peu de choses que d'avoir raison, et il vaut mieux, avoir tort toute sa vie, et ne faire pleurer ceux, qui n'ont pas raison*“. Co wykładam po polsku: „Niewiele posiada ten, kto ma słusność, lepiej mylić się przez całe życie, aniżeli wyciskać łzy z oczu tych, którzy nie mają słusności“.

Karteczkę tę zachowałem starannie; przetrwała ona razem ze mną wszystkie zawieruchy tej wojny i służy dziś jako drogowskaz i natchnienie tych rozważań.

Dlatego, gdy mówię o drzewie krzyża architektury, nie szukam różnych przykładów z lat i stuleci minionych, jak to czynią niektórzy, aby uzasadniać swe zarządzenia, którymi w imię wyższych rzekomo celów odbierają człowiekowi resztę tego, co posiadał. Pamiętajmy, że przecinając węzeł gordyjski niszczymy sznur, na którym go zawiązano. Nie

wierzę w szczęście budowane na łzach i na krzywdzie. Skądże mam mieć pewność, czy naprawiając krzywdę społeczną w jednym miejscu, nie zasiewam jej w innym? Być może, iż w tym leży moja słabość, ale nigdy nie twierdziłem, że jestem silny. Również niczego tutaj nie obiecuję, bo to nie do mnie należy.

Staram się widzieć tylko ideę architektury, nie patrząc na programy architektoniczne. Nie zwalczam i nie krytykuję żadnych programów wczorajszych, dzisiejszych lub jutrzejszych. W ramach moich rozważań każdy program będzie dobry, jeżeli ten, kto go ułoży, przykroi go do zasad sumienia, zaś każdy będzie zły, jeśli posieje krzywdę, gorycz i łzy.

Dlatego mówię tutaj, o drzewie krzyża i drodze krzyżowej architektury. Bo idzie ona, ta piękna nasza sztuka, od wieków po tej drodze krzyżowej, to jest od chwili, gdy zerwano trójjedność rozumu, czucia i woli.

Podałem dziesięć prawd, o jakich poucza nas Droga Krzyżowa. Rozpatrzmy je po kolei w aspekcie architektury.

Nauka pierwsza: niesprawiedliwość wyroków. Ofiarą niesprawiedliwego wyroku pada nie tylko dobro powszechne, często nawet skazywane w imię „dobra powszechnego” przez jednostronność osądów ludzkich, ale paść może każdy, nawet i ty, wskutek błędnie napisanych praw, wskutek zbiegu okoliczności, wskutek złości i zawiści ludzkiej. Dlatego pamiętaj, że gdy wyroki sądowe, wydane nawet z zachowaniem wszystkich przepisów prawa, napiętnują twego kolegę, nie powinieneś zacierać rąk, lecz lepiej poszukaj w swym sercu słów najlepszych, które by’by pociechą dla niego. Kto patrzy na sprawy tego świata z dalszej nieco perspektywy, albo rozpamiętuje fakty historyczne, ten wie, że na ławie oskarżonych sadzano nawet najczi-

godniejszych i najlepszych. Bo oskarżenie, tak jak i oszczerstwo, najłatwiej przechodzi przez usta. Dlatego wszelkie ciosy jakie na ciebie spadają, także przyjmuj cierpliwie i nie rozgoryczaj się tym, co cię spotkało, jeśli w sumieniu twoim zalega cisza spokoju. Naucz się, by gorycz była ci miła, gdyż napewno cię nie minie; bowiem zawsze znajdują się usłudźni, by ci podać gąbkę z octem.

Nauka druga: skoro ci kładą na ramiona ciężar odpowiedzialności za winy niepopelnione, powinienes przyjmować go z chłodną głową i troskać się raczej o to tylko, czy starczy ci sił, by dobrze utrzymać go na ramionach. Od sposobu, w jaki go weźmiesz na barki, zależy wszystko. Przecież w świecie starożytnym krzyż uchodził za narzędzie kari hańbiącej, ale ponieważ wziął go bez sprzeciwu na swe ramiona Sprawiedliwy, jest odtąd symbolem najwyższej świętości, przedmiotem nabożnej czci i niezgłębionej ufności. I jeszcze jedno niepozbowione znaczenia. Skoro ten krzyż znalazł się na twoich ramionach, możesz mieć pewność, że już inne, słabsze, nie ulegną pod tym ciężarem. To też nie lękaj się brać krzyża na ramiona, staraj się tylko zawsze i wytrwale o jedno: o zasób sił, by móc go udźwignąć wówczas, gdy przyjdzie twoja godzina.

Nauka trzecia: pomimo największej siły moralnej, jaką zdobędziesz pracując wytrwale nad sobą, możesz się ugiąć. Możesz upaść. Upadek nie jest straszny. Nieskończenie silniejszy upadł. Upadek jest nawet konieczny, bo tylko ten się podnosi, kto przedtem upadł. Rzecz najważniejsza — to jakość moralna siły, która podniesie cię z upadku. Kto ci poda rękę? W przeciagu sekundy wczorajsi przyjaciele pokażą ci swoje prawdziwe oblicze. A już to jedno stać się może nieraz sowitą nagrodą za bolesny upadek.

W myśl czwartej nauki, jaką tutaj znajdujesz, dowiesz się, że jeżeli odstąpią cię wszyscy przyjaciele, jeżeli żaden uczeń przy tobie nie zostanie, to w boleści twojej nie opuści cię matka twoja: Architektura. Jeżeli jej poświęciłeś cały wysiłek pracy nad sobą, jeżeli kształciłeś swój umysł, by zebrać jak najwięcej nauki, ugruntowanej na mocnych podstawach, jeżeli doskonaliłeś swoją sztukę na wzorach najlepszych mistrzów i jeżeli hartowałeś swą wolę na przykładzie ludzi nieskazitelnych, to ona cię nie opuści i nie zezwoli, abyś miał się załamać i ugiąć całkowicie pod ciężarem krzyża, który włożyli na twe ramiona faryzeusze architektury.

I jeśli przetrzymasz tę ciężką próbę charakteru, na pewno znajdzie się Szymon Cyrenańczyk, by cię wesprzeć w niedoli. I to będzie piąta nauka drogi krzyżowej, którą każdy z nas idzie, nie zawsze zresztą zdając sobie z tego sprawę.

W myśl nauki szóstej, powinieneś cały swój ból, cały wizerunek swojej boleści powierzyć w zaufane ręce jakiejś św. Weroniki architektury, która umiałaby przechować i przekazać innym obraz boleści, jaką sobie wzajemnie zadajemy. Niestety, fałszywy wstyd każe nam w chwilach ciężkich albo zakrywać togą oblicze na wzór starożytnych, albo nadrabiać miną i nie dawać poznać po sobie, jak dalece rani nas złość i niesprawiedliwość. Zdaje mi się, że byłoby lepiej, gdybyś z całą siłą charakteru, na jaką stać ciebie, silniejszego napewno od wielu innych, zawołał: Patrzajcie ludzie, do czego złość wasza, wasza głupota, wasz cynizm i obłuda może doprowadzić! Oto macie wizerunek bólu, jaki zadaliście niewinnemu, który wziął na siebie całe odium waszej przewrotności. Widzicie, jaką cenę płaci człowiek, który poświęcił wszystko dla Architektury, z któ-

rej wy zrobiliście tylko drabinę do waszej sławy, do waszych wpływów i do waszego znaczenia. Gdy spotkasz w chwili zwątpienia kogoś, kto jak święta Weronika zechce otrzeć krwawy pot z twego czoła, otwórz mu swoje serce. daj wizerunek cierpienia. Jeśli by ten obraz wzruszył chociaż jednego grzesznika, już będziesz nagrodzony za to, że wyrzekłeś się wyniosłej dumy w nieszczęściu.

Takie stanowisko otworzy ci możliwość do skorzystania z siódmej nauki, jakiej udziela Droga Krzyżowa, bo człowiek, który nie wahał się uczynić ofiary z cierpienia wyrytego na swej twarzy, który zgodził się przejść nędzę poniżenia za nie swoje winy, „przeszedł przez pośmiewisko i wzgardę pospólstwa“, nabiera takiej siły w odosobnieniu swoim, że zrozumie głęboki sens próby, jaką mu wypadło przechodzić. Zrozumie głęboką treść moralną ósmej stacji Drogi Krzyżowej, zrozumie, że nawet wtedy, gdy człowiek zepchnięto na samo dno poniżenia sądem fałszywym lub niecnym oszczerstwem, to z tego dna będzie się mógł podnieść o tyle tylko, o ile siłą woli i charakteru wzbije się ponad małość rozgrywek i sztuczek, z jakimi kuglarze idą przez życie. Jeżeli zatroska się szczerze o tych, którzy go nie odstępili, którzy łyż nad nim leją, którzy się załamują, gdyż właśnie on i tylko on, umęczony, będzie miał moc osuszyć łyż i przywrócić uśmiech na ich twarzy. Bo nie to jest najstraszniejsze, że złość, zawiść czy chciwość prześladowają sprawiedliwego, ale to, że natychmiast załamują się i płaczą ci, którzy na nim się wspierali, którzy w niego wierzyli. Ci najlepsi, ci najserdeczniejsi. I tylko on jedynie może podnieść ich na duchu, on, który na samym sobie przekonał się, jak niebezpiecznymi potrafią być ci, o których mówi św. Łukasz (XX, 46): „Doktorzy, którzy chcą chodzić

w długich szatach i miłują pozdrowienia na rynku i pierwsze stolice w bożnicach i pierwsze zasiadania na ucztach“.

Dlatego nie ma znaczenia ile razy upadniesz, tylko ma jedyne i istotne znaczenie to, żeby nie było knock out. To jest dziesiąta prawda.

I wreszcie dziesiąta nauka. Dziesiąta — to napojenie żółcią, octem i goryczą. Ona uczy cię odróżniać ziarno od plewy. Serce Weroniki — od kubka wina zmieszanego z żółcią.

Zawsze spotykać będziesz na swej drodze naprzemian Faryzeuszów i Samarytan. Jednych się wystrzegaj, drugim otwórz serce.

I tak przemierzyliśmy całą Drogę Krzyżową i stanęliśmy na szczycie Golgoty. Golgota będzie przedmiotem następnego rozważania.

Ale teraz, musimy sobie odpowiedzieć na jedno pytanie: czy nawiązanie naszych rozważań do Drogi Krzyżowej nie jest zuchwalstwem i megalomanią?

Czy Droga Krzyżowa jest udziałem każdego człowieka? Albo, dlaczego architekt, pragnący budować lub już budujący domy ucziwie, bez żadnych szacherek, miałby za winy nie swoje nieść krzyż, zlewać się krwawym potem, stawać się pośmiewiskiem, co nie jest miłe, a równocześnie w tym samoudręczeniu wywyższać się ponad innych i zestawiać siebie z Cieślą Nazareńskim?

Może się mylę. Errare humanum est. Ale wydaje mi się, że każdy człowiek, który obok spraw powszednich swego życia, postawił sobie za cel także i pracę nad sobą, musi przejść przez drogę krzyżową. Bo jeżeli na tę drogę nie

wprowadzi go złość, zawiść lub chciwość, to napewno każe mu ją odbyć jego własne sumienie. Lud w kościołach odbywa Drogę Krzyżową i jest to ćwiczenie kontemplacyjne pierwszorzędnej doniosłości.

Drogę Krzyżową przemierzamy z własnej i nieprzymuszonej woli i czynimy dobrze, bo gdy później spadnie na nas już nie wzięta dobrowolnie, ale zesłana z wyższych przeznaczeń próba tej drogi, to wtedy znajdzie nas przygotowanych.

Droga Krzyżowa twego życia może się ciągnąć latami. Możesz latami stać najniewinniej pod pręgierzem opinii. Droga Krzyżowa może trwać i mgnienie oka. To obojętne. Nie chodzi tutaj o sumę cierpienia, chodzi o jego potencjał.

Musi to być cierpienie za ideę. Za architekturę.

Nie za szacherki, nie za podpisy, nie za fałszywe plany. Musi to być prześladowanie za s'uszną sprawę.

Musisz przejść próbę charakteru w walce o swe przekonania, o swą wiarę w słuszność haseł, które głosisz. Wszystko, co mówiliśmy dotąd, to były małe sprawy. Szwindel z pracą dyplomową, podstawienie nogi koledze, prezencik za przymknięcie oka na budowie. Małe sprawki małego człowieczka. Na takim wózku możesz przejechać przez całe życie. Twoja sprawa. Ale to wszystko nie jest służbą w Zakonie Architektury. Jeno myszkowaniem po odpustach z symulowanymi okaleczeniami, aby wyłudzać jałmużnę od naiwnych nabożnisiów. Taki nawet nie krzywdzi Architektury, on ją podskubuje. On jest tym Gamalielelem - ślepcem, który spieszył pod krzyż, ażeby zdążyć prosić Chrystusa, by mu wrócił wzrok zanim sam umrze.

Tutaj przemawiam do tych, którzy „lubią pierwsze stolice w bożnice“, do tych, którzy chcieliby naprawdę coś zdziałać i nawet wziąć za to odpowiedzialność.

I czyż była chwila w Polsce, w której te pytania, które tutaj stawiam, w której te rozważania, jakie snuję, były bardziej potrzebne?

Kraj leży w gruzach, stolica starta na proch. Takie mnóstwo pracy, a tak niewiele rąk. Niemal każdego z was czeka praca, której starczyłoby dla dziesięciu. A co dziesiąty będzie musiał myśleć za stu.

I ten dziesiąty musi przygotować się do obejmowania myślą szerokich horyzontów architektury. A nie wiadomo, kto będzie tym dziesiątym. Niestety, problemów architektonicznych nie można u nas podejmować systemem taśmowym. Mamy mało kierowników, a jeszcze mniej wykonawców. Społeczeństwo woła: dawajcie nam architektów jak najprędzej, jak najwięcej. Młodzież architektoniczna woła: dawajcie nam dyplomy jak najprędzej, jak najwięcej. Dyplomy można dawać i jak najprędzej i jak najwięcej, ale co te dyplomy będą oznaczały? Za dyplomem kryje się człowiek, który musi umysłem ogarnąć tak wiele, który musi dojrzałym umysłem sięgać w przyszłość poprzez mrok niewiadomego.

Gdzie i kiedy ma się tego nauczyć? W jakich okolicznościach zrozumie na czym polega odpowiedzialność? Musi to zrobić sam. Musi sam przemyśleć wszystkie te etapy, przez które prowadzi wielka droga obowiązków, musi sam przemyśleć wszystkie etapy Drogi Krzyżowej.

W umysłach naszych tworzy się na ogół fałszywy i niezupełny obraz zadań, jakie stoją przed architektem w Polsce. Życie ciągle przechodzi obok nas zapatrzonych w chimerę — (jak Wiosna obok Koszałka-Opalka) i, pozosta-

wiając trawiących czas na jałowych dysputach, podąża swoją drogą.

Obraz zniszczonej Stolicy, straszny, to prawda, przesłania nadmiernie oblicze całej Ojczyzny, która samej siebie musi szukać w odmienionych granicach i pochlastanym ranami ciele. Wtedy dzieło nasze byłoby dokonane, zaś architekt znalazłby się na wysokości swego zadania, na wysokości swego posłannictwa, gdyby umiał i gdyby chciał iść nie tylko tam, gdzie czekają go łatwe i obfite zarobki, pełne nerwu życie, ale także i przede wszystkim tam, gdzie trzeba budować nie tylko kawiarnie, bary, domy czy urzędy, ale tam, gdzie trzeba budować Polskę. Ze szpalt każdego dziennika wołają do nas wielkim głoŝem o budowie nowej Polski na nowych zasadach ustrojowych. Dokonała się i dokonywa wielka dziejowa rewolucja naszego narodu. Jedni są z tego powodu zachwyceni, inni nie. Ale to nie ma znaczenia. Gdyby mi powiedziano, że jedni tę rewolucję widzą, zaś drudzy dostrzec jej nie umieją, to co innego. O to można by się sprzeczać. Ale tutaj jest pełna jednomyślność co do faktów: zmiana ustroju społeczeństwa, zmiana granic i obszarów, zniszczenia wojenne, wszystko to są czynniki, które stawiają architektowi wyższe wymagania, aniżeli umiejętność posiłkowania się kalendarzem technicznym (zresztą niewielką w naszym środowisku), albo rysowanie planów do zatwierdzenia. Bo plany musi ktoś zatwierdzać, lecz teraz ten ktoś musi przedstawiać duże kwalifikacje. Nie może ich mieć, jak to dotychczas bywało, jakiś niedołąga życiowy, który nie umiając brać nagród na konkursach, a więc tym samym nie umiając projektować dobrych planów, nolens volens zostawał urzędnikiem pierwszej, drugiej lub nawet trzeciej instancji i wyżywał się później na poprawianiu planów kolegów przerastających go o głowę.

Teraz nie wiadomo, czyja rola będzie ważniejsza? Czy tego, który rysuje poszczególne domy, czy tego, który obmyśla całe zespoły miejskie.

Niegdyś, w szesnastym wieku, kaprys i mądrość wielkiego pana dały Polsce piękne miasto Zamość. Miasto żywe i żywotne: naszą chlubę, przedmiot zazdrości obcych. Tyle polskich miast leży w gruzach. Mogłyby się one odrodzić w nowej szacie na miarę Zamościa, na miarę Sandomierza, na miarę Kazimierza... Gdzie są architekci, którzy o tym myślą? Dlaczego tylko Kielce lub Garwolin znalazły ludzi, którzy zrozumieli postulaty chwili?

Dlaczego? Dlatego, że Kalwaria nikogo nie nęci. Dlatego, że na myśl o posłannictwie architekta wzduszamy ramionami. Ten, któremu dzisiaj wypadłoby wziąć krzyż na ramiona, nająłby sobie z góry tyłu Szymonów, ilu byłoby potrzeba, żeby sami zanieśli za niego krzyż tam, gdzie trzeba, — on zaś dopisałby sobie jedynie procent za kierownictwo.

Kto zgodzi się padać pod ciężarem na pośmiewisko gawiedzi?

Musi się taki znaleźć i musi to uczynić zanim porośnie w pierze. Zapóźno wołać do arcykapłanów, którzy zasiedli na pierwszych stolicach w bożnicy. Oni są już straceni. Oni Polski nie zbudują, bo już by dziś inaczej wyglądała. Cała nadzieja w tych, którzy idą w życie i dlatego tak gorąco do was wołam:

Nie obawiajcie się Kalwarii, jaką wam ofiarowuje droga ku prawdziwej architekturze.

Jesteście żołnierzami architektury. Idziecie walczyć, idziecie w trud i mozół, jak szliście w ogień Powstania. To nieprawda, że Polakowi łatwiej umierać jak bohater, niż żyć jak człowiek uczciwy: wytrwale i pracowicie.

Aczkolwiek dopiero wstępujecie i to być może z ociąganiem się na tę drogę krzyżową, aczkolwiek przed wami dopiero czternaście stacji tej męki, to jednak widzę już triumf, jaki nagrodzi taką ofiarę. Ja znam te możliwości, które się kryją w sercach, głowach i rękach polskiej młodzieży. Widziałem zespoły młodych Polaków, którzy jednym zrywem pracy nad gobelinem Sobieskiego, jakby atakiem królewskiej husarii roznosili w puch słynne flamandzkie warsztaty. I to, co mówię, nie jest czczą przechwałką, lecz byłem tym szczęśliwcem, któremu z tego tytułu składał powinszowanie sam François Carnot — przewodniczący jury międzynarodowego na Wystawie Paryskiej 1937 i prezes honorowy Państwowych Zakładów Gobelins.

Widziałem chłopca, który, wyszedłszy z warszawskiej suteryny, zamalował w naszym pawilonie w Paryżu płachtę ściany, a potem Francuzi pisząc o nim zestawili jego nazwisko z największymi, jakie znamy w historii malarstwa.

Młódzież polska może dużo. Może wszystko! Umiała złożyć hekatombę śmierci w Powstaniu. Potrafi przejść przez Kalwarię codziennego trudu.

Byle nie żałować wysiłku pracy nad sobą.

Byle wziąć krzyż na ramiona i zrozumieć, co to znaczy.

Jeżeli weźmiecie i zrozumiecie, to wasza „Via Crucis“ zamieni się na „Via Triumphalis“.

Pismo musi się wypełnić. „Podziela szaty jego, a o suknię jego rzuca los“. Wysoko na Golgocie wznosi się najwspanialszy pomnik architektury, jaki ludzkość kiedykolwiek wystawiła lub wystawi. Krzyż wyciosany ręką nieznanego cieśli, do którego przybito Cieślę z Nazaretu, aby się wypełniło Pismo.

Pielgrzymujemy dzisiaj do kościoła S. Croce in Gerusalemme w Rzymie „una ex septem“ tzn. jednego z siedmiu głównych kościołów rzymskich, sięgającego tradycją swoją czasów Konstantyna (330 r.), kiedy to matka cesarza, św. Helena, przeznaczyła pałac swój prywatny na kościół, nazywając go Basilica Sessoriana, celem pomieszczenia tam znalezionej przez nią drzewa Krzyża Świętego, jednego z gwoździ oraz napisu, jaki umieszczony był nad głową Ukrzyżowanego; pielgrzymujemy dzisiaj do tego kościoła, by zadumać się nad drzewem tego Krzyża, którego jedna drzazga warta jest więcej niż piramidy egipskie lub wiszące ogrody Semiramidy.

Drzewo Krzyża świętego przemawia. Przemawia do każdego, kto chce i umie słuchać. Ale ze szczególną życzliwością przemawia do nas, architektów.

Bo przecież jesteście Uczniami Cieśli.

Przecież z pośród tylu innych rzemiosł wybrał sobie właśnie nasze, napewno nie przez przypadek, bo w tym, co On robił, nie było nic przypadkowego.

Drzewo Krzyża Świętego przemawia. Przemawia dziwnie łagodnie. Nie ciska gromów na tych, którzy czynili zeń narzędzie męki, gdyż winę ich odpuszczono, boć nie wiedzieli, co czynią.

Głos jego idzie do nas poprzez wieki i poucza, że ten, który był cieślą i z ciesiołki wywiódł święte posłannictwo między ludzi, który pracę rąk nasycił świętością ducha, chciał i umiał wziąć na swe umęczone ramiona narzędzie hańby i uświęcić je swoją krwią. Narzędzie jego męki było dziełem także cieśli lecz nie takiego, jak On, lecz zwykłego, maleńkiego, takiego, jak my. Zrobiono trzy krzyże. Na jednym ukrzyżowano Sprawiedliwego, na drugim bluźniercę, na trzecim pokornego, który przed śmiercią wołał do bluźniercy: „My godną ponosimy zapłatę za nasze uczynki, lecz ten nic złego nie uczynił“. I mówił do sprawiedliwego cieśli: „Panie, pomnij na mnie, gdy przyjdiesz do królestwa twego“. A Jezus mu rzekł: „Zaprawdę mówię tobie: dziś ze mną będziesz w Raju“.

Z tych trzech krzyżów jeden, Krzyż Święty, mówi do nas:

Jesteście uczniami Cieśli i waszą rzeczą wznosić krzyże, ale nie rozdawać. Z tego samego drzewa możecie wyciosać krzyż Sprawiedliwego i ten będzie Świętym Krzyżem, z tego samego drzewa możecie wyciosać krzyż bluźniercy i ten będzie potępiony, z tego samego drzewa możecie wyciosać krzyż dla pokornego i ten dziś jeszcze przestąpi bramy Królestwa Niebieskiego.

Nie wy rozdajecie krzyże, ale istnieje siła wyższa, która pośród krzyżów naszych wybiera. Krzyż, który wykona-

liście, może się stać nawet Świętym drzewem Krzyża, lecz to już nie od was zależy, jeno od wyższych przeznaczeń. Wam pozostawiono wolność wyboru co do dwóch pozostałych krzyżów. Ten, który sami weźmiecie na ramiona, będzie krzyżem pokornego, ten, który wam włożą za wasze słuszne przewinienia, będzie potępieniem.

Drzewo Krzyża Świętego przemawia:

Na początku by'ło Słowo. Słowo jest treścią. Treść jest wszystkim. Praca bez treści jest jarzmem i męka. Praca przepojona treścią to najwyższe błogosławieństwo. W swojej pracy zamyka się więcej treści, aniżeli w twojej, pokorny uczniu Cieśli?

Komuż dano większą moc, jeśli nie tobie, który możesz odpowiednim złożeniem dwóch kawałków drzewa wypowiedzieć wartość zarówno najgłębsze jak i najwyższe?

Gdybyś zbudował drapacze chmur, to dopiero dosięgniesz chmury, ale nie dosięgniesz nieba.

Widzisz tych za oceanem? Jak się wspinają? Sto metrów, dwieście, trzysta, może się dzwigną do czterystu albo wyżej. I cóż z tego? Ciągłe będą drapali chmury, a niebo, jak było, tak jest i pozostanie dla nich dalekie i niedosiężne.

Nic im nie mówi historia wieży Babel. Nic im nie mówi zanik przestrzeni użytkowej, przy tak wysokich budowach pochłanianej przez konstrukcję i komunikację. Oni ciągle pną się wzwyż, by jak najwyższej umieścić swoje ciało.

A gdzie posadzili swoją duszę? Wsadzili ją na kwadrygę zaprzęgniętą w cztery szalone rumaki. A imiona tych rumaków: Pycha, Ambicja, Zachłanność i Zaślepienie.

Słuchaj, co mówi do ciebie drzewo Krzyża Świętego, tak małe, jakiego było trzeba, aby umęczyć tylko jednego człowieka, a które duchem, nie ogromem, przeniknęło ca-

ły świat i wyrasta teraz ponad najwyższe chmur drapacze.

Drzewo Krzyża Świętego, z którego już dawno zdjęto niezniszczalne Ciało mówi:

Jeżeli jałeś się rzemiosła tak pięknego i świętego, to bacz, byś je pięknie i zbożnie wykonywał.

Przeniknięty duchem przekory zapytasz: mam że być uczniem Cieśli, a przecież zanim on przyszedł już powstały najznakomitsze dzieła Akropolii Ateńskiej, zanim on przyszedł, już starożytni posiadli najwyższe tajemnice miary i proporcji. Zanim o jego przyjsciu rozeszła się wieść po świecie już inżynierowie rzymscy wznosili znakomite łuki akweduktów i kopułę Panteonu. Po co mi twój Cieśla, kiedy moimi mistrzami są inżynierowie cesarów?

Czy rzeczywiście inżynierowie cesarów są twymi nauczycielami? Czego się od nich nauczyłeś i kiedy chodziłeś do nich po naukę? Mądrość świata starożytnego weszła całkowicie i bez reszty do mądrości świata naszego. Cieśla nie przyszedł zapóźno, lecz przyszedł wtedy, kiedy było trzeba. Świat starożytny stworzył piękne ciało Parthenonu, Erechtejonu i Propylei. Cieśla przyszedł, żeby tchnąć Ducha w to ciało, Grecy Peryklesa wzniesli marmury Parthenonu. Rzymianie Augusta zbudowali kopułę Panteonu, to prawda. Ale później w Konstantynopolu, rękami Antemiosa oraz Izydora, natchnionych duchem Cieśli, dźwignięto ku niebu mądrość inżynierską Rzymian i zbudowano kościół Bożej Mądrości.

Drzewo Krzyża Świętego mówi:

Nie szukaj zwycięstw dialektycznych i nie goń za triumfem słów. Sięgaj w głąb rzeczy i sięgaj ku treści.

Ten, kto wchodzi do kościoła San Pietro w Rzymie i odczytuje cyfry na posadzce podające miarę innych ko-

ściołów, jeżeli przywiązuje wagę do tych znaków, źle robi i fałszywie wnioskuje, jeśli sądzi, iż kościół ten chce być największym na świecie. Nie jest on największym kościołem i to nie ma najmniejszego znaczenia. Jest wielki, jest bardzo wielki, bo musiał zmieścić pod swym dachem cały obszar dawnej bazyliki, aby ramionami swojej kolumnady objął cały okrąg cyrku Nerona zroszony krwią męczenników wiary. A jeżeli jest tak wielki, jaki jest, jeżeli krzyż nad kopułą wznosi się na 136 metrach, to nie dla rekordu, nie dla pychy, ale właśnie dla boskiej miary jedności, jaką ustalili starożytni zachwyceni proporcją najwspanialszego kształtu Bożą ręką stworzonego: człowieka. Z miary człowieka jest wzięta miara kolumny. Czytamy o tym u Witruwiusza: „Zasady miar wzięte były przez Starożytnych z miar ciała ludzkiego“ (W. III 1,1) a dalej bardziej szczegółowo: „...nie mając żadnych prawideł proporcji, zastanawiając się w jaki sposób uczynić kolumny zarówno zdolnymi do dźwignięcia ciężaru mającego na nich spoczywać, jak i żeby odznaczały się prawidłowym i pięknym wyglądem, zmierzili oni ślad stopy męskiej w proporcji do wzrostu i znalazłszy, że stopa stanowi jego szóstą część, zastosowali tę proporcję do kolumny i stosownie do grubości jej trzona, wyprowadzili wysokość sześciokrotnie większą, wliczając w to i kapitel. Tym sposobem kolumna dorycka wprowadziła do proporcji architektonicznych moc i piękno męskiego ciała“.

„Zupełnie tak samo, gdy zamierzili później zbudować świątynię ku czci Diany, pragnąc nadać jej inne proporcje, zastosowali również stopę, lecz stopę delikatniejszego, kobiecego ciała i z początku zrobili kolumnę o grubości ósmej części jego wysokości, ażeby nadać jej świetniejszy wygląd. Pod jej zaczątkiem postawili oni bazę na kształt koturna,

na kapitelu zawinęli voluty wijące się po prawej i po lewej na wzór zawiniętych loków i niemal dosłownie, niby uczesaniem, przystroili frontalne części tych świątyń cymatiami oraz wiencami owoców, a wzdłuż trzonów poprowadzili żłobkowanie, spływające na wzór zakładek na szatach kobiet zameężnych. W ten sposób stwarzając dwie różne odmiany opracowania kolumny, naśladowali w jednej z nich, surowej i pozbawionej wszelkich ozdób — typ urody męskiej, a w drugiej wiotkość i wdzięk kobiety, jej proporcje i strojność (W. IV, 1,7)“.

Wreszcie skracając się... „Kallimach, zachwycony widokiem kosza kwiatów na grobie młodego dziewczęcia, zrobił dla Koryntian nieco kolumn według tego wzoru, ustalił ich proporcje i dał z tą chwilą początek dla prawideł porządku Korynckiego“ (W. IV, 1,8).

Oto geneza jedności kształtu klasycznego wyprowadzona z kształtu, o którym Genезis powiada, że został utworzony na obraz i podobieństwo Boże.

Tak więc miara planu kościoła św. Piotra wyznaczona została grobami świętych męczenników oraz zarysem miejsca, na którym przelano ich krew. Wysokość zaś gmachu wynikała jako konsekwencja proporcji między stopą i wzrostem - między podstawą a wysokością.

Świątynia ta, na wzór filozofii chrześcijańskiej, która z inicjatywy św. Augustyna a trudem św. Tomasza umiała rzucić pomost pomiędzy Szkołą Ateńską filozofów a Szkołą chrześcijańską Teologów, została zbudowana jako doskonały zestrój myśli architektonicznej starożytnego i nowożytnego świata. Kamieniem węgielnym tej świątyni jest grób Piotra Rybaka. Owa Opoka, na której Cieśla postanowił zbudować Kościół swój na ziemi.

Drzewo Krzyża Świętego pyta:

— A czy wiesz, jakie są dzieje tego kościoła? W jaki sposób go budowano? Ilu najznakomitszych architektów, rzeźbiarzy i malarzy dawało tutaj swego obola myśli, wysiłku, woli i talentu? Była ich taka rzesza, że właściwie żadnemu z nich nie można przypisać nie tylko całości, ale nawet idei przewodniej. Kto inny dał zarys starej bazylice, czyniąc, by każdy cal ziemi pod tym kościołem stał się świętym relikwiarzem. Kto inny zlecił rozbiórkę zmurszałej budowli. Kto inny to wykonał, a wielu, wielu innych kreśliło plany nowego kościoła. Żaden z tych planów nie został w całości urzeczywistniony, chociaż to byli najwięksi, jakich ziemia Italska wydała.

Nie ma zapewne tutaj tego napięcia ekstazy, tego uniesienia ani tego napięcia wiary, jaka dźwignęła katedrę w Chartres. I zapewne nie ma tutaj również takiej żarliwości ani takiej ufności.

Ale nie zapominaj, że tam jest *dążenie*, a tutaj jest *trwanie*.

Zarówno dążenie jak i walkę ma Bazylika św. Piotra poza sobą. Bo ten, kto wchodzi do tego kościoła stoi wprost przed tym, który będzie mu otwierał bramę Niebieską.

Jeżeli *Walka* twoja zamieni się w *Zwycięstwo*, to myśl twoja nabierze takiego spokoju, takiej pewności, stanie się tak nieodgadniona i niepojęta w swojej wielkości, jak ta bazylika, która jest większa niż pojąć możesz, a wydaje się w pierwszej chwili taka sama, jak mnóstwo innych kościołów przed nią oglądanych.

Aby poznać, musisz wczuć się, przemierzyć ją wzd'uz i wszecz własnymi krokami, wtedy ogarniesz całą jej wielkość i całą mądrość.

Powtarzam raz jeszcze, że tylko wtedy walka twoja zamieni się w *Zwycięstwo*.

Co masz uczynić, ażeby zwyciężyć?

Słuchać, co mówi drzewo Krzyża Cieśli. Bo drzewo Krzyża Świętego mówi dalej:

Przecież były trzy krzyże i być może tą samą ręką wyciosane, a już napewno według tego samego wzoru.

Ale tylko jeden z nich został zroszony krwawym potem Sprawiedliwego Cieśli; tylko po jednym spłynęła zbawcza krew Odkupienia.

Tylko ten jeden stał się symbolem. Tylko ten jeden skupił w sobie wartości ducha.

Tylko ten jeden przemawia.

Tylko ten jeden poucza.

Tylko ten jeden przypomina.

On przypomina o idei, on przypomina o ideałach, on zapowiada dary Ducha.

Kto z was był wytrwały w dążeniu i odważny w walce, ten upadłszy trzy razy, również trzy razy się podnosił. Po raz pierwszy pomogło mu się podnieść pragnienie poznania prawdy, po raz drugi pomogło mu pragnienie poznania dobra, po raz trzeci wiara, że dąży ku pięknu.

Podnosił się trzy razy, bo wsparł się na trzech kolumnach idei.

Na trzech kolumnach idei architektury. Trzy te kolumny będą trzema filarami Zwycięstwa.

Kto wytrwał w dążeniu i przeszedł wszystkie stacje Kalwarii, na których dojrzewała mądrość, na których rozkwitało piękno i na których zwyciężało dobro, ten stanął na szczycie Golgoty i objął ramionami Święte drzewo Krzyża, przytulił do niego zmęczoną głowę pełną troski, ale także pełną ufności i słucha.

A Święte Drzewo Krzyża mówi: nie obawiaj się, czy aby słuszną obrałeś drogę. Mistrz miał dwunastu najbliż-

szych uczniów i wytknął im jeden cel, oni zaś zmierzając wytrwale do tego celu rozeszli się po całym świecie. I dopiero, gdy wypełnili swoje przeznaczenie, zobaczyli z radosnym zdziwieniem, że wszyscy stanęli przed tą samą bramą.

Czterech pisało Jego żywot, czterech pisało Jego Ewangelię, a każdy napisał inaczej, chociaż wszyscy pisali jedną Prawdę, bo prawda jest jedna.

Ty także musisz sam przejść całą drogę, ty także będziesz musiał wszystko przemyśleć, wszystko zobaczyć, wszystko przeboleć. Gdy tego dokonasz, zostaniesz prawdziwym, zupełnym i doskonałym uczniem Ciesli.

Wtedy to, czego się dotknie twoja ręka będzie mądre, będzie piękne i będzie dobre.

Wtedy we wszystkim, co wyjdzie spod tej ręki, każdy odczyta wielką prawdę, wielkie piękno i wielkie dobro najpiękniejszej, najmądrzejszej i najlepszej lekcji, którą wygłasza Drzewo Krzyża Świętego.

Które tak mówi:

Jam jest najprostszym, najpotężniejszym i najświętszym pomnikiem architektury.

Bo we mnie jest prostota formy i głębia treści.

Wykonał mnie cieśla i przeniknęła mnie krew Ciesli; Ciesla zamieszkał we mnie.

Nie jestem szafasem włóczęgi ani jaskinią zbójcy, chociaż na takim samym krzyżu, jak ja, zawisł włóczęga i do takiego samego, jak ja, przybili zbójcę. Kształt może być użyty do różnych celów i może być nadużyty w najrozmaitszy sposób. Dlatego nie jest obojętne jego przeznaczenie.

Forma dla formy będzie tylko formą.

Sztuka dla sztuki będzie tylko warownią szczątkową, tak jak mądrość dla mądrości będzie jałowa, a dobro dla dobra będzie bezduszne.

Dopiero gdy mądrość pójdzie w służbę piękna, a piękno postawi sobie za cel dobre i zbawienne skutki swego oddziaływania, wówczas zostanie osiągnięta doskonałość taka, jaką nam przyrzeka głos Drzewa Świętego Krzyża.

Wówczas chwila zadumy na wzgórzu Golgoty nie pójdzie na marne, przeciwnie, wyda piękne owoce w twoim sercu, w twojej głowie i w twoich rękach.

Dokonało się. Lekcja skończona, drzewo Krzyża zamilkło. Mrok zapadł i nastąpiła noc. Roziskrzyły się gwiazdy. „Na przeczystych lazurach wystąpiła w całej swojej wspaniałości Droga Mleczna i wszedł księżyc w pełni swego blasku“.

Podnieś oczy ku niebu: „masz nad sobą tę krainę przestronną a cichą, w której p'ynie rzeka białego mleka i jaśniej garniec złocistego miodu“.

Czas wrócić do rzeczywistości. Musisz przemierzyć jeszcze raz drogę, po której wstępowałeś w napięciu myśli, w ściśnieniu serca, z oczami pełnymi zgrozy: oto tutaj w tym miejscu zerwali z Niego suknię całodzianą i wołali: Nie krajmy jej, ale rzućmy losy o nią. Już wiesz teraz, nieprawdaż, że najwyższych, niepodzielnych, całodzianych wartości nie będziesz dzielić na czworo ani też powierzać ich niepewności rzuconym na los szczęścia kościom.

Oto tutaj podniósł się po raz trzeci. Podniósł się w imię Piękną. Piękno bowiem i wytrwałe dążenie ku prawdziwemu pięknu, ku pięknu pełnemu, całkowitemu, jest tą siłą niezmożoną, tą pociechą i podniętą, która wyręcza Szymona Cyrenajczyka i osusza łyżę współczucia.

Oto tutaj spotkał córki jerozolimskie, do których mówił: „Nie płaczcie nade mną, ale same nad sobą płaczcie i nad synami waszymi“.

Tak, płaczcie nad sobą i nad synami waszymi, bo jeśli nie pójdziecie tą drogą, na której spotkaliście Mądrość, Piękno i Dobro, to jakaż inna wam pozostanie?

Oto tutaj podniósł się po raz drugi. Podniósł się w imię Dobra. W imię tej idei, która zasklepia rany, koi ból i przywraca uśmiech na usta.

Oby każdy twój uczynek, każde dzieło twojej myśli, serca i ręki zasklepiło ranę, nie pozostawiając nawet blizny, ukoilo ból, usunęło troskę i wniosło uśmiech słońca do „szklanego domu“.

Oto tutaj ofiarował swój wizerunek św. Weronice.

Niechaj wszystko, co czynisz będzie znakiem wdzięczności za to, co otrzymujesz. Wówczas wszelkie działanie, do którego przyłożysz rękę będzie wzorem najpiękniejszym uspołecznienia skazanego miłością bliźniego.

I niechaj w każdym twoim dziele, w każdym rysunku i w każdej budowlu będzie odbite oblicze twojego umysłu i twojego serca wyrażone twoją ręką.

Oto tutaj wezwano Szymona, by pomógł Mu dźwigać drzewo Krzyża. Nie czekaj, aż cię zawołają. Czyż może być większe szczęście, jak dopomóc temu, kto bierze na swoje ramiona brzemień, które wszyscy społem powinniśmy dźwigać? Nie czekaj na przypomnienie o obowiązku względem nauczyciela, względem przyjaciela, względem bliźniego, względem społeczeństwa. Jeżeli On zgodził się na to z miłości ku Szymonowi, to dlatego, że dał mu możliwość poznania błogosławieństwa szkoły cierpienia. Wszak bodaj Leonardo da Vinci powiedział kiedyś te piękne słowa: „Tylko w cierpieniu poznajemy głębię własnej duszy“.

Tutaj spotkał swoją Matkę. Matka cierpiała nad jego boleścią i poniżeniem. Nie było przy nim uczniów jego, którzy go opuścili, ale Matka znalazła go zranionego, omdlewającego, ukoronowanego cierniem i obciążonego krzyżem.

Nie obawiaj się więc, że opuszczą cię przyjaciele i uczniowie. Nie lękaj się ciernia i krzyża. Matka, a więc Architektura, nie opuści cię w poniżeniu i pozostanie mądrością twoich myśli, dobrocią twego serca i słońcem twoich oczu.

Oto tutaj podniósł się poraz pierwszy. Podniósł się w imię Prawdy. W imię tej idei, która węża kłamstwa i zakłamania, fałszu i obłądy ściiera na proch.

Przestrzegałem cię przed łatwymi zwycięstwami frazeologii. Strzeż się demagogii, strzeż się zbytecznych słów. Bo „na początku było Słowo“. Nie słowa, nie frazesy, nie hasła i nie slogany, tylko Słowo. Wszystko się przez nie stało, a bez niego nic się nie stało. I Słowo stało się ciałem i mieszkało między nami.

Pamiętaj więc o tym Słowie, które staje się ciałem żywym architektury, a nie o tym, które prędkie usta „miałą na sieczkę“.

Tutaj wziął krzyż na swoje barki. Tutaj wziął na swoje barki „nieprawości wszystkich nas“, a więc także i uczniów swoich. A więc zarówno tych, którzy przyjęli srebrniki jak tych, którzy się go wyparli jak i tych, którzy włożą palce w Jego rany. A więc i nas, którzy nadużywamy naszego pięknego, piękniejszego nad wszystkie inne tytuły imienia „Ucznów Cieśli“: a r c h i t e k t ó w.

Oto tutaj, w tym miejscu. Gdzie jest to miejsce? Czy tylko tam daleko w Jeruzalem na Drodze Krzyżowej?

Nie tylko tam. Ono jest wszędzie, ono jest tu, w szkole, gdy p'acisz koledze za pracę dyplomową. Ono jest w

twojej pracowni, gdy wyłudzasz dobrą pracę za marną zapłatę, ono jest na rusztowaniu, gdy sypiesz piasek zamiast cementu, ono jest w urzędzie, gdy zatwierdzasz plany sfałszowane. Ono jest w palcach urzędnika biorącego od ciebie zapłatę za „życzliwość“ i ono jest w twoim portfelu, z którego wyjmujesz przekupne pieniądze. Ono jest wszędzie tam, gdzie rzucasz płamę na dobre i piękne imię „Ucznia Cieśli“.

I wreszcie stajesz w swej powrotnej wędrówce na miejscu, gdzie Piłat umył ręce.

„Nie on jest winien śmierci tego sprawiedliwego“. Istotnie. On tylko ustąpił. Ale ustąpił. Oto, jakie są skutki, gdy rozum, spokój i rozważa ustępują roznamiętnieniu, ogłupieniu i rozbestwieniu.

Piłat jako przedstawiciel Cesarza Rzymskiego czuł się postawiony wysoko ponad tłumem jerozolimskim. Mierziło go żydowskie mrowie. Miał dosyć zgiełku i wrzawy jaką podniesiono z powodu człowieka, w którym on winy nie znalazł. Ale dla świętego spokoju, dla błogiej ciszy, roztarł sandałem tę mrówkę, z powodu której czyniono tyle zamętu.

Roztarł na proch i umył ręce.

Więc nachyl się nad pozłocistą misą Piłata, w której namiestnik cesarza umył swoje wypiełgnowane ręce. Cóż w niej dostrzeżesz?

Odpowiedź na to pytanie musisz znaleźć sam.

W nowym grobie, wykonanym w skale, „w którym żaden jeszcze nie był położon“ złożono zawinięty w całun Święty Depozyt Umęczonego Ciała. Przywalono kamieniem. Nałożono pieczęcie. Postawiono straż.

Nagotujmy maści i wonnych rzeczy, jak to uczyniły święte niewiasty i dajmy pokój wedle przykazania.

Dajmy pokój. Znajdziemy niebawem kamień odwalony i zerwane pieczęcie. Zostanie tylko całun. Święty całun turyński, jako świadectwo, jako nauka, jako sztandar Zwycięstwa.

Z W Y C I Ę S T W O

Rozpoczynając rozważania, ustaliliśmy w pierwszym rozdziale jako punkt wyjścia, że będziemy uważali architekturę za pewną ideę. Powiedzieliśmy, że jest ona nauką, sztuką i mądrością, zwłaszcza mądrością dlatego, że ogarnia wszelakie przejawy życia ludzkiego, a zadanie jej polega na zrozumieniu tych przejawów i znalezieniu dla nich najdoskonalszej formy.

Dążąc do ogarnięcia umysłem spraw związanych z różnorodnością problemów życiowych, jakie architekt spotyka na swej drodze zarówno wówczas, gdy się kształci, jak i wtedy, gdy już działa i walczy, przemierzaliśmy drogę pielgrzymów od domu Piłata aż na szczyt Golgoty. Cóż nam pozostaje?

Powinniśmy teraz uprzytomnić sobie to, o czym w czasie tej drogi dowiedzieliśmy się. Poznaliśmy cenę, jaką trzeba opłacić zdobycie bezcennych podstaw „życia i działania“ w zasięgu naszego rzemiosła „Uczniów Cieśli“. Wniknęliśmy w słowa, jakie głosi drzewo Krzyża Świętego, posłuchajmy teraz w uroczystym skupieniu, co mówią „trzy kolumny idei, trzy filary zwycięstwa“?

Co mówi „Kolumna Nauki“, co mówi „Kolumna Sztuki“, co mówi „Kolumna Mądrości“?

A więc, co mówi Kolumna Nauki?

Kolumna Nauki mówi słowami Witruwiusza, że nauka architekta¹⁾ jest ozdobiona wieloma dyscyplinami i różnymi umiejętnościami.

Żeby działać w sferze architektury, trzeba opanować liczne dyscypliny i najróżniejsze umiejętności. Dlatego architekt musi się uczyć. Musi się uczyć zawsze, musi się uczyć stale. Musi się uczyć z zasady. Przy tym, jeśli chce, aby praca jego nad sobą dała wyniki konkretne, powinien się kierować jakąś przemyślaną metodą. Ponieważ zamierzamy rozpatrzyć kolejno trzy aspekty architektury, aspekt architektury - nauki, aspekt architektury - sztuki i aspekt architektury - mądrości, przeto dla każdego z tych trzech aspektów musimy stworzyć właściwą definicję.

Jaką będzie definicja architektury - nauki? Celem nauki jest nabywanie wiedzy. Nauka architekta składa się z różnych dyscyplin „ozdabiających“ ją, jak powiada Witruwiusz, ale nie będących same przez się architekturą. Współczesny architekt nie będzie mógł uchodzić za architekta zupełnego, jeżeli nie przyswoi sobie geometrii w takim stopniu, w jakim, dajmy na to, wszyscy inni ludzie opanowali tabliczkę mnożenia. To samo dotyczy innych nauk ścisłych, zarówno znanych Witruszowi, jak i nowoczesnych, a więc np. statyki lub wytrzymałości materiałów.

Podobnie rzecz się będzie miała z „*variae eruditiones ornantes scientiam architecti*“. Wszystkie dziedziny wiedzy praktycznej: mineralogia, technika obrabiania kamieni lub żelazobetonu, wszelkie inne wiadomości niezwykle cenne z tym związane, nie są „nauką architekta“. Nawet budow-

¹⁾ Dużą pomocą w opracowaniu tego rozdziału była praca prof. dr. Wasiutyńskiego p. t. „*Scientia Architecti*“.

nictwo jako całość nie stanowi „nauki architekta“. Jest jedynie wycinkiem i to bardzo wąskim jej zastosowania.

Punkt widzenia tutaj przedstawiony nie zawiera w sobie nic nowego. Jest to pogląd odwieczny, któremu Witruwiusz dał wyraz mówiąc tak: „Ea nascitur ex fabrica et ratiotinatione“. Wchodzą tedy dwa składniki. Jeden z nich to składnik myślowy, drugi składnik materialny architektury.

Skoro bowiem mówimy, że architektura „powstaje z wytwórczości i rozumowania“, tym samym zestawiamy dwa czynniki: materialny i myślowy. Proces, jaki się tutaj odbywa jest dwoisty. Ratiotinatio (rozumowanie, praca myśli) będzie źródłem sił życiowych architektury przenikając w przedmioty materialne. Jak się odbywa to przenikanie? Za pomocą „dyscyplin“ i „erudycji“ (nauki i rzemiosła - techniki). Praca myśli rozwija ideę początkową nadając kierunek pracy rąk, które, idąc za nakazem myśli, a posiłkując się odpowiednimi narzędziami, przekształcają tworywo nadając mu postać (kształt) taki, jaki był pomyślany, jakiegokolwiek rodzaju byłoby to dzieło²⁾.

Wasiutyński słusznie zaznacza:

„Czynnik myślowy jest podstawowym czynnikiem architektury. Ale też i nie on jest architekturą. Dopiero gdy zostanie wyrażony w formie materialnej, może być architekturą“.

Jako czynnik myślowy może być też wyrażony niematerialnie: w przeżyciu myślowym, w słowie, w piśmie. Będzie wtedy stanowił treść myślową dzieła“.

²⁾ Fabrica est continuata ac trita usus meditatio, que manibus perficitur e materia cuiusquemque generis opus ad propositum deformationis (1, 1, 1).

„Takie treści możemy zestawiać, porównywać, wyjaśniać. Wszelkie działanie myślowe tego rodzaju można nazwać „nauką o architekturze“, podobnie jak to robimy w innych dziedzinach nauki. W tym znaczeniu architektura przybiera dwie postaci:

materialną — stanowiącą połączenie myśli i kształtu za pomocą rękodzieła lub techniki.

naukową — będącą usystematyzowanym wyrazem tychże myśli, które zawierała pierwsza (postać materialna).

Odróżnić je będzie można, nazywając jedną „architekturą materialną“ (Wasiutyński) albo *kształtem architektonicznym*, drugą zaś „nauką o architekturze“ (Wasiutyński), albo *myślą architektoniczną*.

Przyjmijemy tutaj inną definicję architektury, którą zaleca Wasiutyński a to dla dwóch przyczyn. Po pierwsze, ażeby zbliżyć budowę tych dwóch określeń pod względem etymologicznym, a po drugie, aby nawiązać do słów Witruwiusza: „*Myślą dzieła jest to, czym można dowieść i wyjaśnić pomysłowość i proporcję wymiarów rzeczy wykonanych*“ (W. I, 1,1)³⁾.

Wasiutyński używa określenia: nauka o architekturze, a celem naszych rozważań jest określenie architektury - nauki, a więc nie „nauki - architektury“ ani też „nauki o architekturze“, ale ściśle architektury nauki i stwierdzenie, czy w ogóle może być mowa o architekturze-nauce.

Pod tym względem są sprzeczności w tekstach Witruwiusza. Barbaro np. opierał się na wersji, w której pierw-

³⁾ Rationatio autem est, que res fabricatas salleritiae ac rationis proportione demonstrare atque explicare potest (W. I, 1, 1).

sze zdanie pierwszej księgi brzmiało: Architektura jest nauką składowaną się z wielu dyscyplin i różnych umiejętności. Obecnie za autentyczny tekst uznano wydanie łacińskie Krona, według którego interesujące nas tutaj zdanie brzmi: „Nauka architekta jest ozdobiona wieloma dyscyplinami i różnymi umiejętnościami“.

W każdym razie jest tutaj mowa o *Nauce*, a więc o czynniku myślowym, jako czynniku podstawowym architektury. Czynnikiem tym jest myśl dzieła, coś, czego można dowodzić „demonstrare“, a więc, należałoby tutaj oczekiwać jakiegoś ścisłego dowodu, wynikającego z ogólniejszych przesłanek.

Sprawę zdają się rozstrzygać na korzyść „architektury - nauki“ słowa Witruwiusza: „Tak jak we wszystkich rzeczach, tak też i w architekturze przede wszystkim zawarte są te dwie: rzecz, którą wyznaczamy i czynnik ją wyznaczający. Wyznaczona jest dana rzecz, tę zaś wyznacza dowód rozumowy wyjaśniony naukowo“.⁴⁾

Dotyczy to szczególnie architektury — powiada Witruwiusz — i dlatego jest oczywistym, że ten, kto uważa siebie za architekta, powinien być mocnym zarówno w jednym, jak i w drugim.

Ciekawy komentarz do tych słów czytamy u Barbaro:

„Każda przyczyna działająca (agente) na tym poziomie, na jakim się znajduje, powinna być doskonała, ażeby dzieło mogło być również zupełne i doskonałe“.

„Trzy są przyczyny oddziaływające: boska, naturalna i artystyczna, to znaczy: Bóg, przyroda i człowiek. Tutaj

⁴⁾ Cum in omnibus enim rebus, tum maxime etiam in architectura haec duo insunt: quod significatur et quod significat. Significatur proposita res, de qua dicitur; hanc autem significat demonstratis rationibus doctrinarum explicata. (W. 1, 1, 3).

będziemy mówić o człowieku. A więc, jeżeli architektura jest tak dalece doskonalszą od innych sztuk, że może wydać sądy o dziełach innych sztuk, to i architekt powinien być tak wielkiej miary, żeby miał prawo wydawać podobne osądy. Przede wszystkim, aby z natury był przenikliwy i pilny, to znaczy chwycił w lot o co chodzi, gdyż chociaż ten, kto sam odnajduje i docieka, wielce jest obdarzony przez Boga, to jednak godzien pochwały jest i ten, kto umie drugim udzielić tego, co sam posiadał. Niewiele jest zaś wart ten, kto niczego nie potrafi się nauczyć ani sam, ani też naśladować innych. Tak właśnie rozumieć należy słowa Witruwiusza, gdy powiada: „Stąd widać jasno, że ten, kto uważa siebie za architekta, powinien być biegłym zarówno w jednym jak i w drugim“. (W. I, 1,3). I tym sposobem powinien on być równie pilny w naukach jak i utalentowany, gdyż talent bez nauki ani też nauka bez talentu nie są w stanie wykształcić dobrego architekta“ (I, 1,3).

Rozpatrując po kolei wszelkie dziedziny nauk i umiejętności potrzebnych architektowi, zatrzymuje się Witruwiusz na filozofii i powiada:

„Co się tyczy filozofii, to ona czyni architekta doskonałym podnosząc jego ducha, hamując wysokie mniemanie o sobie, napełniając poczuciem sprawiedliwości, poszanowania dla drugich, uczciwością i czystością. Jest to niesłychanie ważne dlatego, że istotnie żadna praca nie może być dokonana z pominięciem uczciwości i sumienia. Architekt nie powinien być chciwy i garnać się do bogactwa, natomiast obowiązany jest pilnie strzec swej godności, swej czci i swej dobrej sławy. To właśnie zaleca filozofia“. (W. I, 1,7).

Z powyższego widzimy, że już Witruwiusz wiąże ściśle kwalifikacje zawodowe z moralnymi i wyliczając jednym tchem umiejętności czytania, pisania, rysowania, geometrię,

perspektywę, arytmetykę, historię, filozofię, muzykę, medycynę, prawo, astronomię, tak konkluduje:

„Jeśli więc wykształcenie architekta jest tak rozległe i tak bogato i wszechstronnie ujęte różnymi dyscyplinami, to nie sądzę, żeby ktoś ni stąd ni zowąd mógł ogłosić się architektem, wyjąwszy tego, kto za młodu przechodził od jednej do drugiej gałęzi wiedzy i przyswoiwszy sobie najrozmaitsze dziedziny nauki i sztuki osiągnął w końcu ten szczyt architektury“. (W. I, 1,11).

Nasze dzisiejsze poglądy na zakres „dyscyplin i różnych umiejętności“, które ozdabiają architekturę, odbiegają, rzecz prosta, od ideału podanego przez Witruwiusza, ale to nie ma głębszego znaczenia. Istota rzeczy polega na tym, że podobnie jak w Starożytności tak i dzisiaj „*architecti est scientia pluribus disciplinis et variis eruditionibus ornata*“.

My więc z kolei powinniśmy opanowywać takie dyscypliny, jakie dzisiaj „ozdabiają architekturę“ z pełnym poszanowaniem dla drugich, uczciwie, bez zbyt wysokiego mniemania o sobie“.

Witruwiusz wyraźnie podkreśla w swych rozważaniach, że „wytwórczość jest utrzymywana i rozwijana przez pracę myśli...“. Praca myśli stanowi świat architektury - nauki, która „*nascitur ex fabrica et ratiocinatione*“ i która dopiero we wtórnej fazie procesu myślowego, gdy będzie trzeba „przekształcać tworzywo do postaci pomyślanej“, odwołuje się do pomocy „dyscyplin i umiejętności“.

W pierwszej zaś fazie celem rozumowania jest usystematyzowanie założeń najogólniejszych niezależnie od czasu i przestrzeni. Będzie to szukanie podstawy rozumowej, dla przeprowadzenia „naukowo wyjaśnionego dowodu, uzasadniającego kształt, jaki będzie nadany rzeczy materialnej“; krótko mówiąc kształt architektoniczny.

Mamy sześć składników architektury - nauki:

Porządek, Proporcja, Układ, Eurytmia, Przyzwoitość i Ekonomia.

Nadmienimy nawiasem, że Witruwiusz przy każdej nazwie łacińskiej podaje jej odpowiednik grecki, a więc podsuwa nam myśl, że nazwy, a więc i teoria cała, są pochodzenia greckiego. Kolejność w jakiej „kategorii“ są podane też nie jest obojętna, gdyż „rzecz“, a więc dzieło, należy przemyśleć po pierwsze jako *samo w sobie*, a po drugie w *zależności od czynników zewnętrznych*.

Samo w sobie musi być *uporządkowane* i *uproporcjonowane* z punktu widzenia wartości oraz z punktu widzenia jasności i kształtu, aby otrzymać jakiś *układ*.

Winno być ono także przemyślane w zależności od *wyglądu zewnętrznego* (eurytmia), *związku z otoczeniem* (piękno) i właściwego rozumnego *wykorzystania* zorganizowanej przestrzeni (ekonomia).

Przejdźmy bardziej szczegółowo te składniki „pracy myślowej“.

A więc: „ordinatio“ albo po grecku „taksis“.

Witruwiusz mówi tak: „Uporządkowanie jest właściwym dostosowaniem części budowli wziętych oddzielnie, jak też jej całości. Porządek opiera się na wielkościach zwanych po grecku „posotes“ (miary). Wielkość ta stanowi o właściwym wyglądzie całego dzieła wynikającym ze zgodności jego wymiarów (ogólnych) z wymiarami oddzielnych jego części“.⁵⁾

Jest oczywiste, że ordinatio tak pojęte, jest składnikiem myślowym architektury. Może być przedstawione

⁵⁾ Witruwiusz I, 2, 2: „Ordinatio... i t. d.“ w/g Wasiutyńskiego.

w postaci materialnej kształtu architektonicznego, lecz również i w postaci niematerialnej, jako myśl ujęta rysunkiem.

Z samej treści słowa: „porządek“ wynika, że jest tutaj mowa o pewnych wartościach, które *poprzedzają*, i innych, które *nadążają*. Mieści się w tym więc nierówność, już w samym fakcie kolejności. Tak więc porządek jest uszeregowaniem wartości równych i nierównych, jednakowych i niejednakowych; porządek w architekturze związany jest z „wartością“. W wartości ujawnia się zarówno ten porządek, który dotyczy całości, jak i ten, który dotyczy części. Oczywiście nie znaczy to, że jeden porządek może istnieć bez drugiego, lecz że rozum może rozgraniczyć te dwa porządki i pojmować każdy z nich oddzielnie. (Barbaro).

Z tego wynika problemat drugi — proporcji „...części budowli wziętych oddzielnie i ustosunkowanie całości z jej podziałami“ (Witruwiusz). Ustosunkowanie lub uproporcjonowanie polega na tym, żeby zmieniać i odmierzać jedną część w jej całości (wielkości) w taki sposób, żeby ustosunkować ją do innych części, przy czym jedna z tych części powinna być poprzedzającą, a druga następującą. Poprzedzająca będzie ta, której wielkość stanowić będzie „moduł“ (jednostkę miary), następującą zaś ta, która będzie *ustosunkowana* do modułu (wielokrotna).

Porządek jest tedy *układem* nierównych wielkości, który się wywodzi ze wspólnej wielokrotnej, służącej za moduł dla wszystkich części i będącej w określonym stosunku do całości, tworząc i wyznaczając *współmierność*, którą Grecy nazywają *symmetria*.

To ma na myśli Witruwiusz, gdy mówi: „...że stanowi o właściwym wyglądzie całego dzieła, wynikającym ze zgodności jego wymiarów z wymiarami oddzielnych jego części“.

Tutaj trzeba jeszcze zaznaczyć, że w pojęciu *układu* porównuje się części tego układu nie jako wielkości, lecz jako części, które należy rozmieścić na właściwych miejscach; nie wystarcza więc tutaj znalezienie wspólnej miary, służącej za moduł dla ustalenia wielkości każdej z części, lecz trzeba także znaleźć porządek rzeczy składającej się z tych części, porównując części nie jako wielkości lub wartości (same w sobie), lecz jako elementy całości, które należy ustawić na swoich miejscach.

Istnieją dwa sposoby tworzenia układu: jeden uwarunkowuje się przypadkowością i koniecznością, *intuicyjny*, drugi — umiejętnością (wiedzą) i sztuką, *rozumowy*. Sprawą intuicji będzie w pojęciu Witruwiusza wnikięcie w warunki, jakie stwarza *środowisko*, w którym ma być wzniesiona budowla, co może pociągnąć za sobą nawet odstępstwo od przyjętej uprzednio zasady współmierności: „...wypada przede wszystkim ustalić zasadę współmierności, od której wolno czynić odstępstwa bez wahania: następnie odznaczyć długość i szerokość pomieszczeń na miejsca przyszłej budowli, a gdy już będą ustalone jej rozmiary, trzeba uzgodnić proporcjonalność z przyzwoitością, ażeby wygląd zewnętrzny nie budził u patrzącego wątpliwości, co do eurytmii budowli“. (W. VI, 2,5). Od tego zależy „*qualitas*“ budowli.

Przytoczymy tutaj słowa Daniele Barbaro: Układowi przeciwstawia się bezład, jak porządkowi — nieporządek i rzecz można, że porządek jest to układ miar w ich współmierności, układ zaś jest to porządek części w przestrzeni.

Układ jest porządkiem części w *przestrzeni*. A więc musi on być teraz rozpatrzony już nie sam w sobie, lecz w zależności od przestrzeni jaka go otacza. Musi nagiąć się do prawideł eurytmii, która jak powiada Witruwiusz (I, 2,3)

„...jest miłą cechą i przyjemnym wyglądem w układzie członków budowli; osłaga się ją, gdy części dzieła są właściwej wysokości w stosunku do szerokości, szerokości do długości i gdy wreszcie wszystkie zachowują swoją symetrię“.

„Z określenia wynika — pisze Wasiutyński — że jest to (również) czynność myślowa, podobnie jak „ordinatio“. Należy przeto do „Nauki o architekturze“. Czymże różni się „ordinatio“ od „eurythmia“? Tym, że „ordinatio“ stanowi o uporządkowaniu wszystkich części w jedną całość, a „eurythmia“ jest sposobem wyrażania piękna przez uporządkowanie wymiarów tych części“.

Była już tutaj mowa o symetrii (współmierności), która w życiu potocznym straciła swoje pierwotne znaczenie. Witruwiusz określa ją bardzo ściśle: „Item symetria est ex ipsius operis membris conveniens consensus ex partibusque separatis ad universae figurae speciem ratae partis responsus“ (W. I, 2,4).

Bardzo cenne uwagi w tej mierze znajdujemy u Wasiutyńskiego:

Zachowanie symetrii ma za cel tę samą estetykę miarową, co „ordinatio“ i „eurythmia“, a różni się od obu tym, że nie polega na obliczaniu stosunków, lecz na odmierzeniu odległości. Te odróżnienia mogą wydać się nam dziwnie drobiazgowe.

Jednak różnice są wyraźne:

ordinatio — to współność miar w układzie całego dzieła.

eurythmia — to wspólność systemu, czyli wspólność miar oddzielnych od części dzieła.

symetria — to harmonia zestawienia części dzieła tak w całości miar, jak też w częściach dzieła.

Wartość estetyczna symetrii znajduje swe uzasadnienie u Witruwiusza w następującym zdaniu: „Tak jak w ciele ludzkim, poczynając od łokcia, stopy, piędy, palca i innych części symetrycznych wszystkie zachowują wspólność rytmu (eurythmię), tak też jest w dziełach doskonałych“ (W. I, 2,4).

Dalszym uzależnieniem dzieła samego w sobie jest jego związek z otaczającą go przestrzenią, ujęty w kategorii przyzwoitości (piękna).

Architektura - nauka posiłkuje się słowem piękno w innym nieco zrozumieniu niż to czyni architektura - sztuka lub jak to bywa rozumiane w mowie potocznej. Witruwiusz używa tutaj słowa „Decor“ i przytacza jego odpowiednik grecki *tematismoi*. Barbaro powiada „przyzwoitość“ i tak mniej więcej wyklada odpowiedni ustęp Witruwiusza: „Przyzwoitość jest to nieposzlakowany wygląd budowli, wzniesionej według wypróbowanych i uznanych wzorów“.

„Decor“ jest składnikiem estetycznym architektury jak *ordinatio*, *eurythmia* i *symetria*. „Polega on na wprowadzeniu kształtów, które po grecku zowią się „*tematismoi*“, albo kształtów zwyczajnych, albo kształtów naśladowujących przyrodę“ (albo zgodnie ze zwyczajem lub z prawem przyrody).

Z treści dalszych wywodów Witruwiusza wynika, że słowo „zwyczajowy“ (*consuetudine*) jest rozumiane tutaj jako zgodne z przyjętymi zwyczajami, z obyczajnością. Dlatego pozwałam sobie tak tłumaczyć następujące zdanie: „Przyzwoitość zgodna z obyczajnością polega na tym, że wznosząc pomieszczenia odznaczające się zewnętrznym wystrojem, nie zapomina się o stosowanych i świetnych *vestybulach* itd.“. (W. I, 2,6).

A dalej: „Przyzwoitość według przyrody zależy przede wszystkim od wyboru najbardziej zdrowej miejscowości dla wszystkich założeń (świątynnych) itd...” (W. I, 2,7).

To, że Witruwiusz rozpatruje najbardziej formalne „stosowności” porządków klasycznych, jest nieistotne. W jego czasach innych form architektonicznych nie używano i zdaje się, że ma w naszym rozumieniu większe znaczenie fakt stwierdzenia „ciężaru gatunkowego” poszczególnych stylów i wynikająca stąd „przyzwoitość” nakazująca w pewnych okolicznościach użycie właśnie jednego z nich, niż jakiegokolwiek inne estetyczne przesłanki.

Gdy będzie mowa o architekturze - sztuce, przekonamy się, że podobnie jak architektura - nauka przenika wszystkie składniki myślowe architektury, tak samo odnajdziemy we wszystkich sześciu pierwiastki architektury - sztuki.

Zresztą będzie ona doskonałą dopiero wówczas, gdy obok momentów rozumowych i uczuciowych, odnajdziemy w całości także i *mądrość*.

Ostatnim z sześciu składników architektury jest „distributio”. Co o tym mówi Witruwiusz?

„Distributio” jest właściwym wykorzystaniem materiałów i miejsca. Polega ono na zachowaniu umiaru w kosztach budowy przez racjonalne jej wykonanie. To zaś będzie spełnione, jeżeli architekt nie będzie żądać tego, czego dostać ani przygotować nie można bez wielkich kosztów.

Stanie się wtedy — pisze dalej Witruwiusz — gdy architekt będzie się upierał, aby wynaleźć to, czego wynaleźć nie można, lub też jeżeli osiągnięcie tego jest możliwe jedynie nadmiernym kosztem.

Jest to trzeci i ostatni warunek *zewnątrzny* uzależniająca prawidłowy bieg *myśli architektonicznej*, która zakre-

śla sobie konkretne granice wnioskowania i proponowania. Jeżeli bowiem wybierzemy miejsce niewłaściwe i zastosujemy materiały, których użycie w danych okolicznościach będzie połączone z nadmiernymi wydatkami, wówczas zachwiany zostanie postulat przyzwoitości i oczywiście podważona także eurythmia.

W konkluzji stwierdzamy, że zarówno trzy postulaty wartości samej w sobie, jak i trzy warunki zewnętrzne uzależniające związanie rzeczy ze środowiskiem, łączą się w logiczną i nierozzerwalną całość „myśli architektonicznej“, która będzie mogła stanowić podstawę wytwórczości, by ta dokonała „rękoma przekształcenia tworzywa do postaci pomysłanej, jakiegokolwiek rodzaju byłoby to dzieło“.

Tak wygląda w najogólniejszym zarysie podstawa logiczna architektury - nauki. Wyznacza ona rolę rozumu w pracy architekta. Rozum musi pracować w oparciu o dyscypliny i umiejętności, ale nie wolno mu naginać dla założeń apriorystycznych ani tych dyscyplin, ani umiejętności, ani też samej *Nauki*.

W pracy rozumu nie dopuszcza się uchybień, bo wówczas wynik pracy nie będzie rozumny.

Pracę rozumu muszą zatem znamionować wysokie kwalifikacje moralne. Używanie rozumu w oderwaniu od prawd moralnych musimy zakwalifikować jako nadużywanie rozumu. Jest to ewentualność, z którą trzeba się liczyć. gdyż rozum jest własnością cz'owieka, a wszystko, co ludzkie, nie jest doskonałe, jedynie dąży do doskonałości.

Nie mniej widzieliśmy, że poczynając od naistarszej księgi o architekturze, jaką jest Dziesięcioksiąg Witruwiusza, idzie poprzez wieki i snuje się poprzez wszystkie księgi pisane w najrozmaitszych stuleciach i w rozlicznych językach myśl przewodnia wzywająca architekta do uczciwo-

ści. W ciągu naszych rozważań podawaliśmy kilkakrotnie takie wezwania. Jest ich znacznie więcej i znaczenie ich oraz ich doniosłość nie budzą już dzisiaj żadnych zastrzeżeń u nikogo. Może się jedynie nasuwać wątpliwość co do kolejności wagi walorów architekta. Wiemy, że powinien on być mądry, wykształcony, utalentowany, a także uczciwy. I tutaj nasuwa się pytanie czy nie należałoby kwalifikacji moralnych wysunąć na miejsce pierwsze. Nie jest to bynajmniej czcza formalistyka.

Bowiem człowiek moralny, w głębi serca uczciwy, inaczej nabywa mądrości, czego innego się uczy i w innej atmosferze doskonali swój talent, aniżeli ten, któremu rozsądek radzi być uczciwym, którego życie nauczyło, że bezpieczniej jest podążać ścieżkami uczciwości i że głośniej się mówi o talencie zażywanym dla uczciwych celów.

Postępowanie takie zasługiwałoby raczej na miano uczciwości interpretowanej i byłoby w duchu swoim dalekie od ideału „filozofii“ Witruwiusza, która chcia'aby widzieć architekta doskonałym, podniesionym na duchu, wyzwolonym z wysokiego mniemania o sobie, pełnego poczucia sprawiedliwości, poszanowania dla drugich... krótko mówiąc: uczciwego po prostu, po ludzku.

Architektura jest sztuką. Z chwilą, gdy czynnik myślowy zostaje wyrażony w formie materialnej, powinien zamienić się w dzieło architektury. Jeśli to nie nastąpiło musiała się wytworzyć jakaś luka. Rozpatrzmy etapy, które musi przebyć myśl architektoniczna, ażeby zamienić się w dzieło architektury. Z rozważań tych powinny wynikać warunki, których spełnienie uważamy za nieodzowne dla powstania dzieła architektury.

Pierwszym etapem będzie nadanie myśli architektonicznej takiej postaci, ażeby mogła ona stanowić podstawę dla „przekształcenia tworzywa do postaci pomyślanej“ (Witruwiusz).

Było tutaj powiedziane, że czynnik myślowy może być wyrażony niematerialnie na różne sposoby, w słowie, w piśmie i w rysunku. Ujęty w słowie przedstawia treść myślową dzieła, ujęty w rysunku stanowi treść formalną dzieła, kształt przejściowy pomiędzy wyrażeniem niematerialnym a materialnym dzieła. Rysunek tedy będzie kapitalnym momentem w tworzeniu materialnej postaci dzieła.

Trzeba sobie uprzytomnić, że pomiędzy treścią myślową dzieła, a kształtem materialnym wyrażającym tę treść musi rozegrać się proces przeobrazeniowy o charakterze

złożonym. Przede wszystkim musi się nadać tej treści myślowej kształt zasadniczy, a następnie opracować ten kształt z uwzględnieniem szeregu praw psychologicznych opartych na doświadczeniu, ażeby obraz optyczny przedmiotu wytwarzający się w oku, które ten przedmiot ogląda, przedstawiał się zgodnie z pierwotnym zamierzeniem autora. W toku niniejszych rozważań będziemy mieli możliwość stwierdzić, że szczegół ten nie był przeoczony ani przez Witruwiusza, ani też przez jego poprzedników.

Tak więc mamy do omówienia: po pierwsze, sposób ujmowania pomysłów architektonicznych za pomocą rysunku i po drugie, sposób dokonywania formalnej adoptacji, tzn. przystosowywania zamierzonych kształtów do prawideł optyki.

Zakres rysunkowego przedstawiania pomysłów architektonicznych zostaje ujęty przez Witruwiusza terminem „*Dispositio*“, gdy powiada: „*Dispositio* zaś polega na właściwym rozmieszczeniu rzeczy w celu złożenia z nich prawidłowego układu dzieła“¹⁾. Do tego zdania Barbaro dodaje taki komentarz: w pojęciu układu (*Dispositio*) porównując części tego układu nie jako wielkości, lecz jako części, które należy rozmieścić na swoim miejscu, nie wystarczy w tym celu znalezienie wspólnej miary, służącej za moduł dla ustalenia wielkości każdej z części, lecz trzeba także znaleźć porządek rzeczy składającej się z części, nie jako wielkości i wartości, lecz jako elementy (rzeczy), które należy ustawić na swoich miejscach.

Powiedziano już tutaj, gdy była mowa o architekturze jako nauce, że istnieją dwa sposoby tworzenia układu (*dispositio*). Jeden uwarunkowuje się przypadkowością i ko-

¹⁾ *Dispositio autem est rerum ap' a conlocatio elegantissime compositionibus effectus operis cum qualitate.* (W. I, 2, 2).

niecznością, drugi sztuką i umiejętnością (wiedzą). W tej fazie swych rozważań Witruwiusz zajmuje się metodą rozumową i artystyczną, natomiast o metodzie uwzględniającej konieczności szczególne i przystosowywanie się do nich pisze w szóstej księdze, gdzie w drugim rozdziale zupełnie jasno wyklada znaczenie wszystkich sześciu podstawowych elementów twórczości architektonicznej mówiąc: „Architekt nie powinien na nic zwracać baczniejszej uwagi, niż na to, aby proporcje budowli znajdowały się w pełnej współzależności z określoną częścią przyjętą za ośnowę. Gdy bowiem będzie ustalona zasada współmierności, a wszystkie wymiary oznaczone drogą obliczenia, to już przenikliwości wypadnie wziąć pod uwagę warunki miejscowe lub przeznaczenie budowli, albo jej wygląd zewnętrzny i drogą uproszczeń lub uzupełnień osiągnąć taką równowagę, ażeby po tych uproszczeniach lub uzupełnieniach w zakresie współmierności całość okazała się prawidłowa“. (W. VI, 2,1).

A dalej: „Wszak przedmioty inaczej wyglądają, gdy znajdują się całkiem blisko, inaczej — gdy są wysoko, inaczej przedstawiają się w zamknięciu, a inaczej nazewnątrz; i w tych wszystkich wypadkach trzeba postanowić, po dobrym namyśle, co koniec końców trzeba zrobić“. (W. VI, 2,2).

I wreszcie: „Sądzę, że nie powinno budzić wątpliwości, że w zależności od warunków przyrodzonych miejsca lub wskutek istotnych konieczności, trzeba wprowadzać niezbędne uproszczenia lub uzupełnienia, lecz w taki sposób, ażeby nie pozostawało nic do życzenia w takich budowlach. *A osiąga się to dzięki wrodzonej przenikliwości (intuicji) nie zaś tylko i wyłącznie umiejętnością.* (W. VI, 2,4).

Tak więc stanęliśmy wobec momentu intuicji, czucia, który stanowi czynnik sztuki. Według Witruwiusza, co nie jest pozbawione znaczenia, nie mamy tu do czynienia z pu-

szczeniem wodzów fantazji, ale przeciwnie, z „wprowadzeniem niezbędnych uproszczeń lub uzupełnień, lecz w taki sposób, ażeby nie pozostawało nic do życzenia“.

Rozmieszczenie części budowli — pisze Witruwiusz — może być przedstawione według różnych sposobów; sposoby te nazywają się z grecka „ideai“ i oto one: iknografia, ortografia, i scenografia (po polsku: rzut poziomy, wizerunek fasady i perspektywa).

„Iknografia (wykreślenie planu) jest to należyte i metodyczne posi'kowanie się cyrklem i linijką dla sporządzenia obrysu planu na powierzchni ziemi“.

„Ortografia jest to pionowe przedstawienie fasady i obraz widoku zewnętrznego przyszłej budowli, sporządzony z należyтым zachowaniem jego proporcji“.

„Scenografia wreszcie jest rysunkiem fasady i umykających w głąb boków (stron) za pomocą linii zbiegających się ku środkowi oznaczonemu cyrklem“ (W. I, 2,2).

Witruwiusz pisze dalej: „Wszystko to bierze początek z pomysłu i rozmysłu. Pomysł jest to działanie pełne starania i czujnej wyobraźni, skierowane ku osiągnięciu pomyslnych i dających pełne zadowolenie wyników podjętego zadania, natomiast rozmysł jest to pomyslnie rozstrzygnięcie zawitych zagadnień i rozumne ujęcie całkiem nowego przedmiotu dzięki żywej wyobraźni“ (W. I, 2,2).

Jasnym jest, że „ideai“ nie stanowią architektury. Są one jedynie bardzo dalekimi od doskonałości sposobami przedstawiania myśli architektonicznej i celem głównym ich powinno być odegranie roli jednego ze środków pomocniczych dla „przekształcenia tworzywa do postaci pomyslanej“.

Ale ponieważ technika wykonywania rysunków stwarza sama przez się i sama w sobie sposobność zrobienia pięknego rysunku, więc czeka tutaj na architekta niebez-

pieczna zasadzka, mogąca go odwieść od właściwego celu. Rysunek architektoniczny jest środkiem i ten, kto widzi w nim cel, popełnia conajmniej błąd krótkowzroczności, jeżeli działa nieświadomie lub oszustwo, jeżeli działa świadomie.

Pomiędzy rzeczą narysowaną a zbudowaną leży przepaść nie mniejsza od tej, jaka dzieli rzecz pomyślaną od oglądanej. Rzecz pomyślaną widzi autor oczyma duszy w tysiącu naraz aspektów: z przodu, z tyłu, z góry od środka... Porusza się w pomyślanym przez siebie gmachu tak, jakby ten już istniał. Potrafi jednocześnie wchodzić doń pod wysokim, strzelistym portykiem i w tym samym momencie obejmować go ramionami, jakby nikły model z tektury.

Ten kalejdoskop wrażeń wewnętrznych trzeba za pośrednictwem rysunku zamienić w rzeczywistość, ażeby ta rzeczywistość oglądana przez kogoś innego wzbudziła w jego umyśle nowy kalejdoskop wrażeń, o ile możliwości jak najbardziej zbliżonych do tych, jakie były natchnieniem twórcy.

A zatem, gdy chodzi o problemat sztuki, a więc o zagadnienie dotyczące świata sztuki, nie tylko plany, ale nawet samo dzieło jest poniekąd pośrednikiem pomiędzy pewnym stanem psychicznym twórcy i stanem psychicznym widza. Jest jakgdyby falą elektromagnetyczną pomiędzy nadajnikiem a odbiornikiem.

Myśl, która rodzi się nieskrępowana w umyśle jednego człowieka, musi poprzez rysunek, przez dzieło według tego rysunku zbudowane i przez aparat psychiczny (wzrokowcy) drugiego człowieka dotrzeć do jego świadomości i wytworzyć proces myślowy, który nazwiemy *wrażeniem architektonicznym*.

Środki, jakimi rozporządza człowiek dla odbierania wrażeń od świata zewnętrznego, od świata plastyki, są cu-

dem stworzenia. Bo niewątpliwie oko, wzrok, są jednym z najpiękniejszych darów Stwórcy. Ale pomimo to, w zestawieniu z cudami myśli, a więc ducha, są bardzo znikome.

W najdawniejszej starożytności, kiedy człowiek był bliższy natury i bardziej wnikał w istotę swoich doznań, odkryto i zbadano zakres tych rozbieżności. To też dla architekta greckiego nie stanowił tajemnicy fakt, że oko jego widziało rzeczy innymi, aniżeli były one w rzeczywistości. On, który od dziecka zżył się z morzem, musiałby nie mieć oczu, aby nie zauważyć, że wiosło zanurzone w toni do połowy, wydaje się w wodzie morskiej nadłamane. A spostrzegłszy jedno takie zjawisko, musiał, bo parła go ku temu żywa wyobraźnia jego śródziemnomorskiego umysłu, czynić dalsze spostrzeżenia. Uprzytomnił sobie, że przedmioty zmieniają swe optyczne wymiary zależnie od oddalenia i że na podstawie tego faktu może on oceniać miarę oczną długości. Zrozumiał ducha perspektywy wcześniej, aniżeli mógł ustalić jej prawa. Zrozumiał, że jak w życiu „panta rei“, tak i w oku naszym wszystko płynie, aż się rozplywa we mgle oddalenia lub błękanie morza. Rośnie, maleje, niknie...

Jak pięknie powiedział to Marek Aureliusz: „Azja i Europa są zaledwie zakątkiem na tej ziemi, oceany kroplą świata. Góra Athos garstką pyłu. Cała teraźniejszość to mgnienie oka wobec wieczności. Wszystko jest nędzne, b'ahę, przemijające, ale też wszystko płynie z mądrości wszechświata, jako nieprzerwany łańcuch konieczności. Paszcza lwa, jad trucizny, wszystko, co szkodliwe, jest jak ciernie, jak błoto, nieodłącznością rzeczy pięknych, rzeczy dobrych“.

Wszystko płynie, roztapia się, niknie, lub na nowo wyłania się z szafirów przestworzy, z mgławicy myśli, z odmętu wyobraźni i tworzy kształt w oku. Jakże piękny, olśniewający w swej prostocie jest ten kształt, oglądany jako za-

rumieniony marmur kolumny greckiej, wznoszącej się na urwistym wybrzeżu. I czemu to przypisać, że gotowiliśmy przysiąc, że jest on napewno inny, aniżeli jego tysiączne odbicie rozsiane szeroko po świecie?

Przecież każdy z nas otrząsał się jeszcze jako dziecko z nazwami stylów wcześniej, niż mógł zrozumieć, co one znaczą. Z zamkniętymi oczami mógł przysięgać w Warszawie, że w promieniu stu metrów od miejsca, gdzie się znajduje, wskaże na pewno przyklejoną gdzieś kolumnę dorycką, jońską, koryncką.

A jednak, gdy stanie twarzą w twarz z *prawdziwą* kolumną, serce jego pocznie bić żywiej.

Kolumny starożytności były żywe. Stawały szeregiem, to prawda, ale szereg ten nie był martwy. Raz się ścieśniały, to znowu rozsuwały. Po środku ustawiały się inaczej, skupiały się ku krawędziom, narożne chyliły się do środka. Drobniejsze wątpały ku górze. Strzelistsze trzymały się prosto i zatracaly niemal zupełnie kształt wrzeczona, tak wybitny u kolumn małych. Stopnie, na których się wznosiły pęczniały ku środkowi, a frontony, spoczywające nad gzemami, nachylały się ku przodowi, jakby chciały zapytać: Kto wstępuje do świątyni?

Wszystko w nich żyło, wszystko drgało, wszystko wibrowało. Dlaczego? Dlatego, że kształt ich mienił się w oku tego, kto patrzył na nie z zachwytem. Że oko jego nie było martwym zwierciadłem, lecz żywą, chwytną istotą, że tych oczu było dwoje i z dwóch obrazów oglądanych poruszającymi się i ześrodkowującymi na wypatrywanym motywie oczyma, tworzył się w zachwyconym umyśle jeden plastyczny, stereoskopowy obraz.

Bowiem problemat formalny, jaki stawiał sobie architekt starożytny, zawierał się w odpowiedzi na pytanie: „Czy

zadaniem moim jest forma rzeczywista tego kształtu w swej istotnej postaci, czy też forma ta ma być tak zbudowana, ażeby (zgodnie z pewnymi obserwacjami i doświadczeniami dokonany mi nad ludzkim aparatem rozpoznawczym) wydawała się nie taką, jaką jest, lecz jaką była pomyślana“.

I wtedy nak'oni on ucha, by posłuchać głosu kolumny-architektury, kolumny - sztuki:

Mówi ona tak:

Oto problemat architektury - sztuki: bezcenny depozyt antycznej myśli architektonicznej, zakłęty w marmurze pentelikońskim kolumny doryckiej.

Ale wiemy także, że aby zostać wielkim artystą, trzeba być pełnym prostoty.

...tej prostoty, którą się osiąga wytrwałym *dążeniem* i uporczywą *walką*, która wieńczy skronie architekta laurem *zwycięstwa*.

Ciąży nad nami spuścizna dziewiętnastego wieku. Stulecie to przesycone było natrętną ciekawością. Pe'ne pośpiechu. Nie tylko w działaniu, ale także i w myśleniu. Nachwytało mnóstwo wiadomości. Odziedziczyło po stuleciu Oświecenia Encyklopedię, „książeczkę, która wie wszystko“. Mając taką książeczkę myślało, że i ono wie wszystko.

Encyklopedia jest współczesnym drzewem wiadomości złego i dobrego i dlatego może być niebezpieczna. Wiek dziewiętnasty zakosztował jej owocu i został wypędzony z raj u mądrości.

Dowiedział się bardzo dużo, ale nie dowiedział się wszystkiego. W architekturze nie tylko, że nie nabył nowych wiadomości, ale co gorzej, zatracił świadomość tego, co było w niej najistotniejsze. Dzięki postępowi wiedzy otrzymał nowe tworzywa, a więc najpierw lane, a potem walcowane żelazo. Z chwilą, gdy nauczył się walcować,

sięgnął po zdobycze nauki o wytrzymałości materiałów i odtąd począł walcować to żelazo, nadając mu okroje naukowo uzasadnione. Niewątpliwie posunął się daleko w przód. Został inżynierem. Odkrył żelazobeton. Został nad-inżynierem, doktorem wszech nauk technicznych.

I oto stanął zawstydzony, pełen podziwu dla tego wszystkiego, co wychodziło spod ręki tych, którzy mieli odwagę odrzucić zbędny, jak mniemali, łachman togi witrawiańskiej, by się wziąć do wiercenia tuneli, rozpinania kilometrami wiszących mostów, stawiania tam w poprzek potężnych, zdawałoby się niezwalczonych, rzek.

Stanął bezradny i zawstydzony. Całkowicie zbędny i niepotrzebny, jak kura na brzegu, której kacząta popłynęły na staw.

Stanął w bezradnym zachwyceniu nad postępami budownictwa, które się oderwało od architektury, by pójść własną drogą i nie s'yszy nawet tego, co mówi właśnie inżynier „uczony w piśmie“:

„...budownictwo stanowi część zakresu zastosowań architektury, więc nie jest jej częścią jako przedmiot innego rodzaju. Architektura jest nauką, budownictwo polem jej zastosowania. Nauka jest działaniem myślowym, budownictwo jest nie tylko działaniem myślowym, lecz też pracą fizyczną, wykonywaną przez ludzi lub maszyny“.

„Gdybyśmy zwrócili uwagę, że zakres zastosowań „nauki architekta“ obejmował w starożytności wszystkie te dziedziny, które dzisiaj wchodzą w zakres nauk inżynierskich, gdyby zaliczyć wszystkie dzisiejsze dziedziny techniczne do architektury, tak, jak to było przyjęte w podziale wiedzy starożytnych, „nauka architekta“ obejmowałaby dzisiaj wszystkie nauki ścisłe, stanowiące podstawę techniki dwudziestego wieku. Porównanie to wskazuje, jak

pełną treści była „Scientia architecti“ Witruwiusza i jak niezrozumiale wątplym jest jej dzisiejszy zakres wobec nauk technicznych, wydzielonych z dawnej architektury“ (Wasutyński).

Pogląd tutaj wypowiedziany byłby całkowicie s'uszny, a tym samym bardzo bolesny. Idąc śladem tych uwag, można by porównać architekturę do kobiety, która strawiwszy życie na rodzenie i przewijanie dzieci, nie mogła zajmować się wyłącznie sobą i teraz bez winy z jej strony rzucają jej w twarz bolesne oskarżenie: jesteś zacofana. „Architektura-nauka jest jedynym wyjątkiem wśród nauk starożytnych zamartwym w starożytności i leżącym ugiem do dzisiaj. Czyż nie wszystko jedno? Czyż architektura jest mniej piękna?“ — zapytuje oskarżyciel, aby osłodzić architekturze-nauce gorzkie słowa jednostronnej prawdy.

S'usznosc mają poniekąd ci, którzy miotają oskarżenie na architekturę i na architektów, że nie mają ścisłego języka. Przyczyniliby się do wytworzenia „wspólnego kościca rozumianego przez wszystkich, zdolnych do rozumowania“.

Istotnie, błędem architektów jest to, że zaniedbawszy nauki popuszczają nadmiernie wodze intuicji i wyczuciom. W niejednym wypadku można by osiągnąć nierównie lepsze wyniki z rozumowania, niż metodą stosowanego powszechnie zgadywania. Zresztą przydałoby się nieraz odgadnięte chociaż a posteriori skontrolować rozumowaniem.

Dzisiejszy architekt, odrzuciwszy zbędny „balast ornamentacji“, których bynajmniej Witruwiusz nie narzucał mu nigdy siłą, bo wszak cytowaliśmy jego słowa: „...drogą uproszczeń lub uzupełnień osiągnąć taką równowagę, ażeby po tych *uproszczeniach* lub uzupełnieniach w zakresie współmierności, całość okazała się prawidłowa (W. VI, 2,1)“, znalazł się w ślepej uliczce i mniemając błędnie, że postę-

puje *racjonalnie i celowo*, w rzeczywistości bliździ nieracjonalnie i niecelowo.

Zarzuty stawiane przez inżynierów są sztukiem w nos, o którym tutaj była mowa, jako o tym organie naszej psychiki, na którym spoczął cały ciężar pracy twórczej.

„Decor“ jest bezspornie składnikiem estetycznym architektury, ale w tym samym stopniu co on „Ordinatio“, „Eurythmia“, „Symetria“. Polega on na kształtach uznanych za piękne, względnie za „przyzwoite“, przy czym wywodzą się one z przyrody w tym sensie, że chcą od niej zapożyczać stosunki proporcjonalne, zamknięte w proporcjach ciała ludzkiego (sylwetki męskiej, kobiecej i dziewczęcej). Oprofilowanie i ornamenty mają tutaj conajmniej drugorzędne znaczenie. Myśl Witruwiusza biegnie wyraźnie od całości ku szczegółom. Stąd nazwa *podziały architektoniczne*. Zaleca uproszczenia. Rozumowanie Witruwiusza nie idzie po linii „porządków“ czy „stylów“, jak to się rozumie potocznie, lecz po linii Porządku-Ordinatio. Jeżeli wmyśleć się w tok jego rozumowania, jest ono całkowicie *poza-porządkowe*, nawet wówczas, gdy omawia on jakiś „porządek“. Porządek w naszym rozumieniu zjawia się u niego raczej jako narzędzie dla nadania budowli „przyzwoitości“, a jeżeli uda się to osiągnąć drogą *uproszczeń*, tym lepiej, bo to pójdzie po myśli „Oikonomii“.

Kiedy Witruwiusz pisał dziesięcioksiąg, nie istniała ani architektura średniowieczna, ani też nowożytna. Można więc z łatwością zbadać, czy uwagi jego znajdują zastosowanie wyłącznie do architektury klasycznej, czy też nie. W czasach Witruwiusza architektura miała formy przystosowane do zwyczajów przyjętych w społeczeństwie i nie zanosilo się na to, żeby jakieś wpływy obce mogły ją od-

mienić. Mimo to Witruwiusz nie czyni z nich kanonu. Formy architektury starożytnej usystematyzowano dopiero w XV—XVI wieku. Przez szesnaście wieków nie zajmowano się nimi. To też badania historyczne interesując się tym, co zaszło w ciągu tych szesnastu stuleci musiały, pośrednio zresztą, poddać analizie te wartości, jakie Witruwiusz zamyka w jednym słowie „Decor“.

Przypomnijmy sobie jak to Witruwiusz mówi: Decor jest udoskonaleniem wyglądu budowli, kształtami wypróbowanymi, wytwarzanymi ze znanstwem. Polega on na wprowadzeniu kształtów które się zwą po grecku „Sematismoi“, albo kształtów zwyczajowych, lub zaczerpniętych z natury“. (W. I, 2,5).

W zdaniu tym odnajdujemy wszystkie pierwiastki teorii środowiska uzasadniające płynność form architektonicznych i zmienność wszelkiego wyrazu formalnego.

Mówiąc o architekturze-nauce zastrzegaliśmy, że wszystkie jej składniki przenikają ducha architektury-sztuki. Czy tak jest rzeczywiście?

Ordinatio — niewątpliwie i bezspornie, bo porządkuje, dostosowując do właściwej symetrii tak wszystkie części dzieła, jak też i jego całość. Posiłkuje się przy tym wielkościami zwanymi po grecku „posotes“ (miarami). Miary te stanowią o właściwym wyglądzie całego dzieła, wynikającym nie tylko ze zgodności jego wymiarów z wymiarami oddzielnych jego części, ale nadto *zmieniają się w zależności od rzeczywistej* (a nie względnej-proporcjonalnej) *wielkości dzieła*. Witruwiusz mówi o tym wyraźnie, określając warunki zmienności entazis kolumny. (W. III, 5,8).

Dispositio — jest poniekąd czynnością techniczną projektowania i obawy nasze idą raczej w kierunku lęku przed nadmiarem intuicyjności pracy twórczej.

Eurythmia — stanowi przedmiot wielokrotnych rozważań Witruwiusza. Niemal cała księga trzecia jest jej poświęcona. Cóż bowiem oznacza owe „pięć typów świątyni“, jak nie badanie wartości estetycznej rozmaitych rozstawów kolumn. *Eurythmia* jest czynnością myślową, mającą na celu segregowanie wrażeń wzrokowych. Powiedziano już tutaj, że *Eurythmia* jest sposobem wyrażania piękna części dzieła przez uporządkowanie wymiarów tych części. Definicja taka znajduje zastosowanie w odniesieniu do wszystkich szkół architektonicznych świata. Stanowi ona uzupełnienie *ordinatio*, które stwarza układ (porządkuje) części w jedną całość. Porządek ten powinien być przeprowadzony konsekwentnie w iknografii (planie), ortografii (zasadzie) i scenografii (w przestrzeni).

Symetria — jest, jak to już wiemy, zgodnością wymiarów oddzielnych części budowli. Zachowanie symetrii ma na celu tę samą estetykę miarową, co *eurythmia* i *ordinatio*.

Mówiąc o nauce zdefiniowano te różnice bardzo ściśle i nie ma potrzeby tutaj do nich powracać. Wprowadzenie nowych materiałów budowlanych, nowych miar (wytrzymałościowych) zupełnie rzeczy nie zmienia. „Nauka dobra była, szło o jej pełnienie“.

Gdyby architekt rzetelnie pojmował swe zadanie i oddzielał to, co może rozwiązywać całkowicie i bez reszty w dziedzinie myśli indukcyjnej, przekonałby się, że na myśl intuicyjną, na indywidualne wyczucie estetyczne, niestety nagminnie rozplenione, niewiele pozostaje miejsca. Prawie nic. Być może, iż *umiar* wymieniany w określeniu „*ordinatio*“ zalecający właściwe korzystanie z miar (*posotes*) byłby tym jedynym układem „wyczucia estetycznego“, gdyby nie to, że *umiar*, jako pojęcie normatywne, wyraż-

nie kieruje myśl naszą ku zagadnieniu *charakteru*, a więc w stronę *moralną* naszego działania.

Działanie to, jeśli ma doprowadzić do osiągnięcia zamierzonych celów, musi być oparte nie tylko o znajomość zasad, podstaw naukowych architektury, ale także, jak to usiłowaliśmy tutaj wykazać, powinno się opierać mocno na znajomości człowieka i jego psyche, ażeby to, co mu pokazujemy, mógł zobaczyć w postaci *ideowo* nieskazitelnej, chociaż w kształcie odmiennym.

Taki jest głęboki sens pracy myśli „przekształcającej tworzywo do postaci pomyślanej, jakiegokolwiek rodzaju byłoby to dzieło“.

I do jakiegokolwiek epoki by należało.

I deałem nauki jest zdobywanie wartości obiektywnych. I Dzieło sztuki tym jest doskonalsze, im bardziej jest subiektywne. W dziele architektury, będącym zarówno dziełem nauki jak i sztuki, staje się niezbędny jakiś czynnik nadrzędny, aby utrzymać równowagę pomiędzy obiektywizmem a subiektywizmem. Tym trzecim nadrzędnym i doskonałym czynnikiem jest *mądrość*.

Trzecia kolumna, Kolumna Mądrości, zamyka i usztywnia trójkąt sił duchowych, sił genetycznych dzieła architektury.

Rolę jej można porównać z kamieniem zwornikowym sklepienia, bez którego istnieć nie może doskonała w swej istocie gra sił wewnętrznych pozwalająca wykorzystać siłę ciężenia i siły międzycząsteczkowe, ażeby przezwyciężyć i opanować tę samą siłę ciężenia i te same siły międzycząsteczkowe.

Sklepienie, kopuła, to coś jakby mały kosmos przykrojony do miary człowieka.

Trójkąt sił duchowych, przyjęty za podstawę intelektualną działania architekta, stanowi równocześnie obraz pełnego uwzględnienia całości kształtu psychiki człowieka. W tak ujętej pracy architekta znajdują właściwe dla siebie miejsce

zarówno wyobrażenia jak i uczucia, jak wreszcie i zwłaszcza akty woli.

Dzieło architektury zbudowane na takiej „opoce“ zawierać będzie pierwiastek doskonałości. Nie mówię, że będzie doskonałe, lecz że będzie zawierało pierwiastek doskonałości. Tym samym człowiek, który przyłożył ręki do tego dzieła i natchnie je pracą swego rozumu i uczucia, będzie mógł żywić przekonanie, że chociaż nie jest doskonały, bo doskonałym być nie może, to jednak zmierza ku doskonałości, a tym samym kroczy drogą *zwyقیęstwa*.

Co wiemy o mądrości poza tym, że uchodzi ona za pierwszy dar Ducha Świętego, a także iż siedmiu mędrców starożytności położyło fundamenty filozofii starożytnej?

Zacznijmy od rozgraniczenia pojęć: nauka i poznanie. Maritain (Nauka i Mądrość) zwraca uwagę, że pierwszy człowiek przełożył wiedzę nad mądrość. Pojęcie wiedzy bywa rozumiane jako przeciwstawienie względem wyższych stopni poznania, „jest to wiedza o tyle, o ile przeciwstawia się mądrości i brana jest w mniej doskonałym stopniu poznania; nie mówi się bowiem o mądrości botanicznej lub lingwistycznej, ale mówi się o nauce lingwistyki lub nauce botaniki. Mądrość tedy jest poznaniem poprzez najwyższe źródła i poprzez najgłębsze i najprostsze oświecenie“. W tym znaczeniu wiedza-nauka oznacza poznanie poprzez szczegóły i uwarunkowania najbliższe i pokrewne.

W pewnym poniekąd stopniu wiedza przeciwstawia się mądrości. Napiera na nią tak, jak napierają wzajem na siebie klince sklepienia, utrzymujące się przez to w powietrzu.

Wiedza stawia sobie za cel różne zakresy. Szersze lub węższe. Może dążyć do poznania szczególnie pewnego i doskonałego, lecz częściej zmierza do pewnego rodzaju poz-

nania płynącego z ciekawości i wykształconego na czystym zamiłowaniu do rzeczy istniejących, na związaniu i współdziałaniu z nimi.

Aby uczynić jaśniejszym to, co tutaj powiedziano, weźmy przyk'ad czarownika lub znachora. Lekarz nabył pełną wiedzę, jaką mógł zdobyć na fakultecie medycznym. Posiadał stopień naukowy, posiada więc wiedzę lekarza. Lecz znając także zakamarki duszy ludzkiej, kryje się ze swym dyplomem udając znachora, gdyż posiadał równocześnie mądrość czarnoksiężnika. A czarnoksiężnik w jego osobie posiada równocześnie całkowitą wiedzę lekarza.

Tak więc mądrość jest doskonałością intelektualną. Porusza ona najwyższe energie spekulatywne inteligencji. Zaszczyt zrozumienia tej prawdy przypadł „siedmiu mędrcom“ starożytności. Nie dopuszczali oni nawet na chwilę, ażeby wiedza, ażeby nauki szczegó'owe, mogły rościć sobie prawo do przewagi nad mądrością i wchodzić z nią w zatarg.

Dla starożytności Mądrość była oczywistością pożądaną w najwyższym stopniu. Było to poznanie wolności spokrewniające człowieka z bóstwem. Nie podobna tutaj rozszerzyć się szeroko nad definicją mądrości, bo wypadłoby mówić o mądrości indyjskiej kontemplującej wyzwolenie i zbawienie, opartej o spekulacje metafizyczne, albo o mądrości greckiej, mądrości człowieka, mądrości rozumu, mądrości filozofów, „ustanawiającej się w swoim własnym porządku w swojej własnej linii doskonałego dzieła rozumu, *perfectum opus rationis*“. Mądrość grecka jest mądrością tego świata, mądrością ziemi.

My architekci żyjący i działający w XX wieku, nie możemy na tym poprzestać, podobnie jak nie moglibyśmy cofnąć się do metod budownictwa greckiego z czasów Pe-

rykleś, pomimo że zgodnie z wolą Perykleś, Fidiasz, Iktinos i Kallikrates zbudowali Parthenon, dzieło architektury zawierające wartości wiedzy, piękna i mądrości w kategorii niezrównanej.

Stwierdzamy to nie bez melancholii, chociaż właśnie przykład Parthenonu uczy nas o znaczeniu, o wielkim znaczeniu czynnika mądrości w architekturze.

Zadanie nauki w architekturze polega na szukaniu właściwej odpowiedzi na postawione pytanie. Głęboka mądrość słów filozofa greckiego, zamykająca się w stwierdzeniu „wiem, że nic nie wiem“, w ustach architekta inżyniera jest odpowiedzią niedopuszczalną i takiej odpowiedzi dać mu nie wolno.

Zadanie sztuki w architekturze polega na szukaniu właściwej formy dla odpowiedzi na to samo pytanie.

Natomiast architekt mędrzec, stanąwszy niegdyś przed Parthenonem, gdy ten jaśniał jeszcze pełnią czystości architektury Iktinosa i olśniewał najwyższym pięknem fryzów Fidiasza zapytał wręcz: I co dalej?

Zadumał się nad własnym pytaniem, nakłonił ucha ku falom morza Egejskiego, z którego wyłoniło się tyle bóstw, a wśród nich ucieleśnienie najwyższego piękna, w postaci Afrodyty, bogini Miłości.

Miłość! Oto has'o prawdziwie wielkiej Mądrości.

Ona podparła ludzkość w dążeniu ku doskonałości. Bo Miłość oznacza jedyne i słuszne ustosunkowanie się do spraw świata i człowieka; do człowieka i do wszechświata.

Powiedzieliśmy, że wszystko płynie i powtórzyliśmy piękne słowa Marka Aureliusza dające obraz życia: „Paszczka lwa, jad trucizny, wszystko, co szkodliwe, jest jak cieranie, jak błoto *nieodłącznością rzeczy pięknych, rzeczy dobrych*“.

„Nie sądź więc, że w tym wszystkim jest coś przeciwnego bóstwu, któremu cześć oddajesz, lub coś niegodnego jego wielkości, lecz zwróć swą myśl do źródła wszechrzeczy i zastanów się na chwilę nad tym, co widzisz przed sobą“.

Architekt-mędrzec, architekt-myśliciel naszego wieku, któremu już nie obce były nauki św. Pawła i wiedział z tych nauk, że: sprawiedliwy jest sam dla siebie prawem, przyjął postawę wyczekującą wypadków, jakie nastąpią. Bieg życia, nic innego jak tylko bieg życia i jego spraw, mógł i musiał stworzyć nowe okoliczności, nowe warunki, w których „praca myśli miałaby dokonać przemiany nowego tworzywa do postaci pomyślanej w *nowych okolicznościach* jakiekolwiek będzie to dzieło“.

Nauka zawarta w Parthenonie, sztuka układania i przyciosywania kamieni według prawideł optyki, nie przedstawiała żadnej praktycznej wartości dla Izydora i Antemiosa budujących z pumeksu kopułę Kościoła Mądrości Bożej w Konstantynopolu: Haghia Sophia, albo św. Zofia.

Mądrość Boża, pod której wezwaniem budowano pierwszą wielką kopułę chrześcijaństwa, zmieniała postulaty starej mądrości greckiej i rozwijała w pewnym stopniu początkowe postulaty mądrości wschodu, której charakter posiadał pewien ascensus, pewien *pęd ku górze*, uzmysłowiony jakgdyby uniesieniem ku górze tej kopuły pełnej jeszcze pierwiastków kultury wschodniej, a w stuleciach łacińskiej architektury francuskiej wystrzelał już śmiało przerzutami łuków przyporowych i sklepień gotyckich, by dać światło słoneczne nawie, a światło ducha tłumom pragnącym dojść do stanów nadludzkich, pragnących wejść do wolności boskiej.

Mądrość grecka była mądrością człowieka, mądrością rozumu, miała *wymiary człowieka*, tak jak grecka architektura brała sobie za miarę *proporcję człowieka*. Mądrość ta nie tylko miała ideę tego, czym być powinna, ale także usadowiła się mocno w rzeczywistości. Udało się jej istnieć niejako w szkicu i nadziei (Maritain). Co więcej udało się jej osiągnąć piękno.

Maritain tak je ujmuje: „Piękność własna greckiej mądrości jest pięknem genialnego szkicu, gdzie przynęty i punkty istotne są oznaczone z niezawodnym artyzmem. Ona nie mogła być wykończona i nie została wykończona z żadnej strony“. Ani ze strony metafizyki, ani ze strony nauk, ani ze strony moralności.

Starożytność zostawiła po sobie szereg systemów filozoficznych, mądrości wzajem ze sobą rywalizujących, lecz nie zdołała stworzyć hierarchii mądrości, która daje syntezę. Wszelkie zdobycze cywilizacji średniowiecznej, pomimo licznych niedociągnięć płyną stąd, że umiała ona oprzeć się na porządku ducha mądrości, porządku ducha, w którym znalazły swoje właściwe miejsce wszystkie inne porządki bardziej widzialne, społeczne, polityczne, ekonomiczne, które z całkowitym poszanowaniem należnego im miejsca stanowią jedynie część drugorzędną, wobec całości porządku ducha.

Nie chodziło tutaj o zwykłą dyspozycję niejako „architektonicznego uporządkowania“. „Wszystko płynie z mądrości wszechświata“ powiadał wszak jeszcze Marek Aureliusz. „Wszystko jest ruchem“ — powtarza jak echo Maritain — dwie otchłanie wzywają się i wznoszą jedna w drugiej. Ale ta otchłań rozpoczyna się z góry“. To też warto zastanowić się nad mądrością zamkniętą w słowach św. Tomasa: „In misterio incarnationis magis consideratur des-

census divinae plenitudinis in naturam humanam, quam profectus humanae naturae quasi praeexistentis, in Deum“.
(Sum. Theol. III, 34, 1, ad 1). (W tajemnicy Wcielenia ruch zstępowania boskiej pełni w głębie natury ludzkiej waży więcej, niż ruch wznoszenia się ludzkiej natury ku Bogu).

Tak więc mądrość jest darem spływającym, który człowiek może i powinien rozwijać pracą myśli, doskonaląc nie tylko rozum, lecz także, a nawet przed rozumem — charakter.

Rozumem możemy nawet pojąć czasem, chociaż rzadko, sprawy tego świata, naszej sztuki, naszego rzemiosła. Ale *mądrość* musi *przeniknąć* nasze posłannictwo.

Mądrość powstrzyma naszą rękę, gdy ta będzie chciała popełnić szaleństwo. Mądrość każe nam zastanowić się, gdy zapał młodości zawoła: „Łam, czego rozum nie złamie“.

Bowiem nie łamać, nie niszczyć, lecz budować — to nasze posłannictwo.

Mądrość ci podpowie, że tak jak w porządku liczb nie masz ani końca, ani początku, tak i w porządku problemów architektury też nie masz ani początku, ani końca.

Puśćmy wodze wyobraźni i przedstawmy sobie, że stoimy przed drogą naszym sercom pamiątką, a bezspornej i wielkiej miary dziełem architektury Zamkiem Królewskim na Wawelu. Możemy się do niego zbliżać, a wówczas zamek rośnie w naszych oczach. Rośnie coraz bardziej, aż urośnie tak dalece, że ogarnie nas całkowicie, jeśli wejdziemy pod sklepienie portalu. Rozumujmy: skoro zamek jako całość sama w sobie i w swoich szczegółach jest dziełem architektury, co przyjęliśmy w założeniu i stanowi przez to pewien problemat architektoniczny, to problemat ten istnieje niezależnie od tego, gdzie ja się znajduję, czy patrzę na nie-

go z zewnątrz, czy stojąc pod sklepieniem portalu. Lecz aspekt jego uległ zmianie. Urósł formalnie w stosunku do mnie, znajdującego się pod jednym z jego sklepień. Ogarnął mnie fizycznie jako całość, pozwalając dostrzegać wzrokiem jedynie szczegóły jednego ze swych fragmentów, tak, jak ja ogarniam go duchowo, gdyż *znam* go jako całość.

Dostrzegam wzrokiem niektóre fragmenty, które myśl moja umiejscawia w całości zamku określając je: to jest sklepienie bramy, a to zwornik arkady wprowadzającej mnie pod podcienia zamku zbudowanego tak a tak, wtedy i wtedy, przez tych i tych. Oczy moje podziwiają motywy renesansowe lub gotyckie, ale *oczyrna duszy* widzę całość.

Ale mogło być także inaczej. Zamiast zbliżać się do zamku mógłbym się od niego oddalać, mógłbym na skrzydłach samolotu wznosić się coraz wyżej nad nim. Kontury zwolna zacierałyby się, wspaniały zamek Jagiellonów malałby coraz bardziej, zmieniając się w punkcik na tle całego Krakowa, a gdybym się wznosił jeszcze wyżej, to i cały Kraków zatarłby się jak „jakaś sfumatura“ ledwie znacząca nikłą smugą na rozłogach krajobrazu.

Cóż takiego zaszło? Oto ten sam problemat, który przed chwilą rósł optycznie aż do całkowitego fizycznego ogarnięcia mojej postaci, teraz zmalał do nic nie znaczącego punkciku, kropeczki na mapie. Czy rzeczywiście punkcik ten przestał mieć znaczenie? Czy zaszła jakakolwiek zmiana w układzie zamku? Czy oglądany z wysokości kilku tysięcy metrów Wawel stracił jakikolwiek z motywów architektonicznych, którego być może w tej samej chwili ktoś dotyka pełną pietyzmu dłońią? Nie, żadne zmiany nie nastąpiły. Zamek stał jak stoi, zarówno wtedy, gdy do niego wchodziłem jak i teraz, gdy hen, wysoko, zawieszony pod

niebem ogarniam wzrokiem nie tylko zamek, ale i potężny szmat świata dokoła.

Nie ma więc początku ani końca, nie ma miary dla problemów absorbujących myśl architektoniczną. Zasięg wzroku myśli architektonicznej nie jest ograniczony niczym innym, jak tylko i wyłącznie mądrością tego, który myśli.

Bo nieskrępowana myśl architektoniczna może doprowadzić do absurdu chociażby drapaczy chmur, budowanych z jedną myślą: byle wyżej!

Architekt, który stawia sobie wyłącznie cel formalny i powiada: muszę zbudować kopułę, albo: muszę zbudować drapacz chmur, popełnia niedorzeczność i lepiej by uczynił, gdyby powiedział sobie: zbuduję wieżę Babel. Przynajmniej zyskałby to, że w nagrodę swego trudu dostałby pomieszczenia zmysłów.

Dzieło ręki musi powstawać w ścisłym związku z pracą myśli, a praca myśli musi być kierowana określoną wolą.

Człowiek może się posługiwać zarówno nauką jak i sztuką źle i dla zła, nawet g'upio dla g'łupstwa, dla mrzonki. Natomiast jeśli się posługuje *mądrością jako cnotą*, może używać jej tylko dla dobra.

W tym, co tutaj mówimy, nie chodzi bynajmniej o nawrót do jakiegoś mistycyzmu średniowiecza, ani tym bardziej stwarzania nowego średniowiecza. Nikt nie chce odrzucać ogromnego i wspaniałego rozwoju nauk w ciągu tych ostatnich wieków. Ale mieliśmy niejednokrotnie w ostatnich zwłaszcza czasach możliwość przekonać się, jak błędnym było mniemanie ugruntowane na przełomie XVIII-go i XIX-go stulecia, jakoby nauka sama przez się była mądrością, nauka jako nauka o zjawiskach i szczegółach faktów. „Nauka, która liczyła kamienie w potoku“.

Tak pojmowana nauka stała się Chilonem Chilonidesem ludzkości, o tyle bardziej nieszczęśliwa od greckiego cynika, że nie oczyścił jej płomień męczeństwa w ogrodach Nerona.

Nie można żądać od Nauki, żeby schodziła ze swej orbity. Nauka ciąży coraz bardziej w kierunku swego czystego typu, który zasadniczo zawiera w sobie to, że *nie jest ona mądrością*.

Nauka jest dobra i istnieje sama w sobie. Istnieje poza człowiekiem, poza jednostką. Człowiek ją poznaje. Człowiek ją czci. Człowiek posiłkuje się tajemnicami, które od niej pozyskał, ale czyni to dla swoich celów. Czyniąc tak postępuje albo dobrze, albo mądrze, albo głupio.

Gdyż Mądrość w przeciwieństwie do nauki istnieje w ścisłym związku z Istotą. Może to być Istota Nadprzyrodzona, może to być człowiek: mędrzec lub uczony, wielki lub maluczki to obojętne, lecz musi to być ktoś, na kogo spłyneła łaska Mądrości.

Człowiek obdarzony mądrością może stać się aniołem dobroci lub demonem zła. Ale zarówno w jednym jak i w drugim wypadku zwiąże swoją *wolę* myśl i uczucie, naukę i sztukę do działania, jakie dyktuje mądrość.

Czego żąda Mądrość architekta od nauki architektury?

Mądrość żąda od nauki dostarczenia środków rozumowych dla wszechstronnego przemyślenia i zrozumienia każdego zadania, jakie wypada rozwiązać. Żąda od nauki odnalezienia środka ciężkości problemu. Boć środek ten będzie przesuwiał się w stronę zagadnień przeważnie ekonomicznych, albo przeważnie społecznych, przeważnie higienicznych, lub przeważnie gospodarczych. Kiedy indziej może się on wymykać z zasięgu nauki w dziedzinę sztuki.

Wszystko jedno. Obowiązkiem nauki jest wskazać beznamyślnie ten punkt ciężkości i wówczas, zależnie od wyni-

ku rozumowania, przygotować środki niezbędne dla zamiany pracy myśli w „tworzywo dla spełnienia zamierzonej funkcji“. Dzieło zbudowane stanie się funkcją myśli naukowej, podporządkowanej woli kierowanej mądrością.

Czego żąda Mądrość architekta od architektury — sztuki?

Mądrość żąda od architektury-sztuki, aby w czynnościach porządkujących składniki dzieła nie wypaczała tych wartości, jakie otrzymała od nauki, nie naginała ich do celów nie mających związku z istotą dzieła, lub sprzecznych z jego naturą. Przestrzega, żeby rzeczy, które otrzymała od nauki jako pewne i uzasadnione, nie traktowała jako niepewne, nieuzasadnione i dowolne.

Gdybyśmy mieli szukać porównań nie obawiając się wywołać zgorzenia, to porównalibyśmy dzieło architektury stworzone z zaniedbaniem wartości ścisłych, do pięknie wykonanego trzewika, w którym ćwiek przebił podeszew. Trzewik zachwyca nasze oczy tak długo, dopóki nie włożymy go na nogę. Gdy się to stanie, wówczas zapominamy o jego kształcie, kolorze i wdzięku, natomiast nasza cała świadomość koncentruje się w doznawanym bólu.

Mądrość żąda od architekta, żeby wykonywał nie tylko piękne, ale także i wygodne trzewiki. Bo trzewiki nie są po to, żeby patrzeć na nie z zachwytem, ale żeby *chodząc w nich* budzić zachwyt zwłaszcza wtedy, jeśli się jest piękną i wytworną kobietą.

Pomiędzy Nauką i Sztuką powinna istnieć doskonała harmonia. Harmonię tę wnosi pomiędzy nie właśnie Mądrość. Brak tej harmonii doprowadza życie do absurdu. Stwierdzić należy, że pod tym względem wiele zaniedbano na całym świecie.

Rzucono has'o sztuka dla sztuki i doprowadzono sztukę do upadku¹⁾).

Rzucono hasło nauki samej w sobie i dorobek naukowy dostał się w ręce podpalaczy świata.

Nauka poszła w swym obiektywizmie tak daleko, że chwilami trudno ustrzec się wrażenia oschłej obojętności w jej stosunku do spraw tego świata. Człowiek wkraczający do świątyni nauki nie może się oprzeć uczuciu, że oto znalazł się w przedsionku pałacu Piłata.

Chodząc po wystawach obrazów i oglądając wydawnictwa poświęcone architekturze i sztuce, nie mamy wątpliwości, że zamiast patrzeć *na dzieła* oglądamy *preparaty*.

Badacze historii architektury stwierdzają, że wszelkie formy architektoniczne znajdują swe uzasadnienie w czasie i przestrzeni, przy czym:

1. Nie jest obojętne położenie geograficzne miejscowości w jakiej budowano gmachy.

2. Nie pozostaje bez wpływu na kształt dzieł architektury klimat, w jakim je budują. Nikt na pustyni arabskiej nie wznosił dachów normandzkich, choćby dlatego, że nie mógł znaleźć kawałka drzewa.

3. Ma kolosalne znaczenie dla formy budowli charakter geologiczny podłoża, bo z niego czerpie się marmury, granity, wapienie i piaskowce, a nawet glinę, z której się wypala pocziwą i potulną cegłę.

Jeżeli warunki fizyczne mają swoje znaczenie, to cóż mówić o znaczeniu epoki?

¹⁾ Widziałem salę tortur psychicznych, jakie stosowano w czasie wojny domowej w Hiszpanii, wybudowaną według zasad malarstwa surrealistycznego. Podobno trzy dni pobytu więźnia w tej celi wystarczało, by doprowadzić go do rozstroju nerwowego.

4. Przecież od niepamiętnych czasów, bo przedhistorycznych, czynnik *kultu* był tym właśnie, który tchnął *ducha* w dzieło budownictwa i przekształcił szafas w świątynię.

5. Przecież skupianie się ludzkości w osiedlach, przysiółkach i miastach tworząc społeczności rozszerzyło do niesłychanych rozmiarów problem architektury i stworzyło jej odrośle w postaci urbanistyki i regionalistyki.

6. Przecież wielkie pasmo historii stworzyło ów długi i barwny korowód stylów historycznych...

Badacze historii istotnie stwierdzają oddziaływanie powyższych czynników na tworzenie się dzieła architektury. Ale tak sporządzony index wygląda jak stos kółek i sprężyn rozrzuconych na stole: Oto leży zegarek. Wszystko, z czego się on składa, macie przed sobą. Pięknie, ale jeżeli mam zegarek, to chciałbym także wiedzieć, która godzina?

Na to pytanie nie odpowiadają mi ani kółka, ani sprężyny. Ktoś musi przedtem złożyć i nakręcić zegarek.

Parthenon zbudowała wola ludu ateńskiego pod przewodnictwem Peryklesa.

Chartres zbudowała żarliwa wiara ludu francuskiego pod przewodnictwem św. Ludwika.

Piramidy zbudowała pycha Faraonów rękami tłumów niewolników pod batogami poganiaczy, a cudy niemieckiej architektury przemysłowej zbudowała pasja władania rękami milionów niewolników pod patronatem naszego „drogiego“ kolegi Speera.

Oto wymowa faktów, jak myślę, dostatecznie przekonująca, aby przywrócić należne miejsce dla Haghia Sophia w twórczości architekta.

Tylko ona może się stać tym *spiritus movens*, który uczyni naukę pięknem, a piękno — mądrością. Tym ce-

mentem, który zespoli w jedną nierozzerwalną całość trzy kolumny architektury, te zaś czarować będą nasze serca równie silnie, jak napawają nasze oczy trzy kolumny wy-ciosane z paryskiego marmuru i śmigające ku niebu z ruin Forum Romanum.

Mądrość, Nauka, Sztuka i... Miłość, która się niegdyś wy'oniła z fal morza egejskiego, opromieniła swym uśmiechem marmury Parthenonu, wyzłociła mozaiki Haghia Sophia i pocszła poprzez wieki zjawiając się zawsze tam, gdzie zawitała prawdziwa Mądrość.

S w. Augustyn powiedział: „Zrozum, byś mógł wierzyć — wierz, byś mógł zrozumieć“. Zdaje mi się, że w słowach tych zamyka się cały sens mistyczny związku Nauki z Mądrością.

Ażeby nasze rozważania, jakie tutaj przeprowadziliśmy, wydały należyty i niezbędny plon, nie wystarczy wysiłek, z jakim starałem się uzasadnić słuszność pewnych tez, muszę nadto odwołać się do ufnej cierpliwości tych, do których przemawiam.

Dlatego z całą nieśmiałością odwołuję się do słów św. Augustyna i powtarzam jak echo: wierz, byś mógł zrozumieć.

Wierz. iż myśl, jaką zamknąłem w moich dotychczasowych trzynastu rozważaniach, nie jest i nie chce być jere-miada. Nie zamierzam dokonywać wzorem Savonaroli „brucciamento della vanità“. Daleki jestem od nazwania marnością owych pięknych „ghirlandi“ wykonywanych przez złotników na Ponte Vecchio, bo przecież te „ghirlandi“ były po pierwsze bardzo piękne, a po drugie ci, którzy je wykonywali, wspinali się na najwyższe szczyble sławy w zakresie nie tylko cacek jubilerskich, ale także wbijali słupy milowe włoskiego renesansu. Jeden z nich postąpił w swej sztuce tak wysoko, że imię zawodowe pisane przed nazwi-

skiem Domenico Bigordi małą literą: ghirlandajo zamienił szlachetnością swej sztuki na imię własne i wszedł do Panteonu malarstwa włoskiego jako Ghirlandajo, wielki mistrz i nauczyciel wielkiego ucznia Michała Anioła Buonarotti. W jego pracowni nabył biegłości pędzla mistrz zawsze ze wszystkiego niezadowolony, która mu się przydała, gdy malował w mrocznej sali Sykstyńskiej potężne płachty Genezis.

Jest pewien marmur obkuty ręką Michała Anioła, któremu ponury tytan nadał imię „Zwycięstwo“. Zapytasz, jak wygląda zwycięstwo w pojęciu arcyministra Złotego Wieku, epoki najwyższego rozkwitu wpływu humanistów?

Oto nad powalonym przeciwnikiem stanął młodzieniec zwycięski. Przyciska kolanem skulone ciało wroga do ziemi i podniósł rękę do ostatecznego ciosu. Spójrzysz na jego twarz. Czy to jest oblicze zwycięzcy? Nie. Wprawdzie mięśnie jego ciała są jeszcze napięte, chociaż kolano ciśnie mocno, lecz woła walki już się załamała. Myśl jego odbiegła daleko, oddzieliła się od walczącego ciała i walczy teraz sama z sobą. Do duszy zwycięzcy zawitała rozterka i powstrzymała jego dłoń przed zadaniem morderczego ciosu bezbronnemu już i bezsilnemu przeciwnikowi.

Zwycięzca został zwyciężony. Broń z ręki młodego atlety została wytracona przez myśl. Ciało jego złamało brutalną siłę przeciwnika, lecz dusza zawahała się przed morderstwem.

Usta bojownika poczuły gorzki smak zwycięstwa.

Vasari opisując żywot architekta Filippo Brunelleschi, przytacza epizod, jaki się rozegrał pomiędzy nim, a znakomitym rzeźbiarzem Donato di Niccolo di Betto Bardi, zwanym krótko Donatello.

Oto mniej więcej słowa artysty-kronikarza: „W tym czasie Donato wykończył krucyfiks drewniany, który umieszczono w kościele św. Krzyża we Florencji, ponad freskiem namalowanym przez Taddeo Gaddi. Zaciekawilo go, co też powie Filippo, lecz prędko pożałował swojej ciekawości, gdyż Filippo rzekł: — Powiesiłeś na świętym Krzyżu zwykłego człowieka, takiego jak ty, jak ja, ale to nie jest Chrystus, Bóg, który zstąpił na ziemię, by cierpieć za nasze grzechy. Urażony rzeźbiarz odpowiedział cierpko: — Zrób lepiej, jeżeli potrafisz. Filippo, który się nie obrażał, cokolwiek by mu powiedziano, nawet wówczas, gdy go wyraźnie przyciskano do muru, zamknął się w pracowni na kilka miesięcy, które zużył na rzeźbienie, również w drzewie, ukrzyżowanego Chrystusa tej samej wielkości, co krucyfiks Donatella, ale o rysunku i wykonaniu tak wspomniałem, że gdy pewnego dnia pokazał go Donatellowi, który nie domyślał się nawet, nad czym Filippo pracuje — ten zobaczywszy krucyfiks wpadł w zachwyt nie do opisanania, widząc z jakim mistrzostwem Filippo wyrzeźbił nogi, tors i ramiona tej figury, nadając postaci wyraz niezwykły. Donato uznał się za pokonanego i głosił wszędzie, że dzieło Brunelschiego jest prawdziwym cudem.

Oto prawdziwy Bóg, który wziął grzechy ludzkości na siebie.

A my dodamy:

Oto prawdziwe zwycięstwo, źródło radości walczących, wolne zupełnie od posmaku goryczy.

Takich zwycięstw szukajmy, bo to są zwycięstwa prawdziwe.

Stara'em się wytknąć słupy milowe drogi prowadzącej do tych zwycięstw. Nie będę ich powtarzał, bo każdy własną myślą może dowolną ilość razy przemierzyć tę drogę. Ale

należałoby wytknąć cel, bo zwycięstwo polega na osiągnięciu zamierzonego celu. Widzieliśmy, że Kalwaria była usiana cierniem i widzieliśmy, że ciernie te kaleczyły stopy Sprawiedliwego. Lecz Sprawiedliwy szedł wytrwale do swego celu, chociaż cel ten miał się stać męczarnią.

Nam też powinien przyświecać cel.

Mylisz się, jeżeli przypuszczasz, że ja ci ten cel wskażę. Tego nie uczynię i to dla dwóch przyczyn.

Po pierwsze dlatego, że nie jestem powołany, by komukolwiek wskazywać cele, a po drugie, że mógłbym co najwyżej wskazać ci swój cel. Ten cel mógłby być nawet bardzo piękny, ale to byłby mój cel, a nie twój.

Inny jest kierunek prowadzący do mojego celu z miejsca, na którym ja stoję i skąd ja na świat spoglądam, a inny z twojego miejsca. Trasa twojego dążenia do mojego celu będzie inna i wskazówki, jakich mógłbym ci udzielić, byłyby mylne.

Dlatego jedyna rada, jakiej mógłbym ci udzielić, to przestrzec, jakich celów nie warto i nie trzeba sobie wyznaczać.

Nie chciałbym przecież, abys w momencie zwycięstwa miał kogoś powalonego u stóp.

Nie chciałbym, aby zwycięstwo pozostawiło ci w ustach smak goryczy, a cierpiałbym, gdyby wargi twoje tego smaku nie poczuły.

Odczytywaliśmy tutaj kilkakrotnie następujące słowa Witruwiusza: „Praca myśli dokonywa rękoma przekształcenia tworzywa do postaci pomyślanej, *jakiegokolwiek* rodzaju byłoby to dzieło“.

Praca myśli... Z rozważań naszych wynikało, że praca myśli może być dobra i może być też zła. Uczciwa i nieuczciwa. Może przekształcić tworzywo-materię dla człowieka,

aby stworzyć z niej dzieło, które służyć będzie mądrze i pięknie powszechnemu pożytkowi; ale może pognać człowieka rywala, może nawet kolegę, przyjaciela, aby pozyskać materię korzyści, zysku. A więc: „Zwyciężyć materię dla człowieka“ będzie celem dobrym. A tak często stosowane w „praktyce życia“ hasło: „Zwyciężyć człowieka dla materii“ (zysku, rozgłosu, ambicji) powinno być celem usuniętym z pola widzenia architekta, który pragnąłby uchodzić za „Ucznia Ciesli“.

Rozważajmy dalej, co mówi Witruwiusz:

„Praca myśli dokonywa rękoma przekształcenia tworzywa...“

A więc wszystko, co czynimy w naszym zawodzie, a więc rysunki lub zlecenie dane na budowie, jako oparte o pracę myśli, będąc wiernym odbiciem naszej myśli, powinno dawać obraz myśli rozumnej, pięknej i dobrej.

Jeżeli wykonujemy rysunek, nazywany przez niektórych „mową architekta“, niechaj on będzie zaprzeczeniem pewnego dowcipnego frazesu, który głosi: „mowa jest po to, aby ukryć właściwy sens myśli“.

Niechaj nasza mowa, nasz rysunek ukazuje właściwy sens myśli. Wyrzucmy z niego precz to wszystko, co ludzi, co jest tylko przyprawą, a nie istotą rzeczy. Masz talent, to dobrze, ale przezwycięż w sobie reklamiarstwo, dobre, gdy się sprzedaje mydełko.

Czy nigdy nie zastanawiałeś się nad dziwnym związkiem psychologicznym, jaki zachodzi pomiędzy jakością mydła toaletowego i jego pięknym opakowaniem?

Przecież kupując mydło wiemy, o co nam chodzi. Inaczej to rozumie usłużny sprzedawca. Rozrzuca przed nami stos mydeł o najrozliczniejszych kształtach, zapakowanych niesłychanie wytwornie w różnobarwne papierki.

Wiesz dobrze, że przyszedłszy do domu odwiniesz mydło z papierka, który wrzucisz do kosza i zapomnisz o nim. A jednak mimowoli poddajesz się, jak dziecko, urokowi kolorów lub pięknych twarzyczek. Rozważasz i bezwiednie poddajesz się fikcji i obłudzie reklamy.

Lecz co jest dobre z punktu widzenia reklamy handlowej w branży perfumeryjnej i w tej kategorii pod względem moralnym nie budzi żadnych zastrzeżeń, to nie przystoi architekturze.

Nie takie cele powinny być bodźcem do szukania „smaków“ i podań twojej architektury.

Jeśli zaś są takie same, to możesz być pewien, że prędzej czy później twoje projekty podziela los papierków od mydełek i razem z reklamowymi „wampami“ znajdą się w koszu.

Myślę, że ta druga rada jest równie uczciwa, równie ostrożna i tak samo, jak poprzednia, nie odciąga nikogo od prawdziwego zwycięstwa, ani nie wskazuje celu, do którego trudniej byłoby dotrzeć tobie, niż komuś innemu.

Zwyciężywszy siebie, gdyż odrzucenie „enigmu-błagi“ jest niewątpliwym zwycięstwem nad sobą, łatwiej i pewniej zwyciężysz materię. Rysunek twój przestanie osłaniać papierkiem reklamy istotę twego pomysłu. Nic nie pójdzie do kosza. Wszystko na budowę „by przekształcić tworzywo do postaci pomyślanej“...

„...*Jakiegokolwiek* rodzaju byłoby to dzieło“. Z naukowego punktu widzenia praca twoich myśli da więc wyniki bez względu na to, *jakiego* rodzaju byłyby twoje zamierzenia.

Tak jest istotnie. Osiągniesz wynik pozytywny lub negatywny, bylebyś myślał konsekwentnie i logicznie. Czyha więc tutaj na ciebie nowa zasadzka. Prawodawca dobrze

wiedział o tej zasadzce, której na imię pokusa, gdyż wydał mnóstwo przepisów mających zabezpieczyć interes publiczny oraz interes tzw. „osób trzecich“ przed uległością twego charakteru i sprzedajnością twego umysłu.

Niestety, tyran grecki i filozof w jednej osobie, noszący imię Solona, wypowiedział przed tysiącleciami głębokie i mądre słowa:

„Państwo jest wtedy dobrze rządzone, jeżeli obywatele słuchają władzy, zaś władza podporządkowuje się prawu“. Lecz jeżeli władza uważa prawo za haczyk do wyciągnięcia pieniędzy z kieszeni obywateli, a ci obywatele chętnie tę kieszeń otwierają dla władzy, by przymknęła oko, gdy zagląda do kodeksu?

To co wtedy? Wtedy „praca myśli“ przestaje służyć Mądrości pojmowanej jako cnota, a rozbiegane oczy stręzciciela architektury poczynają szukać miski Piłata.

Zwycięstwo, jakie możesz i powinieneś osiągnąć, ma kilka aspektów. We wszystkich tych aspektach ma ono tylko i wyłącznie charakter moralny. W ramach tego zwycięstwa nie masz ani pierwszych nagród na konkursach, ani złotych medali, ani „pierwszego miejsca w boźnicy“. Jeżeli takiego pragniesz zwycięstwa, to idź swoją drogą i wybacź, że tak długo trudziłem cię zbytecznymi naukami. Usuń skrętnie z twojej pamięci echo słów, które tutaj były powiedziane, bo może ono zmącić miłą melodię pochlebstw, nieodłącznych towarzyszy *powodzenia*, o którym tutaj głucho, gdyż ono niewątpliwie jest jednym z najgroźniejszych przeciwników zwycięstwa.

Idź swoją drogą, jeno przedtem uważnie i starannie strząśnij pył z sandałów, bo może przedostało się pod rzemienie jakieś ziarenko wątpliwości, które niepotrzebnie bę-

dzie odciągało twoja myśl ku sprawom, których wspomnienie zamąci błogość twego sukcesu.

Byłoby sprzeczne z założeniem tych rozważań, gdybym umieszczał zwycięstwo na szczycie piramidy.

Na tej drodze, ku której pragnąłbym cię pociągnąć, wszyscy możemy zostać zwycięzcami.

Bo każdy może zwyciężyć swoją ambicję,
Bo każdy może zwyciężyć swoją chciwość,
Bo każdy może zwyciężyć swoją zawziętość,
Bo każdy może zwyciężyć swoją niechęć,
Bo każdy może zwyciężyć swoje lenistwo
Bo każdy może zwyciężyć swoją pychę,
Bo każdy może zwyciężyć swoją obłudę,
Bo każdy może zwyciężyć swoją sprzedajność,
Bo każdy może zwyciężyć swój cynizm,
Bo każdy może zwyciężyć swoją przewrotność,
Bo każdy może zwyciężyć swoją megalomanię,
Bo każdy może zwyciężyć swoją dwulicowość,
Bo każdy może zwyciężyć swoją zdradliwość,
Bo każdy może zwyciężyć swoją małość,
Bo wrzeście każdy może zwyciężyć siebie.

Jesteś architektem, to prawda. Lecz nim zostałeś architektem już byłeś człowiekiem. Więc przede wszystkim musisz żyć godnie jako człowiek, uczciwie jak człowiek przeżyć całe twoje życie, a dopiero w ramach twego uczciwego życia możesz wypełnić trud architekta.

Nie ma tak wspaniałego pomnika, który by usprawiedliwiał łajdakię życie.

Cel nie usłwięca środków. Zwłaszcza w pracy „Uczniów Ciesli”. Byłoby lepiej, żebyś przez całe życie nie położył jednej cegły na drugiej, jeśli cegły położone przez cie-

bie miały się stać kamieniem krzywdy ludzkiej, nawet jednego człowieka, a cóż dopiero ludzkiej społeczności.

Zwycięstwo nie wtedy będzie twoim udziałem, gdy z wysokości zdobytego stanowiska zaczniesz wydawać rozkazy mające przekształcić świat lub chociażby twoje miasto miłe w Utopię, czy też nawet w „Nowe Jeruzalem“, lecz wtedy gdy zszedłszy z wysokości tego stanowiska przepaszysz się rękawnikiem pokory i przyklękawszy obmyjesz wodą miłości stopy dwunastu, którzy cię słuchali.

Zwycięstwo do ciebie zawita wtedy, kiedy tych dwunastu pójdzie za tobą nie dlatego, by zbierać to, co kapać im będzie z twojego nadmiaru, lecz dlatego, by dzielić w ubóstwie twoją sprawiedliwość.

Kronikarz powiada, że malarz Duccio di Niccolo nie mógł wziąć udziału w uroczystości procesjonalnego przeniesienia „Ankony Sienneńskiej“, którą namalował dla katedry w Sienie, bo miał ubranie tak mocno zniszczone, że wstyd mu było iść za procesją i zwracać uwagę na swoją biedę. Duccio nie był zapoznanym artystą, przeciwnie cieszył się uznaniem swego miasta, które zwolniło go od podatków za zasługi dla Civitas Virginis, a tego dnia, w którym przenoszono kapiącą od złota „Ankonę“ składającą się z 26 pomniejszych i jednego większego obrazu, były sklepy zamknięte — pisze kronikarz — a biskup zarządził uroczystą procesję księży świeckich i zakonników. W pochodzie brali udział Signori Nove, wszyscy urzędnicy i cały lud... obchodzono całe „Campo“, podczas gdy po kościołach bito w dzwony na chwałę tak szlachetnego dzieła.

W tym czasie biedny twórca „tego szlachetnego dzieła“ jedynie uchem chwycił rozgłos wibrującej hukiem dzwonów uroczystości, bo lękał się zgorszyć lud wyświechtanym przyodziewkiem. Nie sprawił sobie ani kubraka, ani opończy,

bo wszystko, co otrzymał za „Ankonę“ poszło na złocisty wystrój szaty dla Madonny, którą jej składał w ofierze, jak głosi podpis na obrazie: „Mater Sancta Dei, sis causa Senis requiei, sis Duccio vita, te quia pinxit ita“. (Matko Boża, bądź dla Sieny źródłem pokoju, bądź życiem dla Duccia, który Cię wymalował).

Nikt dzisiaj nie wątpi, że Duccio w swej pokorze i prostocie był wdzięcznym uczniem św. Łukasza Ewangelisty, który pierwszy malował Niepokalane w swej istocie i piękności oblicze księżniczki z rodu Dawidowego.

Zwycięstwo nie było udziałem Michała Anioła, gdy kuśił papieża, by zburzył starą bazylikę św. Piotra.

Zwycięstwo nie było udziałem Berniniego, gdy złupił brązy Panteonu.

Zwycięstwo nie było udziałem Violet le Duca, gdy oczyszczał z pyłu wieków i nawarstwień stylowych katedry francuskie.

I napewno było zwycięstwem pyrrhusowym nadmierne wzbogacenie wystroju wewnętrznego komnat Wawelskich.

Natomiast niewątpliwym zwycięstwem było pełne poddania i szacunku uzupełnienie przez Antonio da Sangallo zdobności Piazza Santissima Annunziata we Florencji przez wierne powtórzenie motywów architektonicznych Ospedale degli Innocenti w architekturze gmachu, jaki stawał po stronie przeciwnej.

Niewątpliwym zwycięstwem odniesionym przez Giovanni Bartholomeo Buon w latach 1424—1438, przez Antonio Rizzo w r. 1484, przez Pitro Lombardo, przez Scarpagnino w 1540 było konsekwentne, w całkowitym „zapomnieniu na siebie“ rozwinięcie i dokończenie znakomitego pomysłu Baseggio, datującego się z lat 1309—1340.

które zostało uwieńczone sukcesem jednej z najpiękniejszych fasad świata: wysadą Palazzo Ducale w Wenecji.

Niewątpliwym zwycięstwem było opracowanie przez Palladio fasad „Bazyliki“ w Vicenzy.

Niewątpliwym zwycięstwem było podniesienie z upadku Campanilli San Marco.

Tak, jak niewątpliwym i bezspornym zwycięstwem było przywrócenie dawnej świetności Zamościowi, perle polskiej urbanistyki.

Gdyż, jeśli wolno jest tutaj wyrażać własne mniemanie, nigdy architekt nie wznosi się wyżej, nigdy nie zdobywa większych praw do szacunku kolegów i do wdzięczności swego narodu, niż gdy jawnie schyla głowę przed dziełem innego architekta i dając mu swoją pieczę, swój trud i swoje starania, przywraca piękno zakryte pyłem zapomnienia lub skorupą obojętności.

Jakąż bowiem mogę mieć pewność, że to, co wykonam, jako owoc mojej myśli i mojej ambicji, będzie lepsze od tego, co nie tylko że już zostało wykonane, lecz nadto pochlebnie ocenione przez „vox populi i vox competenti“?

Proletariusz Carlyle, którego w żadnym razie nie podobna pomawiać o snobizm, zapytany pewnego razu, co sądzi o schronisku weteranów w Chelsea (londyński odpowiednik bardziej znanego Palais des Invalides w Paryżu), budynku wzniesionym przez znakomitego sir Christopher Wreen'a, o prostej, cegłą licowanej architekturze, miał odpowiedzieć, iż aczkolwiek codziennie przechodzi obok niego, nigdy go nie zauważył. Nazajutrz jednakże przyjrzał mu się dokładnie i wróciwszy do domu zapisał w notatniku opinię, jaką powziął w tym względzie, zawartą w trzech słowach: „oczywiście dzieło gentleman'a“.

Jeżeli przyjąć tę nomenklaturę, to niewątpliwie San Gallo Buon, Lombardi, Palladio i ich następcy, którzy utrzymali się w ramach skromności i witruwiuszowskiej „przyzwoitości“, okazali się w pełni gentlemanami.

Sir Christopher Wren był wielkim architektem, jednym z największych, jeśli nie największym, jakiego wydała Anglia. Zbudował nie tylko znakomitą bazylikę św. Pawła, ale i mnóstwo pomniejszych kościołów w Londynie, a nadto pozostawił „ideali“ odbudowy Londynu po wielkim pożarze, jaki strawił to miasto w 1661 roku. Była to piękna praca myśli jak powiada Witruwiusz, która, niestety, nie zdołała „przekształcić tworzywa do postaci pomyślanej“, co jest tym przykrzejsze, że dzieło miało być nie „jakiegokolwiek rodzaju“, lecz dużej miary.

Sir Wren nie uczynił nic, aby walczyć z wolą społeczeństwa, które broniąc swych praw gruntowych uniemożliwiło wytknięcie wielkich szlaków urbanistycznych.

Londyn pozostał staroświecki, a sir Christopher Wren gentlemanem i architektem nieposzlakowanym.

Zwyciężył tym, że podporządkował się woli ogółu, nad który wyrastał o głowę.

Miał słuszność, lecz wolał ulec tym, którzy nie dorośli do tego, by pojąć, że to on ma słuszność. Ba! Gdyby posiadacze gruntów w Londynie mieli umysły na miarę św. Augustyna, wierzyliby, by móc zrozumieć, a zrozumiawszy, uwierzyliby, że Wren chciał tylko ich dobra i niczego więcej.

Tak rozumiem prawdziwe zwycięstwo.

Więc kiedy zwyciężę?

Zwycięzysz wtedy, jeżeli ustrzeżesz się od przekonania o własnej genialności i nauczysz się skromności, która jest cnotą.

Zwycięzys wtedy, jeżeli potrafisz się zdobyć na przyznanie innym tych wartości, których tobie nie dostaje.

Zwycięzys wtedy, jeżeli zdołasz powziąć postanowienie, aby droga, którą zmierzasz do swoich celów, nie szła w poprzek dróg, po których inni zmierzają do swoich celów. Jeżeli nikomu nie rzucisz kłody pod nogi.

Zwycięzys wtedy, jeżeli uda ci się powziąć postanowienie naginania materii dla człowieka, a nigdy nie naginać człowieka dla materii. I nie tylko powziąć to postanowienie, ale i wytrwać w nim.

Zwycięzys wtedy, jeżeli starczy ci charakteru, by podporządkować rysunek architekturze, a nie odwrotnie, przesłaniać wątpliwe wartości architektury błyskotliwym efektem modnego rysunku.

Zwycięzys wtedy, jeżeli zdołasz podporządkować wartościom nadrzędnym dobra i uczciwości wszystko inne, jeżeli ustrzeżesz się stręczenia swej wiedzy i talentów dla celów niegodnych lub choćby nieładnych.

Zwycięzys wtedy, jeżeli zdołasz powściągnąć ambicję zdobywania „pierwszych miejsc w bożnicach i pierwszych zasiadań na ucztach“.

Zwycięzys wtedy, jeżeli zdołasz zagłuszyć podszepty wybujałej ambicji architekta, a nakłonisz ucho głosowi uczciwego człowieka.

Zwycięzys wtedy, jeżeli przestaniesz obawiać się ubóstwa.

Zwycięzys wtedy, jeżeli postawisz sobie za najwyższy rygor architektury, którą tworzysz, „przyzwoitość“, którą zaleca Witruwiusz.

A jeżeli te rygory wydają ci się zbyt skomplikowane, to kieruj się chociażby tą jedną zasadą, która powiada, że:

Zwycięzys wtedy, jeżeli w każdej chwili życia potrafisz zachować postawę gentlemana.

Rozpoczynam ostatnie z moich rozważań poświęconych Architekturze i architektowi. Pragnąłem zebrać tu cały plon przemyśleń i spostrzeżeń, jakie zebrałem w przeciągu trzydziestu trzech lat, to jest od chwili, gdy jako młody student przekroczyłem po raz pierwszy mury uczelni, i złożyć go w ręce tych, którzy dopiero rozpoczynają zbierać swe własne doświadczenia. Chciałbym, ażeby wzięli z nich naukę.

Przed trzydziestu trzema laty „narodziłem się dla architektury“ i przez trzydzieści trzy lata patrzyłem, słuchałem, uczyłem się, piąłem się wzwyż, upadałem i raczej przegrywałem niż zwyciężałem. Zdarzały mi się chwile triumfu, ale poznałem aż nadto dobrze gorzki smak zawodu. Bywały krótkie chwile, że otwierały się przede mną duże możliwości, ale bywały także inne, kiedy spotykałem drzwi zamknięte. Większość tego, co tutaj mówiłem, ołbrzymią część materiału, który tutaj rozważałem albo sam wyczytałem z książek, albo wręcz przesunęła się przed moimi oczyma.

Wszystko, co czytałem, — wszystko, co widziałem, wszystkie żale, gorycze oraz zawody, jakie mi powierzono, przeszły przez alembik mego mózgu i krwią ciepłego uczucia skropliły się w moim sercu.

Potrzeba napisania tych rozważań dojrzewała długo. Wszakże nim dojrzała, zapuściła głęboko korzenie w mojej duszy. Korzenie zaś mają tę właściwość, że z wytrwałym uporem sięgają głęboko, coraz głębiej, aby dotrzeć do najtajniejszych zakamarków i sięgnąć po ożywcze soki tam, gdzie zwykłeś chować przed ciekawością ludzką mierzwę swego sumienia, a więc tam, gdzie nie chciałbyś, aby dotarło czyjekolwiek oko.

O *beatissimis* meis! — powiedział w pewnej chwili św. Augustyn. Z mierzwy, z próchna, z rozkładających się trupów wykwitają nieraz najpiękniejsze orchideje, oszałamiające kwiaty o barwie niepokalanej i przecudnym zapachu, byle tylko dać im życie i rozwijać się. Byle nie podcinać korzeni.

Celem tych rozważań było dogrzebać się do mierzwy sumień i złożyć w niej ziarenko *Dążenia*. Posiać w sumieniach *Myśl*, *Uczucie* i *Wolę*. *Myśl* — mądrą, *Uczucie* — piękne i *Wolę* — dobrą. *Wolę* czynienia, działania i postępowania — dobrze.

Podjąłem te rozważania w chwili wyjątkowej, przełomowej i trudnej: po siedmiu latach chudych wycieńczenia psychicznego, które były poprzedzone przez inne lata, niezbyt tłuste cnotami powszednimi.

„Nie niosę chleba. Nie mam nic przy sobie“. Przy noszę tylko te słowa, które usiłują podać „pracę mojej myśli, aby przekształcić tworzywo do postaci pomyślanej“.

Jeno że tym razem tworzywem, po które sięga moja ręka, ręka architekta, okaże się co innego, niż złocisty trawertyn lub różowy marmur paryjski, czy owiany rumieńcem jutrzeńki — Aurory kamień z Pentelikonu. Będzie to wątek twardszy od granitów, porfirów i bazaltów, jeden

z najtwardszych kamieni, jakie można spotkać na ziemi: kamień ludzkich serc.

Są białe wapienie francuskie, które wyjęte świeżo z kamieniołomu można krajać tak łatwo, jak się kraje biały, soczysty twaróg. Mamy podobne kamienie i w Polsce. Miękkie zrazu, dopiero w zetknięciu z powietrzem i z biegiem lat nabierają one takiej twardości, że później można z nich krześć iskry, jakby to był kamień.

Podobne koleje przechodzi opoka ludzkiego serca. Ono też jest zrazu miękkie, czułe, drgające, kiedy wchodzi w życie i podobnie jak biały kamień francuski, z czasem zatracą swą białość i twardnieje na kamień.

Ale jest coś, co mimo zewnętrznego podobieństwa różni twarde serce człowieka od kamieni ciosowych. Bowiem ciosy im twardsze tym lepsze są do budowy, tym śmielsze łuki można z ich pomocą przerzucać, a serce?

Im twardsze serce, tym lichszy budulec, tym nędzniejszy fundament, tym zdradliwsza przypora.

I byłoby może całkiem źle, wręcz beznadziejnie, gdyby nie istniał odczynnik, zdolny przywracać sprężystość sercom, mający moc wskrzeszać obumarłe odruchy, przygasłe wartości.

Tym odczynnikiem jest sumienie.

Z chwilą, gdy sumienie się ocknie, najtwardsze serce mięknie jak wosk, wątłe ziarenko *Dążenia* dociera tam, gdzie gniły trujące soki i mocą tajemnych sił, jak powiada Wypiański: „...użyźnia nowe pędy i życie nowe sieje wszędy“.

Stoję na uboczu i w perspektywie oddalenia dostrzegam łatwiej niż tacy, co stają tuż blisko, wypadki zbłąkania, przejawy zła, sprzedajności i dużo, dużo łatwych ścieżek,

po których nazbyt skrętnie uwijają się mrówki ludzkiej zachłanności.

Powstająca z gruzów Warszawa sprawia na takim, co ją tylko od czasu do czasu odwiedza, wrażenie „miasta baraków“ z powieści Jack'a London'a, gdzie co krok „saloon“ pełen poszukiwaczy złota. Napawa mnie to smutkiem, ale nie przeraża. My, którzy przeżywalismy pierwszą wojnę światową, widzieliśmy już Warszawę, co prawda nie tak strasznie pognębianą, ale po której również uwijali się ci sami, albo tacy sami ludzie, jak ci, co nas roztrącają dzisiaj na koślawych chodnikach.

Do odrodzonej stolicy zbiegano się wówczas z najdalszych krańców świata, a najpierwsi zjawiali się, jak i teraz, ci, co nie mieli dachu nad głową, kawałka chleba, koszuli na grzbiecie. Ci, co nie mieli nic do stracenia, a wszystko do zdobycia. Głowy pełne pomysłów i ambitnych planów. Dobrzy i źli, spryciarze i niedołęgi.

Szedł run na Warszawę. Zbiegano się jak po złoto, jak po diamenty. Brak mieszkań, brak pieniędzy, drożyzna, spekulacja, akcje, kupno, sprzedaż, afery, szantaże, kradzieże, oszustwa, zmowa.

Hałas, zamęt, ruch, pseudo-koniunktura. A tymczasem bruki pełne wybojów, domy odrapane, ulice ciemne, a woda dochodziła co najwyżej do pierwszego piętra.

Kupowano i sprzedawano. Wszystko i wszystkich. Oblędny taniec wokół chochoła, zrobionego z dwakroć wymłóconej słomy.

Nikt z tych, co pędzili na oślepe, nie spojrzął za siebie. Zajęty pościgiem papierowego złota nie miał czasu spogłądać na domy, które w on czas jeszcze były, lub na pałace, które wtedy nie patrzyły na ulice wypalonymi oczodołami okien, ani na kościoły, które miały i wieże i kopuły. Nie

chciał widzieć piękna świetnych podówczas Łazienek. Odwracał z niechęcią oczy od Zamku, na który nam nie dane jest już patrzeć.

Nie wzruszała go Katedra, Sakramentki, Bielany lub Czerniaków. Obojętny był mu Zygmunt i Kopernik. Obojętnie zdejmował czapkę przed płytą Nieznanego Bojownika Wolności.

Nic, jeno akcje, waluty, dolary, funty.

Dancingi, rewie, szlagiery, szmonces, kant.

Takie były pierwsze upojenia ówczesnej wolności, zmąconej dewaluacją, inflacją i spekulacją.

Warszawa musiała wtedy przejść infekcję tej zarazy zawleczoną przez ciemne typy, nadbiegłe z najróżniejszych stron przetasowanego zmiennymi losami wojny świata, aby szukać żerowiska wśród ludzkiej naiwności, głupoty i bezradności.

Stolica płaciła porękawiczne.

Przez krótki moment swojej historii Warszawa była wtedy Szanghajem.

Ale w krwi swojego ciała i w kćści swojej kćści zachowała cnotę najwyższą, której nic i nigdy wyrwać jej nie zdołało. Skarb, który w dwadzieścia lat później zabłysnął brylantami łez i rubinami krwi męczeńskiej w Powstaniu: bezgraniczną i niemal bałwochwalcza, chociaż pokrywaną uśmiechem andrusa, miłość wolności. W tej miłości nie dawała się wyprzedzić nikomu. Pierwsza biegła dać krew ofiarną w niezliczonych zrywach i powstaniach. Ona też zawsze najboleśniej srami i ranami opłacała tę miłość.

To samo stało się i teraz. Germański najeźdźca uderzył straszliwie po trzykroć. Po raz pierwszy w trzydziestym dziewiątym, po raz drugi w czterdziestym trzecim, po

raz trzeci w czterdziestym czwartym. Przepiękna na obrazach Canaletta Warszawa została zmieniona w kupę gruzów.

Nim usunięto gruzy, zanim pobierano prochy bohaterów, którzy o Jej wolność walczyli i walcząc legli pod gruzami, już pojawili się zdradzieccy szalbierze i szabrownicze hieny.

I gdybym nie miał w oczach perspektywy lat, kto wie? Może bym zapłakał, może począłbym się oglądać za „biczem z powrózków, ażeby wypędzić przekupniów ze świątyni“.

Ale w czyje oczy spojrzę, widzę: — To ten, który w czasie niemieckiej nocy był taki dzielny. To ten, który w czasie niemieckiej nocy był taki ofiarny. To ten, który w czasie niemieckiej nocy był taki wspaniały. To ten, który w czasie niemieckiej nocy był taki niezłomny. To ten, który w czasie niemieckiej nocy był naszą otuchą, naszą wiarą, naszym podtrzymaniem.

Nie mogę uwierzyć, ażeby piękny siew naszego Oporu, ażeby krwawy siew Powstania, aby bohaterstwo miały zniknąć bez śladu, zgłuszone kąkolem koniunktury.

Przeciwnie. Wierzę, że ten potężny wstrząs, który obalił nasze najdroższe pamiątki, wyrzucił także i z zakamarków naszych sumień całą nieczystość, wszystką mierzwę.

I dlatego w tej chwili wygląda to tak strasznie. Gdyby tak miało pozostać, to należałoby zapłakać i wciąć społem z Psalmistą: „Uragania i nędzy doczekało się serce moje i czekałem, kto by się społem smęcił, a nie było i kto by mnie pocieszył“. (Psalm 68,21).

Ale znowu wiodę wzrokiem dokoła i znowu widzę te same twarze, te same oczy, tych samych ludzi, którzy działali, którzy walczyli, którzy trwali.

I czuję na rozpalonym gorączką czole chłodny i błogi powiew nadziei, wiary i ufności.

Ten wiew niesie powiew Dążenia. Niesie powiew Walki.

Niesie powiew walki o myśl mądrą, o piękno duszy i serca, o wolę zwycięstwa tego, co dobre, tego, co uczciwe, tego, co szlachetne.

Wierzę, że taka chwila przyjdzie. Będzie to bardzo piękna chwila. Mądra myśl opanuje nasze umysły i zagrzeje nasze serca. Ustanie taniec chochoła. Zniknie zawrót głowy. Skończy się pścig za Chimeraą po ulicach Warszawy.

Przyjdzie chwila, a niepodobna wątpić, że taka chwila musi nadejść, że architekt zmęczony własnym kramarstwem otrząśnie pył codzienności z twardego obuwia, owego pancerza osłaniającego niezawodnie stopy przed ostrymi kamieniami, jakie roztrącał idąc na przełaj poprzez wszystko i poprzez wszystkich, aby pochwycić mamidło Fortuny, przysiadzie na złomku jakiejś ruiny i podda się natrętniej myśli, jaka się mimo wszystko trzymała jego głowy.

Natrętniej myśli architektonicznej.

Bywają takie chwile. Nawiedzają każdego architekta. Czasem jeden raz w życiu, ale nawiedzają i mają wielki potencjał.

W takich chwilach, jeśli zostaną spostrzeżone, a nie zlekceważone, dojrzewają idee. Zawile problemy stają się jasne. Człowiek zbłąkany znajduje właściwą drogę a człowiek zły zawraca.

Natrętna, wytrwała *myśl architektoniczna* szepce mu do ucha:

— Pamiętaj, przecież w czasie tych rozważań przypomniano, że najprostszym, najwspanialszym dziełem architektury jest krzyż, zawierający minimum formy, ale za to

maximum treści? Zbuntowałeś się wtedy w duszy i pomyślałeś sobie, że przecież nie można poprzestać na stwarzaniu samych tylko krzyżów. Ileż to krzyżów zatknięto na ruinach Warszawy? Cały las krzyżów.

Więc skoro cię męczą krzyże Powstania, zgoda. Zastąpmy krzyż w naszych rozważaniach pięknym akcentem klasycznej kolumny. Na przykład takiej, z której nachylał się ku Warszawie król Zygmunt na placu Zamkowym. Kolumna Zygmunta była bezsprzecznie jednym z najpiękniejszych momentów architektonicznych Warszawy. To było dzieło architektury.

— A sto takich kolumn?

Nie podobna zaprzeczyć, że sto kolumn ustawionych z pewną myślą może stworzyć nie tylko *akcent*, lecz coś więcej, bo cały *układ* architektoniczny. Znamy takie układy. Przecież Bernini, którego tutaj niezbyt zaszczytnie wspominaliśmy, zbudował w Rzymie przed Bazyliką św. Piotra słynny Piazza Obliqa, opasany poczwórnym kręgiem kolumnady liczącej 284 kolumny, a prócz tego jeszcze 88 filarów. Był projekt, żeby przedłużyć kolumnadę aż do Tybru. Wówczas liczyłaby ona bez porównania więcej kolumn, co nie przeszkadzałoby jej bynajmniej w utrzymaniu swych walorów architektonicznych.

— A czymże jest kolumna?

— Kolumnę w naszym architektonicznym języku nazywamy akcentem pionowym.

Mógłby ktoś zapytać całkiem słusznie:

— A czy, dajmy na to, włoska topola nie jest akcentem pionowym?

— Naturalnie, że jest.

— W takim razie aleja wysadzona równiutko topolami mogłaby w pewnym sensie uchodzić za układ architektoniczny?

— Mogłaby. I jest nie tylko układem ale nawet kompozycją architektoniczną.

Skoro aleja topolowa może być uznana za dzieło architektoniczne, to wstańmy z naszego przymurka i przejdźmy się — biegiem naszej wyobraźni — wzdłuż takiej szumiącej kolumnady i pozwólmy, aby myśl nasza pobiegła szlakiem nienickających w krajobrazie drzew.

— Jeżeli można kupę cegieł zamienić w dom, w gmach, w świątynię, tworząc z niej dzieło architektury,

jeżeli można wytknąć w krajobrazie za pomocą sadzonek drzew wielki szlak architektoniczny,

jeżeli można, uregulowawszy brzegi rzeki, ujarzmiając jej nurt blokami granitowymi, nadać jej sens gospodarczy przeniknięty wielką treścią architektoniczną,

jeżeli można otoczyć miasto kręgiem osiedli wypoczynkowych lub przemysłowych, tworząc z tego zespołu wielki ośrodek architektoniczny,

jeżeli można — bo czyż nie można — z grupy takich ośrodków architektonicznych związanych wspólnym planem kulturalnym i gospodarczym stworzyć pełny region architektoniczny,

to czyż nie można, czyż nie należy całego kraju podzielić na regiony architektoniczne?

I czyż wtedy, jeżeli się to uda, cały kraj nie zostanie przepojony wielką ideą, wielką myślą i wielką mądrością?

Cały kraj.

Przez cały kraj przetoczył się rydwan wojny. Czołgi przeorały nie tylko pola. Bomby lotnicze zburzyły nie tylko domy. Pociski armatnie kosiły nie tylko ludzi.

Przorano, zburzono i skoszono cały ustrój naszego kraju: ustrój administracyjny, ustrój gospodarczy i ustrój kulturalny. Będziecie odbudowywać naszą Ojczyznę w nowych granicach na nowych zasadach.

Granice wytknięto. Zasady trzeba ustalić.

Ale zanim zasady te zostaną ostatecznie ukształtowane, architekci powinni sobie uprzytomnić pewne fakty.

Gdy zaś uprzytomnimy sobie te fakty, przekonamy się, że nigdy zbyt wcześnie architekt nie zabiera się do pracy nad sobą.

Praca architekta nie rozpoczyna się wtedy, kiedy trzeba zwozić cegły. Gdy cegły zwożą, prawdziwy architekt idzie na spacer, bo praca jego myśli już dawno została ukończona.

Szumiały topole naszej alei.

W niknącej perspektywie drzew rysuje się Polska wyrastająca nie z hasła, bo hasła nie są nawet tezą, a coś dopiero definicją naukową. Hasła są dobre, są nawet pozytywne dla upowszechnienia jakiejś idei, która dojrzewała w zaciszu pracowni naukowej. Polska, ta, która rysuje się przed wami, musi być, jak powiada Witruwiusz, „tworzywem doprowadzonym przez pracę rąk do postaci pomyślanej“. A więc wy, architekci, będziecie musieli dużo pracować, aby odbudować Polskę tak, jak trzeba.

Macie odbudować Polskę. Nie tylko odbudować, musicie uczynić znacznie więcej: musicie zbudować nową Polskę.

Ażeby podjąć taki trud, trzeba zapomnieć o przynajmniej różniejszych drobiazgach: o ambicji i zawzięci, które was dzielą.

Musicie się sprzeżnąć mocnym łańcuchem braterstwa i miłości, bo stoi przed wami wielkie zadanie. Takich zadań nie rozstrzyga się ani łapówką w Urzędzie, ani ukłonem, ani pochlebstwem. Tym bardziej nie rozstrzyga się ich kopnięciem.

Macie budować Polskę, w której zapanuje inny duch niż dotychczas. Lecz przez kraj hasła, że w nowej Polsce wszyscy otrzymają prawo do życia, że wszyscy otrzymają prawo do pracy, że wszyscy będą mogli wypoczywać pełną piersią. Że będą: po pierwsze — syci, po drugie — zdrowi, po trzecie — ugruntują się w całkowitym zrozumieniu postulatów, że są Polakami, to znaczy, będą doceniać należycie sens i potrzebę życia *duchowego* w ramach swojego Narodu. Słowem, nowa Polska powinna stać się ucieleśnieniem: Dobra, Piękna i Mądrości.

Ażeby słowa te stały się ciałem, należy wykonać pracę olbrzymią. Polskę czekają lata wielkiego wysiłku. Architekci muszą tutaj dać niemały wkład swojej pracy.

Jakiż wkład dać mogą?

Wszystko nieomal tutaj od nich zależy. Potężny odsetek w powodzeniu tego dzieła zależy od was.

Jeżeli porzestaniecie na drobnych rozgrywkach, jeżeli włożycie główny wysiłek w kopanie dołków jeden po drugim, jeżeli całą pasję włożycie w rysowanie fantastycznych planów i superprojektów, zbudujecie Polskę papierową i będziecie widzieli wprawdzie, jak Polska będzie wyglądała „za lat dwieście“, ale żaden z was nie potrafi powiedzieć czy bardzo się tutaj zmieni za lat dziesięć.

Gdy rozważaliśmy problemat mądrości architektury, wołaaliśmy, że Mądrość jest darem łaski spływającej na człowieka z góry. Że jest Bożym natchnieniem, które człowiek powinien rozwijać i doskonalić pracą myśli, ćwicząc nie tylko rozum, lecz także i przede wszystkim *charakter*.

Droga naszych rozważań skończona. Przemierzyliśmy długi szlak pięknie szumiących topoli, które zasadziła nasza ufna wyobraźnia.

W czasie „Dążenia“ szumiały nam one o podstawowych warunkach siły, niezbędnej do urzeczywistnienia tych ideałów, które przyświecały naszemu *powołaniu*.

Piękne to były ideały. Dobre były te ideały.

Szumiały nam topole o wielkiej cnocie braterstwa w koleżeństwie. Jaką to daje siłę i jak ustokratnia wyniki pracy architekta.

Szum naszych topoli kołysał i kołł niedostatek wiary w uczciwość człowieka. Budził natomiast ufność w istnienie pierwiastków dobrych w każdym, nawet w najgorszym, w ewangelicznej owieczce zbłąkanej, którą po znalezieniu Dobry Pasterz czulej przyciska do serca, niż owe dziewięćdziesiąt dziewięć posłusznych, co nawet na chwilę go nie opuściły.

Szum naszych pięknych topoli zachęcał, by wytrwać w całkowitym i uległym poddaniu się Matce naszej, Architekturze.

Szum naszych topoli tworzył harmonijny wtór do gawędy o naszych obowiązkach. Do gawędy rozwijającej się w nawarstwieniu problemów do miary precudnego Sympozjonu Architektury.

Tak podniesieni na duchu podjęliśmy walkę. W walce tej nie przypasywaliśmy mieczów. Nie braliśmy tarczy do

ręki. Bo każdy miał tylko jednego wroga przed sobą, a wrogiem tym była mierzwa jego sumienia. Mierzwa ta zrazu zatruwała jego duszę, ale rozrzuciona umiejętnie użyźniła jego serce.

Podporządkowaliśmy się w hierarchii potrzeb. Odrącaliśmy wszelkie pokusy. Co prawda nie przyszło nam to z łatwością. Znalazł się wszakże ktoś, kto nas pocieszył przypominając, że mocniejsi od nas także ulegali pokusom.

Pełni pokory podjęliśmy szary trud pracy codziennej, pełni wiary, że z drobnych strumieni wielkie urastają rzeki. Aż wreszcie u kresu naszej wędrówki stanęliśmy u stóp trzech wyniosłych kolumn z paryjskiego marmuru.

Tym razem poznaliśmy je natychmiast.

To one.

Trzy kolumny z Forum Romanum, zjawiające się jak fata morgana ośnionym oczom architekta stojącego u wylotu „swojej“ alei.

Trzy symbole idei wyjściowych naszego rozważania: Prawdy, Piękna i Mądrej dobroci.

Trzy te kolumny przemawiają, a my, wsłuchując się w ich głos, ufamy, że potrafimy wytrwać w czujnym wsluchiowaniu się w poszum nurtu opływającego nas życia, bo pamiętamy, że nikt inny, tylko my jesteśmy powołani, a nawet obowiązani, by znaleźć godną oprawę architektoniczną dla historycznych wydarzeń.

Ufamy, że nabyliśmy dość rozumu, aby wysiłkiem wyobraźni uchylić rąbek zasłony przesłaniającej oczom naszym tajemnicę przyszłości i dzięki temu znaleźć właściwą drogę do przygotowania odpowiednich planów, które nie tylko będą ładne i ponętne dzisiaj, ale także i pożyteczne jutro.

Ufamy, że nabyliśmy mądrość, która ustrzeże nas od popełnienia lekkomyślności, gdy zajdzie potrzeba zakreśle-

nia szerokim i śmiałym gestem zjawiających się przed nami zagadnień.

Ufamy, że nie zabraknie nam siły woli, aby ustawicznie i wytrwale sprawdzać, czy nie zaniedbaliśmy pracy nad sobą i że nadal pilnujemy, aby „pludibus disciplinis et variis eruditionibus“ ozdabiać naszą kompetencję.

Ufamy, że starczy nam siły charakteru, aby nabytej i ustawicznie pogłębianej wiedzy używać jedynie dla dobra publicznego, dążąc przez swoje dzieło pojęte mądrze, pomysłane rozumnie i zbudowane umiejętnie do wypełnienia zadań wytkniętych i zakreślonych jak najszerzej, z myślą o ustawicznym dążeniu ku ideałowi altruizmu.

Powiedzieliśmy już raz, a teraz na zakończenie powtarzamy: bez nas niewiele się dokona. Wszelkie zmiany zachodzące w dziejach ludzkości, wszelkie przejawy życia, a więc pracy i wytchnienia rzesz ludzkich, zawsze wzywają nas do pracy.

I ten, kto tę pracę wykona z całkowitym „zapomnieniem na siebie“ i „bez próżnej dumy w powodzeniu“ może być pewien, że, gdy czas jego nastanie, otrzyma gałązkę wawrzynu.

Nie będzie to pierwsza nagroda na konkursie architektonicznym, ani „pierwsze miejsce w bożnicy, ani pierwsze zasiadanie na uczcie“ .

Będzie to raczej pierwsza nagroda na konkursie życia, a więc miłość przyjaciół, szacunek kolegów i uznanie społeczeństwa.

Nie chciałbym zakończyć tych rozważań bez dorzucenia kilku słów. Bez cofnięcia się wspomnieniem do cyklu wykładów o etyce architekta, jakich słucałem na progu życia zawodowego z ust znakomitego mistrza i nieposzlakowanego człowieka, bo takim był z wszelką pewnością niezapomniany Jan Heurich. Działo się to w czasie pierwszej wojny światowej. To, co wówczas usłyszałem, zapadło mi głęboko w serce i dało temat do długich rozmyślań nad problematem wartości moralnych w architekturze. Uprzytomniłem sobie wówczas, jak trudne czekają mnie obowiązki i że nie łatwo przyjdzie mi je wypełnić.

Postać Jana Heuricha rozpoczynała długi szereg profesorów, których nazwiska wspominam nie tylko z szacunkiem, ale i z najgłębszą czcią. Oni świecili mi przykładem. Ich życie było natchnieniem tych rozważań. Nie umiałbym nigdy tak wszechstronnie przemyśleć tego wszystkiego, co tutaj mówiłem, gdybym był pozostawiony wyłącznie samemu sobie i nie patrzył na tak świetne wzory. Nie tylko to. Nigdy nie zdobyłbym się na odwagę postawienia tak surowych wymagań ani wytknięcia tak trudnych i dalekich celów, gdybym rozporządzał jedynie perspektywą w czasie i przestrzeni przykładów zaczerpniętych z historii architektury, wziętych z życia ludzi tej miary, co Anonim z Chartres, Brunellesco lub Palladio, napół mitycznych, wysublimowanych w przypowieści, dźwigającej ich na najwyższe

szczyty wartości ujmowanych słowem „powołanie“. Nato-
miast wiedząc i pamiętając, że żyli tutaj, między nami, lu-
dzie tacy sami, jak my, chodzący tymi samymi ulicami, pra-
cujący razem z nami, w tym samym mrocznym gmachu
„architektury“, znalazłem potrzebną odwagę i odpo-
wiednie siły.

Oni byli tacy sami, jak my, i mówili tym samym języ-
kiem, co i my. Uprawiali to samo rzemiosło, mieli, jak my,
swoje troski i kłopoty, ale poza troskami i kłopotami, prze-
rastali nas co najmniej o głowę wielkością swoich talentów,
jasnością umysłów, czystością charakterów. Byli to:

JÓZEF DZIEKOŃSKI — który uważał, że nie ma pra-
wa egzaminować swoich uczniów, gdyż musiałby przedtem
sam u nich zdać egzamin, aby się upewnić, czy dość jasno
układa treść swoich przemówień.

KAROL JANKOWSKI — który wykładał z taką pro-
stotą i tak przejrzystością, a przy tym mówił tak mądrze i z ta-
kim zamiłowaniem o architekturze, że odnosiło się wrażenie
jakby to sam Donato Bramante z Urbino, nachylony w pra-
wym rogu „Szkoły Ateńskiej“ Rafaela na Watykanie, wy-
prostował się znad swojej tabliczki i zstępował ku nam, aże-
by mówić rzeczy wielkie w swojej prostocie.

STANISŁAW NOAKOWSKI — pod którego ręką czar-
na tablica zmieniała się w szafirowe niebo Italii, a kreda
w biały marmur karraryjski. Pełen pobłażania dla nie-
zdarności swoich uczniów, zwykł był ich pocieszać, że naj-
piękniejszym rysunkiem jest zawsze czysty arkusz papieru,
najlepszym doradcą: profesora — gąbka, a jego uczniów —
niezawodna guma do wycierania.

CZESŁAW PRZYBYLSKI — człowiek nie tylko z iskrą
w sercu, ale także z krzesiwem w dłoni, zapalający płomień

prometejski w sercach uczniów i sam siebie spalający w płomieniu tego ognia.

OSKAR SOSNOWSKI — Umysł, charakter, serce. Jeśli powiedziałem, że profesorowie przerastali nas o głowę, to, nie obrażając ich świętej pamięci, mogę powiedzieć, że on z kolei wyrastał ponad nich swą pokorą wobec nauki, swym oddaniem architekturze, swą miłością dla ojczyzny. Był on ucieleśnieniem wartości najlepszych, najwyższych.

RUDOLF ŚWIERCZYŃSKI — Życie bez uśmiechu, to dzień bez słońca. Żaden z profesorów — poza Noakowskim — nie był tak kochany przez studentów jak Świerczyński. Bez fermentu, bez zaczynu chleb nie wyrośnie z najpiękniejszej nawet mąki. Chleb Architektury wyrastał w naszej szkole dzięki wartościom niewątpliwym, bezspornym wspaniałego temperamentu artysty, jakim był w każdym swoim nerwie Rudolf Świerczyński.

Któż miał więcej erudycji niż MARIAN LALEWICZ? Kto więcej serca niż ALEKSANDER BOJEMSKI? Jeżeli mówimy o miłości młodzieży do profesorów, to pozwólmy Bojemskiemu być ucieleśnieniem franciszkańskiego wprost oddania się młodzieży. Z ust jego nie schodził nigdy dobrotliwy uśmiech. Obaj zginęli w Powstaniu Warszawskim.

Ale poprzedził ich STEFAN BRYŁA, rozstrzelany przez Niemców 3 grudnia 1943 roku na ulicach Warszawy.

On był żywym symbolem Oporu stołecznej Politechniki przed naporem niemczyzny. On zorganizował życie podziemne naszych katakumb Architektury. Swoją niezwykłą energią i wytrwałością sprawił, że w chwili, gdy go aresztowano, zespół studentów przygotowujący się potajemnie do służby w Odrodzonej Ojczyźnie składał się z 250 osób.

I to jakich studentów?

Posłuchajmy, co ta młodzież mówiła o swojej szkole, czym dla niej był ten przedziwny klimat, jaki się wytworzył w mrocznych, zimnych salach Zakładu Architektury Polskiej:

„... Wydział był dla nas jedynym jasnym momentem w codziennej walce o byt, w bezustannym lęku o to czy podołamy obowiązkom, które narzucała wojna. Co zjeść, co dać jeść i czy będzie za co i na jak długo i co potem? To były myśli, jakie tłukły się bez przerwy po głowie. W takich warunkach to, co nam mówiono przy długim stole w Zakładzie Architektury Polskiej, w nieogrzewanej sali — o wartościach nieśmiertelnych, o sztuce, o tym, co duch ludzki dać może z siebie — to był jakiś powiew z lepszego świata, z tego, który wydawał się już stracony, a o którym każdy z nas marzył wstępując do Szkoły. To były godziny w czasie których zapominało się o kelnerstwie, o pieniądzach i o tym wszystkim, co składało się na codzienność okupacyjną. To były chwile wytchnienia. Tak myśleli wszyscy, a napewno większość...“

Tak myśleli i czuli wszyscy. Istotnie. Zdarzyło się raz, że przybył do Zakładu ktoś z zewnątrz, lecz „wtajemniczony“. Nie mógł wyjść z podziwu dla atmosfery, jaką tam znalazł.

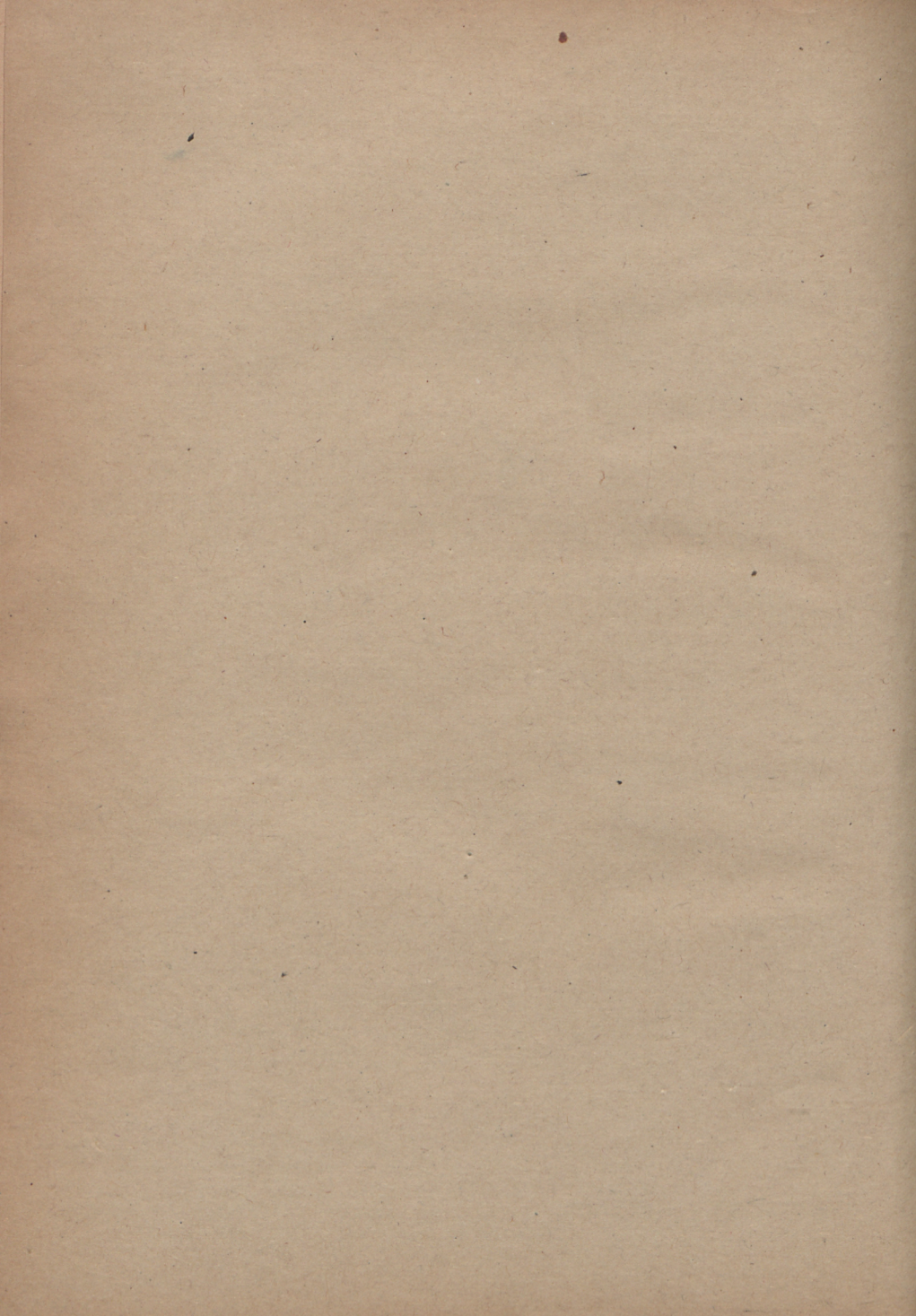
Czy ja śnię? — pytał. Czy to prawda, że jest wojna? Czy to prawda, że ludzi łapią na ulicach? Że ich rozstrzeliwują?

Tak, łapali ludzi na ulicach i na ulicach rozstrzeliwali. Rozstrzelali także Stefana Bryłę, Dziekana Wydziału Architektury w czasie wojny.

Jeżeli wracam teraz myślą do tamtych chwil, „katakumbowych“, to dlatego, że żyjąc trzydzieści trzy lata w świecie architektury miałem rozmaite momenty. Radosne i smutne. Ale niewątpliwie najpodnioślejsze, najpiękniejsze, niezapomniane były te, gdy w zimnej, nieopalananej sali Zakładu Architektury Polskiej łamaliśmy się Wigilijnym Oplatkiem pełni wzajemnej miłości, oddania i ufności — pokorni Uczniowie Cieśli.







PEDAGOGICZNA
BIBLIOTEKA
WOJEWÓDZKA

Gdańsk-Wrzeszcz
Al.Gen.J.Hallera 14



2082